

Zofia Jabłkowska

ZJAWIAŁ SIĘ ZAWSZE WIECZOREM



Wydawnictwo Morskie Gdańsk

Rozdział I

Babski wieczór u Dominiki dobiegał końca. Zegar wskazywał już bardzo późną godzinę, ale rozbawione panie nie myślały wcale o opuszczeniu gościnnego domu.

— Już dawno nie stawiałaś nam kabały — przypomniała Ada dopijając herbaty.
— Przecież dzisiaj jest piątek i aż się prosi...

— Dajcie spokój! Jestem trochę zmęczona i do trzech kabał nie mam już dzisiaj siły — broniła się Dominika. — Może innym razem... naprawdę!

— Nie durz głowy, tylko wyciągaj karty! — Olga, która wierzyła święcie w karciane przepowiednie, skwapliwie poparła przyjaciółkę. — Ale wiesz co?... Postaw dzisiaj jedną kabałę dla nas wszystkich. To może być ciekawe.

— Doskonale! Rozłóż tylko raz i zaraz idziemy. — Tenia likwidowała ostatnie kanapki. — To będzie właściwe zakończenie dzisiejszego wieczoru.

Dominika, której senność zaczynała już porządnie dokuczać, wyjęła z szuflady wysłużoną talię kart i usiadła przy stole. Przyjaciel otoczyły ją ciasnym wianuszkiem.

— A więc stawiam tę kabałę dla nas wszystkich — powiedziała bez przekonania.
— Teraz trzeba intensywnie o czymś myśleć... Już?

— Ja przełożę, przynajmniej nie będzie oszukaństwa. — Olga z trwożnym szacunkiem dotykała mocno wytartych karteczek. — No, możesz zaczynać... Ja już pomyślałam, co trzeba.

Karty układały się w posłuszne szeregi. Tenia tłumiała ziewanie, ale Olga i Ada obserwowały pilnie układ kolorowych obrazków.

— Wiecie co? Tutaj wychodzi mi bardzo dziwna sprawa. — Dominika ożywiła się gwałtownie. — Cóż to może znaczyć?

— Duże pieniądze? — Olga nieomal dotykała nosem stołu. — No, gadaj wreszcie!

— Patrzcie! — Dominice już całkiem minęła senność. — Przecież tutaj wychodzą, jak na dłoni, jakieś wielkie kłopoty przez tego karowego waleta... ależ tak! To mi nawet wygląda na czyjaś śmierć... Oczywiście!... Patrzcie: as i dziesiątka treflowa leżą obok siebie... Oooo, do licha... Paskudna sprawa!

— A nad kim leży ten as? — Oldze z wrażenia zaokrągliły się oczy. — O Bożyczku złoty... przecież ta cała kabała ma być właśnie dla nas. Czy należy rozumieć, że my wszystkie...

— Siedź cicho i nie panikuj mi nad głową! Ten as leży nad damą i królem kierowym i tylko ich to dotyczy... Zaraz, niech pomyślę... Wiecie co? O ile w ogóle znam się na kartach, to niebawem jakaś para małżeńska zginie śmiercią tragiczną przez tego młodego człowieka, a dla nas wynikną z tego ogromne kłopoty... Też coś!

— Jeżeli zaraz nie popędzę do domu, to wróżba na pewno się spełni. — Ada pośpiesznie oglądała się za torebką. — Przypomniało mi „się właśnie, że obiecałam Tomaszowi kupić na kolację konserwę rybną w pomidorach, a tu minęła północ i nie ma ani mnie, ani konserwy. Wyobrażam sobie, jaki jest wściekły!

— Możesz być całkiem spokojna! On przecież nie jest młodym blondynem, tylko starszym brunetem z wielką łysiną. Pamiętaj też, że musisz jeszcze odprowadzić mnie do domu, bo samej głupio łązić po nocy. No, to już idziemy. — Olga zęgnęła

serdecznie Dominikę. — Zasiedziałyśmy się strasznie, a jutro, a nawet to już właściwie dzisiaj, trzeba nam rano iść do roboty. Dobranoc!

Dominika odprowadziła przyjaciółki do drzwi wyjściowych i wróciła do pokoju. Karty leżały jeszcze na stole. Usiadła i długo im się przypatrywała.

— Wygląda na to, że wpakujemy się niebawem w jakąś paskudną i dziwną historię — orzekła stanowczo po dokładnym przeanalizowaniu kabały. — Ani chybi, otrze się o nas czyjaś śmierć... Kim jest ten walet karowy i co kombinuje?... Tfu, na psa urok!

Senność uciekła od niej daleko. Długo jeszcze medytowała i tasowała karty od nowa, ale ten sam niezrozumiały układ powtarzał się niezmiennie.

— Zobaczmy, co z tego wyniknie — Dominika zgarnęła karty ze stołu. — Ale czy to nie wstyd, aby przejmować się takimi głupstwami? Trzeba iść spać!

Zajęła się żwawo sprzątaniem i nawet nie zauważyła, że z głębi nieoświetlonego kąta pokoju obserwują ją dyskretnie czyjeś duże oczy, rozjarzone zielonym i żółtym światłem. Chwilami przygasają sennie, aby zaraz potem rozbłysnąć jeszcze intensywniej. Były uważne, drapieżne i jakby trochę ironiczne.

A Dominika spokojnie szykowała się do snu. O karcianej przepowiedni przestała już myśleć.

Dochodziła północ, ale w mieszkaniu Olgi świeciło się jeszcze światło, jak zresztą codziennie od paru tygodni. Przez dość przejrzyste firanki widać było drobną postać, schyloną nad ogromnymi papierzyskami rozłożonymi na stole. Od czasu do czasu podnosiła się z trudem, żeby wyprostować obolałe plecy i zaraz szybko powracała do przerwanej zajęcia. Minuty płynęły wartko, a zmęczenie zaczynało brać górę i stawało się zupełnie nie do zniesienia.

Mam już dosyć tej zwariowanej roboty! — zbuntowała się wreszcie Olga, rzucając ołówek na stół kreślarski. — Dzieci mnie nie obsiadły, żebym musiała harować tygodniami po nocach... No, trzeba jeszcze przed snem odetchnąć trochę świeżym powietrzem — i usadowiła się przy szeroko otwartym oknie.

Późny wieczór był ciepły i niósł zapach kwitnących jaśminów. Olga oparła łokcie na parapecie, poddając się skwapliwie zasłużonemu relaksowi. W ogrodzie sąsiadów, oddzielonym wysoką siatką od jej skromnego ogródka, było cicho, jak zwykle o tej porze. Wszyscy na pewno już tam spali, bo żadne światełko nie przebijało się przez gęste i poplątane krzewy. Tylko lampa uliczna, stojąca niedaleko, rozjaśniała od góry zielony gąszcz. Cóż to za cudowny i spokojny wieczór!

Wtem coś ciemnego przesunęło się zwinnie wzdłuż płotu po stronie sąsiadów i rozpląnęło się w mroku nocy.

— Oczywiście — westchnęła Olga z żalem. — Jak pech to pech! Człowiek chociaż nocą chce trochę odpocząć w ciszy i spokoju, a tutaj jak na złość jakiś przeklęty kocur przy łązi czort wie skąd! Zachciało mu się spacerów w ogrodzie Kraftów i oto koniec odpoczynku! Pies zaraz go wyczuje i będzie hałas, jak wielkie nieszczęście. Szkoda!

Miała już odejść od okna, ale przejmująca cisza panowała nadal w ogrodzie.

— Czyżby Kapeć stracił zupełnie węch? Toż autentyczny kot maszeruje mu przed nosem, a ten śpi... Prawdziwy kapeć! — ucieszyła się szczerze, bo serdecznie nie lubiła stróża sąsiada. Pies od wielu lat często nie dawał jej spać swoim nocnym, zawziętym szczekaniem.

— Ale ten czarny kot to też nic dobrego! — odstukała trwożnie o ramę okienną. — Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby się okazał zwiastunem nieszczęścia.

Olga zabałaganiała rano trochę dłużej, zrezygnowała więc ze śniadania i pobiegła do pracy. Po drodze wstąpiła do najbliższego kiosku, gdzie kupowała zawsze prasę i papierosy.

— Czy pani już wie, co się stało wczoraj u Kraftów? — zapytała sprzedawczyni konspiracyjnym szeptem, kładąc w okienku paczkę klubowych. — Lamentują tam okrutnie od samego rana.

— Ale dlaczego?... Czy może ktoś ukradł im Kapcia? — Olga szukała drobnych na

dnie przepaścistej torby.

— Oooo, to pani już słyszała — rozczarowała się pani Krysia. — Ale pojąć nie mogę, komu ten stary pies mógł przeszkadzać.

— Kapeć zginął? — Olga zapomniała o pośpiechu. — Ale dlaczego zaraz lament?... Może się jeszcze znajdzie. Jestem gotowa założyć się z panią, że popędził za jakimś kotem na drugi koniec miasta.

— To by pani przegrała — ucieła z satysfakcją pani Krysia. — Pies nie wróci, bo go ktoś otrul dzisiaj w nocy. Płaczą tam nad nim, jakby się stało jakieś wielkie nieszczęście, a to przecież tylko zwykły kundel!

— Teraz rozumiem, dlaczego było tak cicho... — zamyśliła się Olga. — Widocznie Kapeć już nie żył, kiedy ten kot przemknął do ogrodu... Ale ten łajdak, który otrul psa, musiał być wtedy gdzieś bardzo blisko, a ja siedziałam sobie w oknie i spokojnie się delektowałam pięknem czerwcowej nocy... Okropność! Miałam od razu przeczucie, że to czarne bydlę napędzi nam jakieś biedy, a wiadomo, że kłopoty lubią chodzić parami! — I mimo że była już porządnie spóźniona, zwolniła jeszcze kroku. W głowie miała chaos i co tu ukrywać — narastający lęk.

W pracy był akurat dzień na luzie, bo szef szczęśliwie gdzieś się ulotnił. Olga siedła w kącie pracowni i patrzyła osowiałym wzrokiem na roześmianych kolegów.

— Co ci spadło na nos? — zapytał Zbyszek, szykując sobie solidne śniadanko na służbowym stole kreślarskim. — Czy może czarny kot przebiegł ci drogę?

— Skąd wiesz?! — krzyknęła zaskoczona Olga. — Przecież ja wam nic...

— Znamy już na pamięć twoje miny na każdą okoliczność... Oj, ty, ty! Niby mądra, a głupia! — uświadomił ją kolega. — Daj spokój z tymi przesądami, bo spalimy cię na stosie jako czarownicę. Zobaczysz!

Olga niby coś gniewnie odpowiedziała, ale na sercu trochę jej ulżyło. — Pewnie, że jestem głupia — pomyślała. — Do diabła z kotem!

Tego dnia ledwie zaszczyciła uwagę czarnego kota, który znów zakradł się do ogrodu sąsiadów, i poszła wcześniej spać, lecz wkrótce obudził ją zawodzący sygnał pogotowia. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. U sąsiadów było słyhać jakieś głosy, a koło furtki stała karetka, do której i właśnie nosze nakryte białym prześcieradłem.

Słońce przypiekało czystym żarem. Temperatura w mieszkaniu przekraczała dwadzieścia osiem stopni. Dominika zaciągnęła zasłony i rozwiesiła w pokoju kilka mokrych prześcieradeł.

— Diabli nadali takie psie życie! Niedawno był mróz trzydzieści stopni poniżej, a teraz mamy dla odmiany to samo, tylko powyżej... I pomyśleć, w szkole wbijano nam do głowy, że w Polsce mamy klimat umiarkowany... akurat! — buntowała się, patrząc tęsknym wzrokiem na lodówkę. — Tej to dobrze, sama się chłodzi!

Pokręciła się trochę po mieszkaniu i stwierdziwszy z czystym sumieniem, że nie ma głowy do niczego, wyciągnęła się na tapczanie z syfonem na stoliku i „Panem Wołodyjowskim” przed nosem.

— Chociaż poczytam sobie o ośnieżonych stepach — westchnęła, przewracając znane już na pamięć stronicę. Zanim jednak dotarła do ulubionej sceny, gdzie to w głębokim jarze Tuhajbejowicz całował zawzięcie Basine oczęta, telefon zadzwonił ostro i nagle, jak na sąd ostateczny.

— Trzeba go było wyłączyć! — Dominika wracała niechętnie z dalekich dzikich pól do upalnej rzeczywistości. — Nikt nie uszanuje spokoju umęczonego człowieka... Kogo też diabli niosą?!

Niosły Olę i to tak bardzo podekscytowaną, że Dominika nie mogła wcale zrozumieć, o czym ona mówi.

— Jaki kot?... Zwariowałaś? — usiłowała dojść do słowa. — Dzwonź zaraz po pogotowie, bo od gorąca dostałaś bzika... Nie przejmuj się, bo podczas upałów to się często zdarza... Trzeba tylko...

— A przestań wreszcie żarty sobie stroić — zapiała po „wileńsku” Olga, której

zdarzało się to zawsze, kiedy była czymś specjalnie przejęta. — Zaraz przyjadę i opowiem ci wszystko z detalami. Łapię taksy i pędzę... Pa!

— Jeżeli Olga rujnuje się na taksówkę, to na pewno zdarzyło się coś nadzwyczajnego — ożywiła się Dominika i już znacznie lżejszym krokiem pomaszerowała do kuchni.

Rzeczywiście, już po kilkunastu minutach Olga wkraczała do przedpokoju. Była purpurowa z gorąca i pośpiechu, a jej zaczerwieniony nos zapowiadał coś ekstra.

— Siadaj i mów! — Dominika zaparzyła przezornie dwa dzbanuszki kawy i ustawiła na stole czubaty talerz ciastek. — Co to znowu za historia z jakimś kotem? Mózg ugotował ci się na słońcu, czy co?... Gadaj wreszcie!

Olga wzruszyła ramionami. Piła kawę skulona nad filiżanką i wyglądała jak nastroszony ptak. Dominika przyjrzała się jej uważniej i zrozumiała, że naprawdę coś nią szarpnęło. Postanowiła zastosować trochę dyplomacji:

— Gorąco dzisiaj, nieprawdaż? — zapytała od niechcenia. — Nie mam dosłownie odwagi wyjść na dwór... A co robiłaś wczoraj?

— Właśnie! — Olga odzyskała raptem głos. — Od trzech tygodni pracuję jak głupia.

— Wiem, wiem... Masz na tapecie ten prześliczny pałacyk w Gutkowie. — Dominika uprzejmie podsunęła jej ciastka. — Czy właśnie ta robota tak cię zmęczyła?

— Trochę tak... Ale teraz posłuchaj historii o kocie. To nie są żarty, wierz mi!

— Więc mów! Pewno ktoś podrzucił ci kota, no i...

— Nie pleć byle czego! — przerwała jej Olga niecierpliwie. — Posłuchaj lepiej, jak to się zaczęło. Otóż trzy dni wstecz, kiedy siedziałam wieczorem przy oknie...

I opowiedziała jej całą historię otrucia Kapcia.

— No i co z tego? — Dominika była rozczerowana. — Nie pochwalam wcale chuliganów, którzy trują psy, ale nie ma w tym nic sensacyjnego!

— Czeka, to jeszcze nie koniec — Olga nerwowo mieszała cukier w filiżance. — Następnego dnia właściciel tego otrutego psa umarł na zawał.

— I co z tego?... Zdarza się to na co dzień. — Dominika nie mogła jakoś wykrzesać z siebie najmniejszej iskierki zainteresowania. — Po prostu zwykły zbieg okoliczności. I czym się tu przejmować? Stuknij się w przegrzany łepiek!

— Może i tak... — Olga kruszyła w palcach ciastko — ale zapomniałam ci powiedzieć, że tego wieczoru, kiedy umarł sąsiad, widziałam znów tego kota. Biegł wzdłuż płotu ogrodu Kraftów.

— Dobrze, widziałas go drugi czy nawet trzeci raz... Ale jaka to znów makabra? Przecież nie ma w tym nic dziwnego. Pomyśl sama i przyznasz mi rację.

— Kiedy właśnie jest w tym wiele dziwnego — upierała się Olga. — Mieszkam wiele lat naprzeciw tego ogrodu i wiem, że żaden kot nie mógł pokazać tam końca nosa, bo pies biegał luzem i każdego rozdarłby na kawałki. A teraz proszę: dwa razy w ciągu dwóch dni widziałam tego cholernego kota, po czym zawsze ktoś umierał, jak na zamówienie. Czy to nie jest podejrzane, co?

— Istnieje tylko jedno podejrzenie, że roztopiła ci się piąta klepka — ziewnęła serdecznie Dominika. — Od razu ci to mówiłam, ale...

Tu dzwonek przy drzwiach rozdzwonił się na cały regulator. Olga, czując że nadciąga nowy słuchacz dla jej „kociej” sprawy, podbiegła truchcikiem do przedpokoju.

— Co tu się dzieje? — grzmiała już od progu dorodna blondynka, której oczy i biust zdawały się wyskakiwać ochoczo na powitanie domowników. — Okna zasłonięte, w chacie ciemno i do tego pranie rozwieszona w pokoju, jakby brakowało miejsca na dworze! Chore jesteście? — pytała troskliwie, całując Dominikę, zupełnie ogłuszoną witalnością gościa.

— Postawcie dobrą kawę, a ja w zamian opowiem wam fantastyczną historię... Kojak przy niej wysiada! — gość rozłożył się wygodnie na kanapie. — Ale czemu tak na mnie patrzycie?... Może zabrakło wam kawy?

— Ado... — wyjąkała Dominika. — Czy ty też widziałaś tego... kota?
— Jakiego znów kota? — Ada przybrała pozycję siedzącą. — Zdobyłam szafę, ale jaką!!! — Tu podniosła oczy do góry z wyrazem obłądnego szczęścia i zachwytu.

— Ach... szafa! — Dominika szybko przestawiła semafor na tory zainteresowań drugiej przyjaciółki. — Ale po co? Przecież niedawno kupiłaś jakąś ogromną landarę. Zakładasz sklep ze starymi gratami?! — By jednak nie zdradzić się całkowicie ze swym brakiem entuzjazmu dla tej rewelacji powiedziała niespodziewanie łagodnie: — Przepraszam was na chwilę, pójdę zrobić coś do picia.

Podczas gdy pani domu krzątała się w kuchni, Ada wyśpiewywała hymny pochwalne na cześć swojego nowego nabytku, a Olga siedziała cicho i udawała, że słucha. Naprawdę jednak myślami była bardzo daleko i dopiero, kiedy nadeszła Dominika z ogromną tacą, wróciło jej poczucie rzeczywistości.

— Teraz posłuchamy Olgi — proponowała gospodyni, stawiając na stole nową porcją aromatycznego płynu. — Jestem niezmiernie ciekawa, co Ada będzie sądzić o tej kociej sprawie.

— Już drugi raz słyszę dzisiaj o jakimś kocie... Czy to dotyczy twojego Colomba?

— Ależ skąd! Mój Colombo siedzi teraz spokojnie u sąsiadów z góry. Olga ma zupełnie innego kota. Słuchamy!

I już drugi raz tego dnia Olga opowiedziała z detalami całą historię.

— No i co o tym sądzisz? — zapytała, patrząc niespokojnie na przyjaciółkę. — Czy nie wydaje ci się to wszystko trochę podejrzanę? Zresztą wiadomo, że czarny kot wlecze za sobą jakąś biedę.

Ada wzruszyła ramionami i odstawiła pustą filiżankę.

— Brednie! — zdecydowała. — Czysta głupota i basta! Pies zdechł, bo był stary... Mógł też zjeść coś zatrutego. Mało to różnego świństwa rozrzuca się teraz dookoła? „A ten zawal? No cóż... Przecież codziennie umiera z tego powodu mnóstwo ludzi, więc i w tym nie ma nic tajemniczego. A kot?... Chyba żartujesz? Ja sama widuję codziennie dziesiątki kotów, w tym połowa czarnych i żadnej tragedii w związku z tym nie odnotowałam. Jesteś po prostu zmęczona i musisz odpocząć!

I zaczęła znów opowiadać o swojej szafie:

— Wyobraźcie sobie, że nabyłam prawdziwy skarb! O, musiałam się porządnie nagimnastykować, aby ten okaz zdobyć... Pójdziemy zaraz do mnie, to same zobaczycie! Pochodzi z osiemnastego wieku i cała jest pokryta chińskimi malowidłami... Wprost napatrzeć się jej nie można! Trzeba ją tylko nieco oczyścić...

Wieczór zaczynał już nieść przyjemnym chłodem. Dominika otworzyła szeroko okna i zrobiło się zaraz miło i rześko. Nagle w oknie mignęło coś ciemnego i wylądowało z wielkim łoskotem na tapczanie. Olga krzyknęła przeraźliwie i odskoczyła pod ścianę, zasłaniając twarz rękami.

— Zgłupiałaś?... Przecież to Colombo wrócił wreszcie od sąsiadów. Spójrz, jak patrzy na ciebie! Ha ha ha!... Też miałaś czego się przestraszyć!

Ogromny bury kot wytrzeszczał przyjaźnie wielkie zielone oczy w kierunku skulonej w kącie postaci. Przyjaciółki śmiały się serdecznie, a Colombo pomaszerował godnie do kuchni, aby tam poszukać sobie dalszego ciągu kolacji. Nie bez powodu był taki gruby.

Zawstydzona Olga pośpiesznie zegnała Dominikę.

— Idziesz? — spojrzała zachęcająco na Adę.

— Już najwyższy czas — odpowiedziała szczęśliwa właścicielka „cudownej” szafy, ubierając się pośpiesznie. — Mam jeszcze dzisiaj masę roboty. No, to cześć! Jutro wpadnę.

Kiedy wychodziły, Colombo siedział na oknie i zawzięcie szorował się łapą, wróżąc nieomylnie nadejście nowych gości.

— Widzisz? Tak właśnie wyglądają twoje nocne strachy! — Ada serdecznie objęła przyjaciółkę. — Odpocznij tylko trochę, a piorunem przyjdiesz do siebie... Ale wiesz, pójdziemy teraz do mnie. Musisz koniecznie jeszcze dzisiaj obejrzyć te prześliczne

chińskie malowidła. Zobacysz... oko ci zbieleje!
„Kocia” sprawa stała się nieważna.

Rozdział IV

— Ten kot musiał znów coś nowego zmalować, bo Olga bez powodu nie narobiłaby tyle szumu. Ona wprawdzie lubi siać panikę i jest przesadna ponad miarę, jak wszyscy wilniacy, ale jeżeli ściąga nas w taki upał, to musiało zajść coś naprawdę ważnego — denerwowała się Ada, kursując od okna do okna. — Byłam właśnie w trakcie trzeciego drapania mojej nowej szafy, kiedy zadzwoniła. Była taka zdenerwowana, że początkowo nie mogłam niczego zrozumieć, zwłaszcza że bredziła tym swoim smorgońskim żargonem. Sporo czasu minęło, zanim pojęłam, że mamy spotkać się u Dominiki dzisiaj o szesnastej. Co jej znów odbiło?

— I ja niewiele zrozumiałam — wzdychała Tenia poprawiając w lusterku kunsztowną fryzurę. — Gdybym nie była tak bardzo ciekawa, o co jej chodzi, to wolałabym zostać w domu. Mój mąż...

— Olga zawsze przesadza — przerwała jej Dominika. Nie trzeba brać tak dosłownie do serca zapowiadanych przez nią sensacji. Ot, poplotkujemy trochę i tyle... Ale uwaga, słyszę, że ktoś idzie. To na pewno ona. Nareszcie!

Wszystkie przyjaciółki wybiegły na korytarz. Dominika otworzyła szeroko drzwi. Była to rzeczywiście oczekiwana koleżanka. Mimo upalnego dnia była ubrana w szarobury płaszcz nieprzemakalny, sięgający do ziemi. W obydwu rękach trzymała ogromne torby, pod ciężarem których wyraźnie się uginała.

— Dlaczego ubrałaś się w ten płaszcz? Przecież jest upał i na niebie nie widać ani jednej chmurki. — Dominika nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — I co tak dźwigasz? Pozwól, pomogę ci trochę.

— A idźcie! Jak tu doszłam, to i doniosę na miejsce. — Olga dyszała ciężko. — Dobrze, że już jesteście... Mówię wam — bomba!

— Założę się, że ta bomba jest futrzana i chyba ty prędzej eksplodujesz z gorąca i przemęczenia, niż ona... Po co ci ten płaszcz? — Ada ze zgrozą obserwowała przybyłą.

— Dzisiaj rano zapowiadali w radiu przelotne deszcze i burze, więc ubrałam się stosownie do pogody. — Olga z trudem uwalniała się od szeleszczącego okrycia. — Dajcie mi coś pić, bo padnę!

Weszły do pokoju. Torby zostały też wniesione i ustawione tuż przy krześle ich właścicielki. Tajemnicza zawartość budziła ogólną ciekawość.

— Zacznij wreszcie mówić, po co ściągnęłaś nas tutaj — niecierpliwiła się Ada. — Najpierw stawiasz nas wszystkie na nogi, obiecujesz sensacje godne „Kina Oko”, potem spóźniasz się prawie dwie godziny, a teraz siedzisz nad tymi torbami i sapiesz. Gadajże wreszcie!

— Teraz już mogę mówić — powiedziała Olga, odstawiając pustą szklankę po herbacie. — Otóż wczoraj wieczorem dużo rozmyślałam i postanowiłam podejść naukowo do naszego nowego problemu. Poszłam więc do biblioteki i rozpoczęłam poszukiwania.

— Ale czego? — zapytała zdumiona Ada. — Bo jeśli chodzi o moją szafę, to ja już sama znalazłam parę wspaniałych książek z dziedziny historii sztuki. Podobne szafy figurują tam na każdej stronie... Więc jeżeli ty...

— Jaka tam szafa! — Olga machnęła pogardliwie ręką. — Ja oczywiście szukałam wszystkiego, co dotyczy kotów.

— Kotów?! — przyjaciółki osłupiały ze zdumienia.

— Właśnie kotów!... Koty w literaturze, sztuce, legendzie i tak dalej... Sama nie wiedziałam, że tyle o nich napisano.

— To w tych torbach... — Ada nie wierzyła własnym uszom. — To są książki o

kotach?... Wszystkie?

— Tak! Czemu się tak dziwisz? Oczywiście, że jeszcze ich nie przeczytałam, ale to, co zdążyłam przejrzeć, jest po prostu fascynujące... Zaraz się przekonacie.

— I po to tutaj nas ściągnęłaś?

— Właśnie. Ale spójrzcie — oto pierwsza wspiana książka: „Koty nasze hobby”, autorka: Aleksandra Konarka-Szubska... Druga: „Opowiadania egipskie”, tłumaczenie i języka egipskiego Tadeusza Andrzejewskiego, trzecia „Z kraju faraonów” Ottona Neuberta...

— Zaczekaj! — Ada zerwała się z krzesła. — Zanim przeczytasz tytuły tych wszystkich książek, zapadnie czarna noc. Lepiej nam powiedz, czego ty w nich właściwie szukasz? Przecież dotąd nie interesowałaś się kotami.

Ale od paru dni zaczęłam — Olga poczerwieniała ze złości. — Wybacz, ale jak ty opowiadasz o swojej zapchlonej szafie, to ja ci nie przerywam. Daj mi więc teraz przyjść do słowa.

— Słuchamy cię pilnie — Dominika dała znak przyjaciółkom, żeby nie traciły cierpliwości. — Cóż takiego tak cię zafascynowało?

— Zaraz się dowiecie... Mam tu w ciekawszych miejscach zakładki... Zaraz... Jest! Czytam: „Nawet w późniejszych czasach, za panowania Greków w Egipcie, byk Apis był przedmiotem specjalnego kultu”... Nie, coś mi się pokręciło. To nie o to chodziło...

— Ciekawe... — Ada ironicznie zmrużyła oczy. — Czytaj dalej. To jest naprawdę fascynujące!

— Czekaście... Już mam! To będzie tutaj: „W Egipcie istniało mnóstwo bóstw, jak — czaple, jaskółki, sępy, gęsi, okonie, węgorze”... Co, u diabła! Znów nie to!

— Nie denerwuj się. Powoli dojdiesz do kotów. — Ada bawiła się znakomicie. — Czytaj dalej!

— Zakładki mi się pomieszały! — Olga porządkowała gorączkowo porobione notatki. — No, nareszcie! Słuchajcie: „Kot, jako zwierzę święte (ciekawe, co?), jest specjalnym rozdziałem w historii starożytnego Egiptu. Pierwszym świętym zwierzęciem był dziki kot pustynny, zwany Szan-kot, o krępej budowie ciała, krótkim ogonie i stosunkowo dużych uszach, doskonały łowca, silny, zwinny i agresywny. Kot ten należał do uosobień słońca, z ośrodkiem kultu w Heliopolis. Na malowidłach jest przedstawiony w chwili, kiedy zabija węża — uosobienie zła. Motyw kota zabijającego węża”...

— Daj spokój — przerwała jej Dominika, która zaczynała mieć już dosyć tej niecodziennej lektury. — Jeżeli kiedyś koty zabijały zło, to nie pasuje to wcale do twojego czarnego kota, którego od kilku dni posądzasz o zabicie sąsiada i jego wiernego Kruczka.

— Kapcia! — poprawiła rzeczowo Olga. — I jest tu związek! Jeżeli koty były uważane za święte stworzenia, a podobno nawet dusze faraonów, czekając na następne wcielenia, zamieszkiwały w kotach, zatem...

— Zatem w moim Colombo siedzi jakiś bardzo gruby i łakomy faraon — wtrąciła znów Dominika. — Ale, o ile pamiętam ze szkoły, Egipcjanie nie wierzyli w reinkarnację... Istnieje ona chyba w religii buddyjskiej.

— Pewno zakładki znów jej się pomieszały — Ada była bezlitosna. — To są skutki przyswajania niewłaściwej lektury! Na pewno będzie lepiej, jeżeli jak najprędzej oddasz te książki do biblioteki i nie będziesz zaśmiecać sobie tym głowy. Przypominam ci, że siedzi ci na karku termin oddania projektu wystroju wnętrza pałacyku w Gutkowie, weź więc się za to, z czego masz chleb... Daj sobie spokój ze świętymi kotami, bo jak nam jeszcze trochę poczytasz, to zaczniemy składać pokłony przed Colombem i kot pomyśli, że mamy bzika.

— Dlaczego jesteś taka uparta? — Olga nie dała się sprowokować do kłótni. — Nigdy nie zaszkodzi dowiedzieć się o ciekawych sprawach, a to są przecież naukowe dzieła i żadnych głupot nie zawierają. Ależ tak!... Nie przerywajcie! O kotach różnie się mówi i trzeba wiedzieć, jak jest naprawdę... Tutaj można wszystko znaleźć. Zaraz

przeczytam wam mały fragmencik z książki Ottona Neuberta „Z kraju faraonów”. Posłuchajcie: „Należy wspomnieć również o grobach świętych zwierząt. A więc w Sakhara znajdował się cmentarz dla kotów, poświęconych ich protektorce Rechet. Gdy zdechł kot, balsamowano go, a jego mumię odnoszono z uroczystą procesją na cmentarz. Gdy zdychało jakieś święte zwierzę, ludzie lamentowali tak, jakby umarło ich ukochane dziecko i golili brwi na znak żałoby”... Czy to nie jest fascynujące?

— Jak to dobrze, że Colombo promieniuje czerstwym zdrowiem, bo już wyobrażam sobie, co się będzie działo, kiedy zechce przenieść się na tamten świat, a Olga zarządzi dla niego pogrzeb według egipskich obrzędów! — westchnęła obłudnie Ada. — Bardzo wątpię, czy z ogolonymi brwiami będzie nam do twarzy, ale i z balsamowaniem mogą być trudności, bo o olej jest coraz trudniej.

— Skoncentrujcie się, zamiast pleść byle co i powiedzcie, co sądzicie o tym wszystkim — Olga patrzyła pytająco na przyjaciółki. — Dla mnie nie ma żadnych wątpliwości, że koty dysponują jakąś tajemniczą, magiczną siłą, z którą trzeba się liczyć. Ja zresztą zawsze w to wierzyłam i wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby czarny kot z ogrodu Kraftów okazał się czymś tajemniczym i złowieszczym. Ja mam nosa do tych spraw!

— Mimo to uważam, że nie ma żadnych powodów do niepokoju — powiedziała pojednawczo Dominika. — Bardzo ładnie z twojej strony, że tak emocjonalnie podchodzisz do tej sprawy, ale naprawdę niepotrzebnie wkładasz w to tyle wysiłku. Nie żyjemy przecież w ciemnym średniowieczu.

— I całe szczęście! — zawołała Ada. — Już sobie wyobrażam, co by się wtedy wyprawiało! Ówczesna inkwizycja uganiałaby się za Olgą po wszystkich kryjówkach, które musiałybyśmy ciągle dla niej wyszukiwać, narażając się na wspólne spłócenie na stosie... Dziękuję! Poza tym stanowczo protestuję, Olga zapowiada wielkie rewelacje, blokuje nam całe popołudnie, a potem robi nam obszerny wykład na temat obciążania i konserwowania kocich skór... Prędzej porąbię moją ukochaną szafę, niż kiedykolwiek uznam, że w tych uczonych wywodach jest odrobina rozsądku. Nie dajmy się zwariować!

— Słusznie — przytaknęła z ulgą Tenia. — Możemy więc spokojnie wracać do domu. Mój stary już na pewno wygłodniał i muszę zrobić mu porządną kolację. Idziemy?

— I to szybko! Książki o kotach nie są jeszcze wyniesione i Olga może zacząć znów nas częstować ciekawostkami o boskości naszych mruczących czworonogów. Na dzisiaj mam już tego naprawdę dosyć.

— Zaczekaj! Przecież musisz mi pomóc w dostarczeniu tych książek do domu.

— Chcesz ciągnąć te torby do siebie? Po co? Stąd masz blisko do biblioteki, a od ciebie to kawał drogi.

— Wzięłam je w tym celu, aby przeczytać. Was może to nie interesować, ale ja mam na ten temat inne zdanie... Bierz tą większą. Ja jestem już zmęczona.

Ada, klnąc w duchu ile wlezie, zabrała ciężki bagaż i wszystkie poszły w kierunku tramwaju. Dominika odprowadziła je kawałek i wróciła powoli do domu.

Był już bardzo późny wieczór, kiedy Olga dotarła wreszcie do swojego mieszkania, odprowadzona przez Adę do samych drzwi. Wypiła jeszcze herbatę i skwapliwie powędrowała do łazienki, aby zmyć ślady upału i wzruszeń całego dnia. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy owinięta w swoją flanelową podomkę, nazwaną trochę złośliwie przez przyjaciółki „błękitny szal”, usiadła jak co dzień przy szeroko otwartym oknie. Na dworze było cicho, ale duszno i jakoś niespokojnie.

Nagle wiatr uderzył niespodziewanie w gąszcz ogrodu. Rozległ się szum i trzask, potem nagle cisza — i znów przejmujący głos wiatru, jakby ktoś wołał i zawodził.

— Wymarzona sceneria do angielskiego kryminału — mruknęła Olga, której coraz bardziej zaczął się udzielać nastrój tej burzliwej nocy. — Trzeba iść spać, bo jutro będę znów...

Raptem zamarła w całkowitym bezruchu, bo oto wzdłuż płotu biegł długimi

susami czarny kot.

— Ależ to on! — Olga żałowała w tej chwili niezmiernie, że nie ma z nią żadnej przyjaciółki. — A kysz!... przepadnij maro!

Tymczasem czarny cień rozpląnął się na tle siatki ogrodu. Wiatr szarpał konarami drzew i kołysał lampą ulicznej latarni. Narastał nastrój nieomal namacalnej grozy, która czaiła się w ciemnościach i szumie nocy. Olga czuła, że jeszcze chwila, a zacznie krzyczeć. Cofnęła się pośpiesznie i zamknęła okno.

— Jeżeli nie odpocznę, to rzeczywiście dostanę autentycznego bzika! — westchnęła, nakrywając się pledem po czubek głowy. — Niech będą przekłete wszystkie koty całego świata!

Ale sen nie nadchodził, a zza okna jęk wiatru brzmiał jeszcze bardziej złowrogo. Noc zapowiadała się ciężko i bezsennie. Nagle usłyszała jakiś dziwny głos. Wstała więc i na wpół przytomna powlokła się, aby otworzyć okno. Wiatr ucichł zupełnie i nieruchomy ogród drzemał w mroku.

— Chyba tam ktoś płacze... — nadaremnie usiłowała przebić wzrokiem ciemną ścianę żywopłotu.

Było rzeczywiście słycać czyjś cichy, żalony płacz.

— Co za przekłeta noc! — Olga przecierała obolałe oczy.

Wróciła do łóżka i z miejsca zasnęła twardym snem.

A w ogrodzie sąsiadów płacz nagle ucichł, a cisza, która potem zapanowała, niosła w sobie jakby zapowiedź nowego nieszczęścia i czyjejs wielkiej krzywdy.

Rozdział V

— Nareszcie jest czym oddychać! — cieszyła się Dominika, maszerując rześkim krokiem w kierunku domu. — Zaraz biorę prysznic, potem małe sprzątanie i odpoczynek na całego. Żadne kumy ani telewizja!

Przyśpieszyła kroku, bo truskawki w siatce zaczęły niepokojąco przeciekać. Była już pod drzwiami mieszkania, kiedy zobaczyła, że ktoś siedzi skulony na schodach.

— Ach, to ty! — rozpoznała Olę, która patrzyła na nią bez słowa. — Co tu robisz i dlaczego siedzisz na tych brudnych stopniach? Chodź! — Weszły do mieszkania. Dominika widząc, że jej gość wygląda wyjątkowo kiepsko, zaczęła z miejsca roztaczać swoje „dyplomatyczne” uroki: — Wyglądasz świetnie! Od razu widać, że spałaś doskonale. Masz ochotę na truskawki ze śmietaną?

— Do diabła z truskawkami! — Olga chwyciła się za głowę, jakby chciała sprawdzić, czy tam ją znajdzie. — Tylko bardzo mocna kawa może mnie uratować. Całą noc nie spałam!

— Czyżby znów jakiś futrzany gang zakłócił ci spokój nocny?... Siadaj, zaraz wrócę!

Po drugiej filiżance „szatana” Olga trochę odtajała, tylko włosy sterczały jej nadal jak u wystraszonego jeża.

— Choć zabij się, nie poradzę! — demonstrowała kompletne załamanie. — Jeśli to potrwa dłużej, to na pewno...

— Zaczynj wreszcie mówić do rzeczy!... Co się stało? — Dominika z rezygnacją rozstawała się ze swoimi marzeniami o odpoczynku.

— A stało się, stało... I to coś bardzo złego!

— Jestem pewna, że twój kot znów pomaszerował na nocne łowy do ogrodu Kraftów — uśmiechnęła się Dominika. — Ty zawsze coś musisz...

— Zaraz skończą się dowcipy... Otóż dowiedz się, że dzisiejszej nocy umarła nagle żona sąsiada. Wesołe, co?

— Którego? — Dominika o mało nie udusiła się truskawką. — Chyba nie tego,

co... No, wiesz!

— Właśnie tego! I pomyśleć, że w ciągu jednego tygodnia umarli w tym domu dwie osoby, nie licząc Kapcia.

— Ooo, do diabła! — Dominika po raz pierwszy zaczęła poważnie myśleć o tej sprawie. — A czy tego wieczoru widziałas także kota?

— Tak, widziałam. Otóż właśnie, kiedy około północy siedziałam w oknie...

I tu opisała dokładnie wrażenia ubiegłej nocy.

— Czy i teraz nie widzisz w tym nic dziwnego? — zapytała z ożywieniem, widząc prawdziwe zainteresowanie przyjaciółki.

— No tak... — Dominika wstała i zdecydowanym krokiem pomaszzerowała do telefonu. Wykręciła numer Ady. Po krótkiej rozmowie wróciła do pokoju.

— Ada zaraz przyjdzie — powiedziała, zasiadając do swoich truskawek. — Trzeba jeszcze powiadomić Tenię. Przyda się na pewno.

— Nic z tego nie rozumiem! — Olga była trochę speszona tymi energicznymi poczynaniami. — Co chcesz zrobić?

— To się zobaczy. Teraz dopij kawy i zjedz trochę truskawek. Pośpiesz się, dopóki są jeszcze jadalne!

Nie upłynęło pół godziny, a Ada dzwoniła już do drzwi wejściowych.

— Odstawiłaś się jak główny księgowy na wczasach? — podsumowała pani domu przybyłą, patrząc z podziwem na jej przepięknie haftowaną bluzkę.

— Zgadza się, bo też nie za moje pieniądze. Gdyby nie nadliczbowe godziny Tomasza, to chodziłabym z pewnością goła. Aaa, dzień dobry, Olga!

— Cześć! Dobrze, że przyszłaś! Dowiesz się zaraz nowych okropności. Siadaj i słuchaj!

— Pewno ten tajemniczy kot okocił się pod twoim oknem i masz teraz problem, co zrobić z kociętami. Poradzę ci z miejsca: wybierz jakieś atrakcyjne imiona i urządzaj chrzciny. Zbierzesz sporo prezentów... Ja sama postaram się...

— Daj spokój! — Dominika pośpiesznie likwidowała nadciągającą kłótnię. — Nie mamy teraz czasu na pustą gadaninę. Trzeba coś postanowić.

— Ale o czym? — Ada troskliwie poprawiała w lustrze swój wymyślny turban. — Czy mamy wymyślać imiona dla kotków?... Chętnie służę!

— Nie błaznuj i siadaj. Wydzwoniłam już Tenię. Zaraz przyjdzie.

— Będzie znów nam truła o swoim kochanym mężulku. Odkąd są rozwiedzeni, pije wciąż na jego cześć, niczym ogłupiała kura. Dajmy jej spokój!

Ale Tenia dzwoniła właśnie do drzwi. Ubrana była, jak zwykle, szalowo!

— Czy macie może ostatni horoskop z „Kulis”? — zapytała, całując w powietrzu cały babski majdan. — Chcę zerknąć na „wodnika”, bo to znak mojego starego.

— Może i stary, ale już nie twój! — westchnęła Dominika. — Ja na twoim miejscu nie spojrzałabym więcej na takiego łobuza, który po ośmiu latach udanego małżeństwa i bez żadnego logicznego powodu rozwodzi się z żoną... Do tego siedzi nadal na twoim garnuszku i szarogęsi się w nie swojej chacie. Zapomnij więc, choć na chwilę, o swoich sercowych szaleństwach i posłuchaj ciekawszych opowieści.

I biedna Olga już trzeci raz zaczęła opowiadać historię czarnego kota i wiążącej się z jego obecnością tragedii w wiliu Kraftów.

— No, teraz już stanowczo mamy za dużo tych „zbiegów okoliczności”. — Ada była wyraźnie zainteresowana całą sprawą. — Trzeba będzie coś z tym zrobić.

— Ja myślę, że ten kot, to jest na pewno jakaś dusza pokutująca z tamtego świata! — Tenia uwielbiała niesamowite historie. — Ja na miejscu Olgi umarłabym chyba ze strachu!

— Toteż niewiele jej do tego brakowało. — Dominika gorliwie dolewała kawy. — Ale co robić dalej?... Jak sądzicie?

— Nie ma sensu zwlekać! — Ada zdjęła turban z głowy. — Trzeba pójść z tym do milicji. Niech oni przyjrzą się tej zagadkowej sprawie z bliska.

— Tak właśnie myślałam! — ucieszyła się Dominika. — Same na pewno nic nie

poradzimy. Kiedy pójdziemy?

— Wszystkie? — Olga ze strachem spojrzała na przyjaciółki. — Ja nie pójdę. Wszystko mi się pokręci i wyjdę na głupią. Idźcie same!

— Pójdzie tylko jedna z nas — zdecydowała pośpiesznie Dominika. — Tam nikt nie wpuści takiej gromady bab. Niech idzie Ada!

— Ja? — Ada z wrażenia rozlała kawę. — Dlaczego właśnie ja?

— Masz dobrą prezencję, doskonałą figurę i nikt inny nie potrafi tak przekonywająco reprezentować naszej sprawy.

Ada wzruszyła ramionami.

— Co ma moja figura do tajemniczych zgonów w domu Kraftów! Tam trzeba uzasadnić, a nie uwodzić!

— Każdy mężczyzna da się łatwo przekonać, gdy będzie miał przed sobą tak atrakcyjną babkę, jak ty! — stwierdziła stanowczo Dominika — a tam pracują przecież sami mężczyźni. No, uważam, że sprawa jest załatwiona i nie trzeba dalszych dyskusji. Idziesz i już!

— Ale jest już późne popołudnie, a jutro pracuję do piętnastej... — broniła się słabo Ada, całkiem już zresztą przekonana.

— Zaczekajcie! — Dominika ruszyła do przedpokoju i było słyhać, że gdzieś gorączkowo telefonuje.

— Wszystko w porządku! — wracając uśmiechnęła się do wpatrzonych w nią przyjaciółek. — Tak szczęśliwie się składa, że za pół godziny przyjdzie do komendy miejskiej sam naczelnik Wydziału Kryminalnego. Możemy tam zaraz pędzić, a im prędzej, tym lepiej!

— Tak ubrane? — Ada była wcieleniem czystego oburzenia. — Do milicji idzie się w białej bluzce i granatowej spódnicy...

— Może do tego plisowanej! — Tenia szybko dopijała kawy. — Wyglądasz znakomicie i doskonale o tym wiesz!

— Tylko ta spódnica jest stanowczo za długa — martwiła się Dominika. — Ale już wiem... Zaraz będzie dobrze! — Przykłęka na dywanie i jednym energicznym szerpnięciem rozdarła ją nieomal do kolan.

— Co ty wyprawiasz?! — Ada patrzyła osłupiała na przepołowiony ciuch. — Zniszczyłaś mi całą spódnicę!

— No, może trochę przesadziłam, ale rozporek musi zostać. Jest przecież teraz supermodny!

Ada, całkiem zrezygnowana, zdjęła spódnicę i przyjaciółki wzięły się żwawo do roboty. Rozporek został prowizorycznie obrębiony (przecież to tylko na chwilę), dół porządnie skrócony (nareszcie klosz układa się jak należy), całość starannie odprasowana (musi robić wrażenie) i po chwili Ada oglądała się już w lustrze w nowej kreacji.

— Weź moje szpilki, będą stosowniejsze do całości, a tutaj torebka... — Dominika wyciągnęła z szafy błyszczące pantofelki. — Zobacz, czy nie są za małe.

— Masz moją haftowaną chusteczkę! — Tenia wypruwała z siebie serce. — Jak będziesz płakać, to ci się przyda!

— Dlaczego mam płakać? — Ada, zupełnie ogłupiała, kręciła się posłusznie w rękach życzliwych przyjaciółek. — To chyba raczej naczelnik rozpłacze się na mój widok. Dajcie mi wreszcie spokój!

— Chyba macie całkiem poprzestawiane klepki! — załamała ręce Olga, która dotąd zachowywała wyniosły dystans do tego, co dokoła niej się działo. — Mamy przecież w planie donieść milicji, że jakaś podejrzana śmierć krąży w domu spokojnych obywateli, a wy szykujecie się jak na maskaradę! Jak Ada wygląda?... Kto będzie słuhał i traktował poważnie takiego koczkodana?... Zlitujcie się, ciężkie idiotki!

— Sama byś tak chciała wyglądać! — Dominika dobrotliwie mitygowała rozeźloną przyjaciółkę. — pół godziny już dawno minęło. Idziemy!

Do komendy miejskiej było niedaleko. Duży szary gmach przylegał jedną ścianą do miejskiego parku, którego aleje były gęsto obstawione ławkami.

— Tutaj poczekamy. — Dominika oglądała Adę jak matka pannę młodą przed jej pójściem do ołtarza. — Bądź spokojna, rzeczowa, a w trudnych momentach oddychaj głęboko... To dobrze robi na serce! No, idź już! Pa!

Usadwiły się rządkiem na ławce i patrzyły ^ troską jak ich delegatka oddala się w stronę szarego gmachu.

— Myślę, że milicja popędzi zaraz na syrenie do domu

tych Kraftów! — Tenia miała wypieki z emocji. — Jednak nie wierzą, żeby ten czarny kot dał się pochwycić choćby najbardziej przystojnemu milicjantowi Peerel. Ze złym duchem nie ma żartów!

— Milicja nie interesuje się kotami — westchnęła Dominika. — Może Ada potrafi jednak ich przekonać, że te śmiertelne wypadki u Kraftów są tylko pozornie normalne... O tym kocie lepiej wcale nie wspominać!

— Jak to? Bez tego wszystko nie ma sensu! — Olga była zdenerwowana jak nigdy dotąd. — Przecież to właśnie kot rozpoczął serię tych nieszczęść i on musi być najważniejszy!

— Dla myszy może tak, ale nie dla milicji! Oni uznają tylko same konkrety!

— A czy kot nie był konkretny? Widziałam go na własne oczy aż trzy razy, a zaraz potem...

— Znamy już to wszystko na pamięć — uspokajała rozdygotaną przyjaciółkę Dominika. — Ale po co tak się denerwować? Na razie nic jeszcze nie wiadomo. Początek jest już zrobiony i jak Ada wróci, będziemy wiedziały, czego się trzymać.

Ale tak bardzo oczekiwana koleżanka ciągle nie nadchodziła. Minęła już dobra godzina, a jej wciąż nie było.

— Mówię wam, że za sam wygląd zamknęli ją z miejsca! — Olga kręciła się nieprzytomnie na ławce. — A przecież tłumaczyłam, prosiłam i nie z tego... Teraz macie!

— Co mamy? Siedź cicho, bo wszystkie gonimy resztkami nerwów... Ale patrzcie... Idzie!

Rzeczywiście, do ich ławki zbliżała się Ada, ale jaka! — czerwona, spocona, trzymająca mocno w garści rozprutą spódnicę i z trudem utrzymującą równowagę na szpilkach, rozjeżdżających się w głębokim żwirze. Dominika wybiegła jej na spotkanie.

— Do diabła z waszymi pomysłami! — jęknęła Ada podchodząc. — I zabierajcie zaraz te cholerne szpilki! — Usiadła ciężko na ławce i wyciągnęła przed siebie z ulgą bose nogi. — Dajcie agrafkę, żeby spiąć spódnicę... Kroku więcej nie zrobię w tej rozdartej kiecce!

— Może zaczniesz już opowiadać, jak tam było! — zdenerwowała się Olga. — Czekamy parę godzin, jak na szpilkach, a ona...

— Ja też cały czas byłam na szpilkach i to jakich! — Ada oskarżycielskim gestem pokazywała obolałe stopy. — Niech je wszystkie...

— Dajcie spokój! — Dominika traciła powoli resztki cierpliwości. — A więc, co w rezultacie załatwiłaś? Słuchamy pilnie!

— Wszystko wam opowiem, ale w domu... Błagam! Bez solidnego kawska nie wykrztuszę ani słowa. Przeżyłam straszne rzeczy!

— Idziemy! — Olga z rezygnacją podniosła się z ławki. — Może rzeczywiście w domu będzie najlepiej.

Zapał już późny wieczór, kiedy znalazły się znów w mieszkaniu Dominiki.

— Czy to zdrowo łąpać tyle kawy na noc? — powątpiewała Tenia, która zawsze dbała o higieniczny tryb życia. — Może jednak lepiej mleko...

— Wszystko, co dobre, jest niezdrowe — uśmiechnęła się zmęczona już Dominika. — Twój stary też podobno był dobry, a na zdrowie ci nie wyszedł. Siadajcie, proszę!

Ada jeszcze w przedpokoju zdjęła spódnicę i w samej halce położyła się na tapczanie.

— Siadajcie koło mnie, muszę nareszcie wyprostować nogi. — Ułożyła się wygodnie i spojrzała w stronę przyjaciółek. — A teraz słuchajcie uważnie: początek był najgorszy, bo ten w okienku nie chciał mnie wpuścić — tu uśmiechnęła się na wspomnienie miny dyżurującego milicjanta. — Niecodziennie, widocznie, przychodzą do nich wytworne damy!...

— Właśnie! — Olga aż rozlała trochę kawy na kolana. - - Takie damy bywają u

nich raczej przymusowo i idą z miejsca do ciupy! Przecież mówiłam...

— Nie przeszkadzaj i daj mówić innym! — pani domu była wściekła. — Do końca życia nie dowiemy się niczego! Ada, powiedz wreszcie, jak milicja zareagowała na tę historię... Co powiedział naczelnik?

— Jest w szarży kapitana i tak go będę tytułowała... Ale do niego jeszcze daleko!
— Ada podłożyła sobie poduszkę pod nogi. — Zanim dostałam się do niego, to...

— Zlituj się! Opowiadasz jak Rzędzian o gruszkach w „Ogniem i mieczem”. Mów najpierw o samych efektach rozmowy, a potem opowiesz szczegóły!

— U mnie wszystko jest ważne! — Ada była zachwycona swoją rolą. — Zrozum wreszcie, że jeśli nie będę opowiadała po kolei, to niczego nie zrozumiecie.

— No więc mów, jak chcesz, byle prędko! — błagała Tenia, która już dawno miała być w domu.

— Przecież cały czas opowiadam! No więc kiedy ten uparty milicjant dał mi wreszcie przepustkę i wskazał drogę do kapitana, zdążyłam już, od tych przeklętych szpilek, spuchnąć w kostkach. Kapitan był zajęty, musiałam więc czekać na korytarzu. Czułam się okropnie, bo wszyscy przechodzący gapili się na mnie, jakby nigdy kobiet nie widzieli.

— A nie mówiłam! — krzyknęła triumfalnie Olga, ale obrzucona groźnym wzrokiem Dominiki zamilkła natychmiast, a Ada wypila spokojnie łyk kawy i powoli ciągnęła dalej:

— Długo to trwało, ale doczekałam się wreszcie, że kapitan wyszedł na korytarz i poprosił mnie do swojego pokoju. Z miejsca byłam nim zachwycona!

— Taki przystojny? — Tenia zapomniała o powrocie do domu. — Czy może brunet z niebieskimi oczami, bo mi właśnie w kartach wychodziło...

— Najprawdziwszy brunet, o długich trzepoczących rzęsach — uzupełniła trochę złośliwie Ada. — Ale oprócz doskonałego wyglądu był jeszcze bardzo grzeczny i uprzejmy, a u mężczyzny...

— Wiemy, wiemy! Ale co dalej?

— Przeprosiłam go za zabranie mu „cennego czasu”, a potem opowiedziałam całą historię naszej „kociej” sprawy. Z detalami!

— A on popędził zaraz najszybszym wozem milicyjnym do Kraftów! — Tenia uzupełniła naprędce przydługą relację Ady. — A co powiedział na temat kota?

— Powiedział, że... — tu Ada zająknęła się trochę — że „ta historia jest kawałkiem codziennego życia i że nie ma w tym żadnej specjalnej nieprawidłowości, wymagającej interwencji milicji”.

— Tylko tyle?! — przyjaciółki były więcej niż zawiedzione. — Czyli odmówił pomocy w tej sprawie. Czy tak?

— A odmówił! Nadmienił tylko, że żona pana Krafta popełniła samobójstwo i że istnieje wiarygodny motyw tego desperackiego kroku... Niedawno przecież umarł jej mąż.

— A więc z wysiłków naszych nici! — Olga była bardzo rozgoryczona.

— Jak to — nici? — oburzyła się Dominika. — Teraz przynajmniej mamy pewność, że na nikogo nie możemy liczyć. Zgłosiliśmy nasze wątpliwości, gdzie należało, a teraz będziemy spokojnie działać same.

~ To znaczy... — Ada zapomniała o swoich bolących nogach. — To znaczy, że ta sprawa jest nadal aktualna?

— Ależ tak! — Dominika uśmiechnęła się na widok zdumionych spojrzeń przyjaciółek. — Gdyby nie ten kot, byłabym nawet skłonna uważać podobnie jak sugerował Adzie przystojny kapitan, ale fakt, że każdą śmierć w tym domu poprzedzało zawsze pojawienie się czarnego kota, to — moim zdaniem — nie jest zwykły przypadek. W tym musi coś być!

— Głowę daję, że to jest duch zemsty z tamtego świata! — Tenia oglądała się już za torebką, ale brała jeszcze czynny udział w dyskusji. — Chyba pamiętacie, że już to wam mówiłam!

— Zemsty szukają tylko ludzie, a nie jakieś duchy wcielone w kocią skórę — powiedziała Dominika. — Czują, że kot jest kluczem do całej sprawy... Olga, obserwuj codziennie ogród i patrz pilnie, skąd ten kot nadchodzi. Dobrze?

— Oczywiście! — Olga stała się nagle żwawa i pełna wigoru. — Czyli że mam go regularnie śledzić? Możesz na mnie polegać!

— Tylko zawiąż mu koniecznie kokardkę na ogonie, aby ci się nie pomieszał z jakimś innym duchem zemsty! — Ada kończyła zszywanie spódnicy. — Jednak przyznacie, że ja też się na coś przydałam, nieprawdaż?

— I to bardzo! — Dominika uściślała serdecznie przyjaciółką. — Ale powiedz nam teraz szczerze, czy nie umówiłaś się na randkę z tym przystojnym kapitanem, co?

— To nie, ale kiedy mnie żegnał, to miał bardzo obiecujący błysk w oku... Naprawdę!

— Na pewno zauważył twoją rozdartą spódnicę! — Olga pośpiesznie podążyła w stronę przedpokoju. — Ale chwileczkę... Kiedy się znów spotkamy i gdzie?

— Na pogrzebie pani Kraftowej — zdecydowała Dominika. — Podobno morderca przychodzi zawsze na pogrzeb swojej ofiary... — tu urwała jakby zaskoczona własnymi słowami.

— A więc jednak uważasz, że oni zostali zamordowani... Nonsens! — Ada zatrzymała się przy drzwiach wejściowych. — Przecież wiadomo, że...

— Owszem, wiadomo. Ale trzeba spojrzeć na tę sprawę i z tej strony... Jeszcze jedno: Olga, dowiedz się, proszę, kiedy odbędzie się pogrzeb i zadzwoń zaraz do mnie. Ja powiadomię Adę i Tenię. I przypominam — pamiętaj o kocie! Notuj sobie dokładnie, z jakiej strony nadbiega i gdzie znika. Zapisuj też godzinę. To może być bardzo ważne!

— Obiecuję ci, że w celu usprawnienia śledztwa nauczę ją po drodze chodzić na czworakach. Będzie to bardzo pomocne w skutecznym tropieniu kocich śladów. — Ada wzięła pojednawczo pod rękę zaperzoną przyjaciółkę. — Idziemy! Padam ze zmęczenia.

Po chwili w mieszkaniu Dominiki zrobiło się cicho, tylko góra naczyń świadczyła, że było tu wielu gości i długo bawili.

— Dlaczego tak mnie intryguje ten czarny kot? — Dominika myślała pośpiesznie szklanki. — Przecież pozornie to nie ma sensu, ale przecież na świecie można odnotować zjawiska, jakie nie śniły się filozofom.

Była zmęczona i usnęła nieomal natychmiast. Colombo, rezygnując z nocnego spaceru, ułożył się wygodnie przy jej nogach. Dokoła zaległa cisza i tylko było słychać szelest liści w alei topolowej.

Minęła już północ, kiedy na tle ściany domku, tuż pod oknami Dominiki, pokazał się nagle niewyraźny zarys jakiejś postaci. Trwała ona nieruchomo, jakby przylepiona do muru, ale nie zakłócona cisza ośmieliła intruza. Powoli, bardzo ostrożnie, zaczął się skradać do góry, w stronę szeroko otwartego okna, przesłoniętego tylko poruszającą się lekko firanką. Kiedy dosięgał już parapetu, z ciemnej plamy pokoju wyskoczył nagle z rozmachem wielki, rozwścieczony kot i parskając groźnie, z szeroko rozstawionymi łapami, zaatakował błyskawicznie nieproszonego gościa. Nikt by nie poznał łagodnego i leniwego zwykle kota, z którym tak chętnie bawi się Sylwia, mała córeczka sąsiadów. Teraz, wyczuwając bezbłędnie niebezpieczeństwo grożące jego pani, zamienił się raptownie w drapieżną i krwiożerczą bestię, broniącą pazurami dostępu do domu. Nie baczył wcale, że jego przeciwnik jest o wiele mocniejszy. Walczył z siłą, o którą nawet sam siebie by nie posądzał.

Wkrótce walka była skończona. Colombo jeszcze długo warował na trawniku, patrząc nieustannie w kierunku, gdzie w panicznej ucieczce zniknął nocny przybysz. Nie było wcale trudno zmusić go do odwrotu. Był najzupełniej zaskoczony i wycofał się w popłochu, zwłaszcza że pazury Colomba zostawiły na jego skórze głębokie,

krwawiące ślady.

Wkrótce zaczęło świtać. Mrok powoli ustępował i ptaki rozpoczynały już swój poranny świergot. Colombo obszedł jeszcze domek dookoła, otrząsnął futro z nocnej rosy i wskoczył na parapet okna. Dumny ze swojego wyczynu i ciągle jeszcze napięty, siedział tam nieruchomo, niby pogański posązek, odbijający się wyraźną plamą na tle białej firanki. Czuwał jeszcze parę godzin, ale kiedy Dominika obudziła się, Colombo leżał na tapczanie na swoim miejscu i smacznie chrapał. Był przekonany, że przygoda ubiegłej nocy pozostanie jego wyłączną tajemnicą.

Tego dnia Dominika wstała z bólem głowy. Spieszyła się bardzo, aby zdążyć do pracy i zostawiła nawet nie posłany tapczan, tłumacząc się sama przed sobą, że szkoda jej budzić Colomba, który spał dzisiaj wyjątkowo długo i tak twardo, że nie zniżył go nawet zapach smażonej w pośpiechu jajecznicy. Dominika zostawiła mu pokazną porcję wędzonego dorsza i wybiegła z mieszkania. Na ławce przed domem siedziała sąsiadka z pierwszego piętra. Była zajęta, jak zwykle, haftowaniem którejś z kolei serwety.

— Chyba dzisiaj w nocy jakiś złodziej kręcił się koło naszego domu — powiedziała pani Jola, odpowiadając uśmiechem na grzeczne „dzień dobry” Dominiki. — Widziałam go jak na dłoni.

— Jak to? — Dominika stanęła jak wryta. — Pani chyba żartuje?

— Skąd! Niech pani na chwilę usiądzie. Zaraz wszystko opowiem.

— Bardzo śpieszę się do pracy... No, ale na minutkę... Słucham panią. Czy to możliwe, żeby...

— Przecież sama widziałam! — pani Jola odłożyła serwetę. — Zawsze pani powtarzam, że na parterze nie można zostawiać na noc otwartych okien... Ale pani...

— Ale co było z tym złodziejem? — Dominika zerkała nerwowo na zegarek. — Może to był raczej któryś z naszych sąsiadów... Słyszę przecież często, że nawet po północy ktoś wbiega po schodach. Dlaczego więc tym razem...

— To nie był nikt z naszych. Na pewno! Ale niech pani posłucha: Dzisiaj w nocy nie mogłam spać. Wieczorem wzięłam relanium, ale rozbolała mnie tylko głowa i sen nie nadchodził. Długo kręciłam się w łóżku i wreszcie wstałam i poszłam do kuchni, żeby napić się wody i zapalić papierosa. Okno było otwarte i usłyszałam nagle jakiś dziwny głos. Coś kotłowało się pod pani oknem. Wyjrzałam ostrożnie i zobaczyłam jakiś cień, posuwający się szybko wzdłuż muru. Za nim biegł Colombo, parszcząc i miaucząc przeraźliwie. Co chwila przyskakiwał z pazurami do tego cienia i wyraźnie go atakował. Po krótkiej chwili wszystko zniknęło za narożnikiem domu i nic już więcej nie widziałam. Nie ulega jednak wątpliwości, że ktoś czatował pod pani oknem i Bóg wie, jakie miał zamiary.

— A jak wyglądał ten cień? — zapytała Dominika. — Wydaje mi się, że była to zwykła utarczka Colomba z Maćkiem. Przecież pani wie, jak oni się nie lubią i przy każdej okazji wojują ze sobą.

— Nic podobnego! — zaprzeczyła stanowczo pani Jola. — Ten cień na murze nie był żadnym kotem. Wyglądał raczej na człowieka, uciekającego chyłkiem przy ścianie.

— W nocy wszystko wydaje się większe i inne — upierała się Dominika. — To trzeba wziąć pod uwagę.

— Owszem, ale wtedy Colombo też byłby większy. Ta postać na pewno nie była kotem. To był jakiś złodziejaszek i basta! Niech pani lepiej zamyka na noc okna, bo może to się źle skończyć!

— Czy pani jest naprawdę całkiem pewna, że to był człowiek, a nie jakiś wielki kot? — Dominice było trudno w to wszystko uwierzyć. — Przecież Colombo nie atakowałby człowieka!... Nigdy tego nie robił i jest taki łagodny...

— To dziwne, ale jestem najpewniejsza! Colombo jest wyjątkowo dużym kotem, a przecież przy tamtej postaci był wielokrotnie mniejszy... Chyba że to był jakiś kot potwór, a takie widuje się tylko w filmach. Byłam też bardzo zaskoczona tak dziwną odmianą Colomba. Przecież on był zawsze leniwym, łagodnym i wiecznie zaspanym

kotem, a tej nocy zachowywał się jak dzika, zwinna puma... Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Żaden pies nie byłby od niego lepszym stróżem. No, ale muszę już iść do domu. Sylwia śpi, ale na pewno zaraz się obudzi i trzeba szykować dla niej śniadanie. Do widzenia!

Dominika podziękowała sąsiadce i podeszła pod swoje okna. Na ścieżce, tuż przy ścianie budynku, zobaczyła kilkanaście zaschniętych kropelek krwi. Prowadziły one aż do krawężnika. Potem zaczynała się już trawa i ślady się zgubiły.

— Ale co to? — Dominika ujrzała w głębi trawnika jakiś okrągły brązowy przedmiot. Podniosła go i osłupiała ze zdumienia. Był to duży kłęb sznurka, mocno zwinięty i nasycony jakimś silnie pachnącym płynem. Ależ tak... to nafta! Skąd się to wzięło koło jej domu? Wczoraj przechodziła tędy kilka razy, a wieczorem podlewała trawnik i niczego nie zauważyła. Ktoś więc zgubił go tutaj ubiegłej nocy... Ale kto?

W pierwszej chwili miała zamiar wyrzucić znaleziony sznurek do pojemnika, ale pomyślała chwilę i zmieniła zamiar. Pobiegła z powrotem do mieszkania, otworzyła drzwiczki od pieca i tam go wrzuciła. Potem zamknęła i zakręciła piec, umyła szybko ręce i popędziła do postoju taksówek. Na szczęście stał ich dzisiaj cały rząd.

Pogrzeb pani Kraftowej był wyznaczony na godzinę piętnastą i Dominika pobiegła tam wprost z pracy. Po drodze spotkała Olę z Adą. Przyjaciółki zdążyły dołączyć do orszaku żałobnego, kiedy ten przekraczał już bramę cmentarza. Było tam zaledwie kilka osób, w tym same sąsiadki, a za trumną szła w żałobie tylko jedna kobieta. Nie było księdza ani ministrantów, widocznie pogrzeb samobójcy wykluczał ich obecność. Jasna główka Teni odbijała się wyraźnie na tle szarej całości.

— Czy to była jeszcze młoda kobieta? — zapytała cicho Dominika. — Ile mogła mieć lat?

— Trochę po pięćdziesiątce. Bardzo miła i pogodna. Lubili ją wszyscy — informowała szeptem Olga. — Mój Boże, cóż warto jest życie ludzkie!

— Ale dlaczego popełniła samobójstwo? — Dominika patrzyła uporczywie na skromną trumnę, którą stawiano właśnie koło świeżo wykopanego grobu. — Przecież coś musiało ją do tego skłonić...

Odeszła w zamyśleniu w boczną alejkę. Kolorowe kwiaty na grobach kontrastowały z nastrojem żałoby i smutku, jaki tu niepodzielnie panował. Nagle zobaczyła jakąś kobietę, która stała niedaleko, obok wysokiego pomnika i patrzyła poprzez krzewy w stronę miejsca, gdzie odbywała się ceremonia pogrzebowa. Była w średnim wieku, szczupła, bardzo jeszcze przystojna, ubrana w popielaty, dobrze uszyty kostium. Dominika, schowana za grubym pniem drzewa, obserwowała z ciekawością jej bladą i ściągniętą twarz, w której paliły się duże czarne oczy.

— Wygląda na to, że ceremonia ta nie jest jej obojętna — skonstatowała zaskoczona Dominika. — Ale może to być zupełnie przypadkowy widz...

Nagle rozległ się odgłos rzucanych grudek na wieko trumny. Dominika wiedziała, że powinna już odejść, ale nie mogła oderwać wzroku od twarzy nieznajomej, która wciąż uporczywie patrzyła w stronę rozkopanej mogiły. Ogromne łzy spływały jej po twarzy. Nagle wyprostowała się, dotknęła chusteczką oczu i zniknęła między grobami.

— Czyżbym śniła? — Dominika dopadła miejsca, gdzie przed chwilą stała ta kobieta, ale nie było już nikogo. Tylko liście drzew szumiały cicho.

— Gdzie ty polazłaś? — usłyszała koło siebie wściekły szept Olgi. — Miałas w naszym imieniu rzucić kwiaty na trumnę, tymczasem już prawie po pogrzebie, a ty paradujesz sobie w najlepsze z bukietem po cmentarzu. Zwariowałaś czy co?!

— Cicho! — Dominika wzięła Olę mocno pod rękę i szybko wracała do miejsca, gdzie zaczęła już urastać mała górka ziemi. Położyła z boku kwiaty i podeszła do kobiety w żałobie, aby jej złożyć kondolencje.

Miały już odejść, kiedy zobaczyły, jak jakiś młody wysoki i bardzo piegowaty blondyn, o prawie białych włosach, składa również wyrazy współczucia i znika tak samo szybko, jak się pokazał.

— Widocznie jakiś krewny przyjechał w ostatniej chwili — pokiwała głową Olga.

— Ci młodzi przychodzą zawsze za późno, chociaż w rzeczywistości mają mnóstwo wolnego czasu.

— Zależy kto... Moja córka nigdy go nie miała — westchnęła Dominika. — Już od dziecka zawsze się gdzieś śpieszyła.

— Jacek też! — potwierdziła Ada. — Ale czy oni nie psują sobie przez to dzieciństwa?

— Kto wie... może tak...

Szły powoli do przystanku. Rozmowa się urwała i wszystkie były milczące i zamyślane.

— Wstąpcie do mnie — prosiła Tenia. — Zaraz będzie autobus. Pogadamy sobie tym razem u mnie.

Bardzo długo czekały i kiedy autobus wreszcie nadjechał, z wielkim trudem udało im się wtoczyć do środka.

— Na piechotę byłybyśmy o wiele wcześniej — biadolila Olga, która nie cierpiała tłoku. — Daleko jeszcze?

— Zaraz będziemy na miejscu... Trochę cierpliwości! — pocieszała ją Tenia. Jesteśmy już za mostem. Jeszcze jeden przystanek i wysiadamy.

Rzeczywiście, w kwadrans później przyjaciółki wchodziły już do ślicznego ogrodu.

— Ależ zapach! — Ada z podziwem spoglądała na ogromny różany klomb. — Widzę, że żyjesz tu sobie jak Alicja w krainie czarów.

— ... tylko zły czarownik, czyli były mężulek, chce ją na siłę zamienić w miotłę — Olga była bezlitosna. — No, prowadź na salony, bo padam z nóg!

W dużym jasnym pokoju było chłodno. Na okrągłym stole śmiał się wesołymi kolorami duży bukiet kwiatów. Przyjaciółki z przyjemnością zagłębiły się w czeluściach przytulnych foteli. Odpoczywały.

— A więc przystępujemy do narady przy okrągłym stole! — Ada z trudem panowała nad ogarniającą ją sennością. — Róbnymy coś, byle szybko! Czuję, że niedługo zacznę chrapać.

— Coś mi się wydaje, że ta senność zaraz ci przejdzie. — Olga z aprobatą spoglądała na ogromny placek z czereśniami, który Tenia stawiała właśnie na stole. — Ale czy to wypada, aby po takich smutnych doznaniach oddawać się rozkoszom podniebienia?

— To możesz nie jeść. — Dominika skwapliwie podsunęła Teni swój talerzyk. — Dziury w niebie nie będzie!

— Ale miałyśmy przecież rozmawiać o naszej sprawie. — Gospodyni płonęła ciekawością. — Czy zauważyliście może coś podejrzanego na tym pogrzebie?... Bo ja osobiście...

— Chwileczkę! — Dominika postanowiła uporządkować dyskusję. — Proponuję, aby każda z nas relacjonowała po kolei, co ciekawego zauważyła dzisiaj w czasie pogrzebu. Tenia już zaczęła. Słuchamy!

— Ja... — zająknęła się pani domu, bardzo przejęta swoją rolą. — Ja właściwie nic... Zwróciłam tylko uwagę, że ta kobieta w żałobie była bardzo przejęta i zrozpaczona... Myślałam, że sama się rozplaczę. mAle nie ma w tym nic podejrzanego — pouczała Ada

skonfundowaną koleżanką. — Gdyby uśmiechała się promiennie i wybijała hołubce nad grobem, to wtedy z pewnością oddałabym ją do rąk własnych mojego przystojnego kapitana jako podejrzaną numer jeden. Ale to nic... Na początek dobre i takie uwagi.

— Teraz kolej na wielbicielekę czarnych kotów. — Dominika spojrzała z uśmiechem na Olgę, która spokojnie wykańczała drugi kawałek placka. — Co ty z kolei masz nam do powiedzenia?

— Może teraz ja! — Ada pośpiesznie ratowała przyjaciółkę, która oczami dawała znaki, że chwilowo nie może mówić. — Ja melduję, szefie, że nic podejrzanego nie zauważyłam. Ciekawi mnie tylko ta kobieta w żałobie, jedyna krewna nieżyjących

Kraftów. Z niewielkiej liczby osób na pogrzebie można wnioskować, że sąsiedzi Olgi nie mieli wielu znajomych. Z rodziny też nikt na pogrzeb nie przybył, chyba że tylko ten piegowaty blondas, który wpadł widocznie między jednym a drugim pociągiem... Czyli w sumie...

Tu urwała i spojrzała niepewnie na koleżanki.

— W sumie można odnotować, że nie utrzymywali żadnych kontaktów towarzyskich i chyba nie mają w Toruniu bliższej rodziny — rzekła Dominika głęboko zamyślona. — Ale kim jest ta pani w żałobie?

— To siostra pani Kraft — wyjaśniła Olga, która wreszcie odzyskała głos. — Jest to chyba osoba niezamężna, bo od lat mieszka u siostry. Kraftowie byli zawsze całkowitymi odludkami. Nigdy nie widziałam, żeby poza pracownikiem elektrowni ktoś do nich przychodził. Zresztą Kapeć i tak nikogo by nie wpuścił.

— To znaczy, że ona mieszka teraz zupełnie sama w tym domu? — zapytała Dominika.

— Teraz tak!

— A czy widziałas w tych dniach naszego czarnego kota?

— Nie! Wytrwale czatowałam, ale go na pewno nie było.

— To nie przeszkadza, że w każdej chwili może przyjść. — Dominika ku zdumieniu przyjaciółek zaczęła się denerwować. — Musimy jak najprędzej pójść do niej!

— Do kogo? — Olga z wrażenia wzięła trzeci kawałek placka. — Znowu dostajesz bzika? Zauważyłam to już na cmentarzu!

— A czy wiecie, co ja tam widziałam? — zapytała Dominika cicho, ale za to takim tonem, że wszystkie przyjaciółki jak na komendę przestały jeść i zamarły w milczącym oczekiwaniu.

— Właściwie, to może być zupełnie bez znaczenia, ale...

I bez koloryzowania, krótko i zwięźle opowiedziała o swoim dzisiejszym spotkaniu z kobietą w popielatym kostiumie.

— Może to była sąsiadka, której pani Kraft nie zdążyła oddać stowy, pożyczonej do pierwszego — zaczęła po swoimu Ada, ale umilkła natychmiast, widząc poważne miny koleżanek.

— Mogła to być, oczywiście, zupełnie przypadkowo przebywająca tam osoba, która skracala sobie drogę przez cmentarz albo odwiedzała grób kogoś bliskiego — przyznała niepewnie Dominika — ale wyraz jej twarzy był stanowczo zastanawiający. Nie było to zwykłe przyglądanie się komuś, czy czemuś, z ciekawości. Na pewno nie! Przecież widziałam, jak płakała... Ale kto to był?

— Trzeba było ją o to zapytać, kiedy stała przed tobą, teraz jest chyba za późno! — orzekła z właściwym sobie poczuciem humoru Ada. — Ale Toruń nie jest taki duży, może więc ją jeszcze gdzieś spotkamy.

— Nie radziłabym na to liczyć, bo przyjdzie nam czekać całe życie! — Olga machnęła ręką. — Musimy znaleźć jakiś inny sposób. Trzeba to przemyśleć!

— Z pewnością przemyślimy, ale na razie trzeba nam pożegnać gościnną gospodynię i wędrować do chaty. Po drodze odprowadzimy Olgę. — Ada z przerażeniem patrzyła na zegarek.

— Dlaczego wam się tak śpieszy? — Tenia była rozczarowana. — Posiedźcie jeszcze!

— Tobie dobrze, bo nie pracujesz zawodowo i chłopca też masz już z głowy, my zaś musimy pędzić na godzinę z zegarkiem w zębach, a jeszcze trzeba dzisiaj coś przeprać, zrobić kolację i tede! No, cześć! Placek był wspaniały!

— Sprawa się diabelnie kotłuje! — Olga dreptała koło przyjaciółek. — Tyle dni już minęło, a my wciąż głupie jak stołowe nogi. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby znów coś nowego się okoczyło... Tfu! Co ja plotę!... Na psa urok!

— To nie jest takie niemądre jak myślisz! — Dominika szła posępnie zamyślona. — Trzeba najpóźniej jutro pójść do siostry pani Kraftowej. Musimy ją przestrzec, aby

była ostrożna, kiedy zobaczy tego paskudnego kota. Czort wie, co się za tym kryje!

— Ot, głowa puchnie! — westchnęła Olga. — A czy nie należałoby pójść teraz na dłuższy spacer gdzieś nad Wisłę i tam przemyśleć wszystko spokojnie? Trzeba złapać trochę powietrza. Pójdziemy?

— Pomyśl dobry, ale beze mnie — powiedziała stanowczo Ada. — Jeżeli mam jutro urwać się na tę rozmowę do domu Kraftów, to muszę natychmiast pędzić do siebie. Jak zrobię kopę pierogów z kaszą, a mój Tomasz z Jackiem je uwielbiają, to jutro nawet nie zauważą, że mnie nie ma. No, to bywajcie i dotleniajcie się do syta! Do zobaczenia!

Nadjechała dziesiątka. Na przystanku czekał ogromny tłum i Ada znów musiała pchać się siłą do środka. Dominika z Olgą pomachały w stronę przepełnionego autobusu i poszły spacerkiem w stronę mostu, a potem stromą ścieżką w dół, nad Wisłę.

— Przez tę „kocią” sprawę chata mi brudem zarośnie! — biadoliła Dominika, patrząc z rozpaczą na swój pokoik. — Pędzimy gdzieś stale, zaraz po pracy, a robota domowa leży odłogiem i warczy!

— Pociesz się, że dzień w dzień mąż urządza mi kosmiczne awantury na temat: że mnie nigdy nie ma w domu, dziecko płacze głodne, a w lodówce myszy zdychają z braku pożywienia — uspokajała Ada przyjaciółkę, poprawiając jednocześnie makijaż. — Musimy jednak być stanowcze i zakończyć tę historię jakimś logicznym rozwiązaniem.

— A czy mąż sam nie może pójść do sklepu, zamiast biadolić, nie mówiąc już o twoim wyrośniętym dziecku? Naucz ich wreszcie samodzielnego myślenia i działania. Przecież masz rozum w głowie!

— Ja mam, ale oni nie — i stąd te nieporozumienia. Idziemy wreszcie? Nie strój się tak, bo wybieramy się przecież do domu żałoby, a nie na wesele!

Tymczasem Olga już dobrą godzinę siedziała w oknie, oczekując nadejścia przyjaciółek.

— Z nimi tylko po śmierć się umawiać! — denerwowała się, zerkając niecierpliwie na zegarek. — Pewno złopią gdzieś kawę i zapomniły o bożym świecie!

Ale oczekiwane koleżanki właśnie nadchodziły i machały do Olgi na znak powitania.

— Nareszcie jesteście! Myślałam, że już się was nie doczekam! — całowała obydwie po kolei. — A Tenia nie przyjdzie?

— Dzisiaj jest piątek, a ona w poniedziałki, środy i piątki ma zaprogramowane kłótnie z mężem. Wprawdzie już dawno po rozwodzie, ale stare zwyczaje są u nich nadal szanowane. Będziemy więc dzisiaj tylko we trójkę. — Ada rozsiadła się wygodnie przy stole, przysuwając do siebie talerz z czereśniami.

— Hola, mościa panno! Czereśnie poczekają! Wstawaj, bo już wychodzimy. Najwyższy czas!

Do sąsiadów Olgi wchodziło się przez furtkę, na której groźny napis ostrzegał intruzów: „Uwaga, zły pies”.

— Biedny Kapeć! — westchnęła Olga. — Tylko tyle po nim zostało.

— Nie wiem, czy miałabyś odwagę tutaj wchodzić, gdyby ten napis był jeszcze aktualny. — Ada oglądała się ciekawie dookoła. — Patrzcie, jakie piękne kwiaty!... A jak wypielęgnowane trawniki! Zaraz widać, że gospodarze mieli dużo wolnego czasu.

Wchodziły właśnie po schodkach na werandę, otoczoną drewnianą balustradką, kiedy z mieszkania wyszedł młody człowiek. Szybko minął wchodzące panie i pobiegł w stronę furtki.

— Ależ to ten sam piegowaty blondas, którego widziałyśmy wczoraj na cmentarzu — powiedziała zdumiona Olga. — Więc jednak nie wyjechał.

— Widocznie! — Dominika oglądała z podziwem piękny bluszcz pokrywający ściany werandy. — Wchodzimy?

— Jasne! Przecież nie po to przyszłyśmy, żeby kolędować pod drzwiami. Dzwon,

bo szkoda czasu!

Dominika zadzowniła raz i drugi.

— Jestem! Już idę! — na progu stanęła ciemno ubrana kobieta. — Przepraszam bardzo, ale nie słyszałam od razu dzwonka.

Podeszła bliżej i nie okazując wcale zdziwienia na widok takiej liczby gości, wyciągnęła serdecznie rękę na powitanie.

— Miło mi, że ktoś zabłądzi do mojej pustelni. Widziałam panie wczoraj...

Tu urwała, opuściła głowę, ale zaraz wzięła się w garść i otworzyła szeroko drzwi do mieszkania.

— Proszę wejść... Może tutaj, na prawo... Siadajcie, panie! Zaraz coś szybko przygotuję do picia. Nie wiedziałam, że...

- Pomogę pani! — Dominika skwapliwie podążyła za gościnną gospodynią. — Uwielbiam kuchenną krzątanicę... Ooo, jak tu ładnie!

Kuchnia wyglądała rzeczywiście jak królestwo księżniczki Czyściochy: wszystko tu było białe, lśniące i ślicznie pachnące. Tuż za oknem kwitł różnokolorowy groszek.

— Przecież w tej kuchni chciałoby się siedzieć całe życie! — zachwyciła się Dominika, nalewając wody do błękitnego czajnika. — Pani chyba lubi gotować.

— Siostra lubiła... — w głosie kobiety zadrżał smutek. — Teraz nawet herbaty nie chce mi się zrobić. Nie mam pojęcia, jak będę tu dalej żyła.

— Przekona się pani, że wszystko powoli jakoś się ułoży. Czy nie ma pani w Toruniu żadnych krewnych?

— Nici — Gospodyni ostrożnie nasypywała kawy do filiżanek. — Nasi rodzice zginęli w czasie wojny, a z bliskiej rodziny miałyśmy tylko wujka, ale on, zaraz po wojnie, wyjechał do Kanady i tam pozostał. Nie zapomniał jednak o rodzinie... Cały czas utrzymywał z nami kontakt i pomagał nam jak mógł. W tym roku umarł... Teraz, po śmierci siostry i szwagra, nie mam już zupełnie nikogo.

Rozpląkała się, a Dominika milczała, gładząc delikatnie jej rękę.

— Cicho... No, już dobrze... — uspokajała rozżaloną. — Wcale pani nie jest sama! Teraz, na przykład, są aż trzy baby w chacie, a w istocie miały być cztery... Przed chwilą wychodził też od pani jakiś młodzieniec... Czy to pani krewny? Przepraszam, że pytam, ale widziałyśmy go wczoraj na cmentarzu.

— Nie. To zupełnie obcy chłopiec. Interesuje się filatelistyką. Zaczepił mnie kiedyś w sklepie i zapytał, czy mogę mu odstąpić jakieś niepotrzebne znaczki... Ma na tym punkcie bzika, a słyszał od listonosza, że dostajemy listy z Kanady... Był bardzo miły i tak mu na tych znaczkach zależało!... Dawałam mu więc wszystkie, jakie miałam, ale musiałam robić to bardzo dyskretnie, bo mój szwagier nie uznawał obcych w domu. Dzisiaj przyszedł po raz pierwszy do domu, pytając, czy nie może mi w czymś pomóc... Radził mi nawet, abym wyjechała gdzieś na urlop, odpocząć po ostatnich przejściach. Obiecywał, że będzie opiekować się mieszkaniem i podlewać kwiaty w domu i na dworze... Byłam szczerze wzruszona, bo teraz rzadko spotyka się taką bezinteresowną życzliwość u młodych ludzi... A teraz odwiedzają mnie panie... Ludzie są tacy dobrzy!

— I pojedzie pani?

— Nie. Wolę pozostać w domu. Może później. Jestem zupełnie ogłuszona tą tragedią... Straciłam w ciągu dziesięciu dni szwagra i jedyną siostrę... Nawet stary wierny pies zdechł w tym czasie.

— Uwaga — czajnik wymyśla! — Dominika, rada z pretekstu do zmiany nastroju, runęła do płyty kuchennej. — Możemy parzyć kawę!

Po chwili wchodziły do pokoju, niosąc na tacy prześliczne błękitne filiżaneczki.

— Cóż to za zastawa! — zachwyciła się Ada, lustrując fachowym okiem kruche cacka. — Toż to istne чудо! A ja w tych dniach też znalazłam prześliczną...

— Czy możesz podać mi cukier? — Dominika przezornie przerwała Adzie ciąg dalszy. — Pozwól, że zamiast słuchać opowieści o twojej szafie, porozmawiamy sobie na inne, ważniejsze tematy.

— Mam na imię Klara... — pani domu uśmiechnęła się nieśmiało do swoich gości — więc jeżeli to paniom odpowiada, to proszę mówić do mnie po imieniu...

— Świetnie! Ja jestem Ada... — Ja Olga. — A ja mam na imię Dominika! — przyjaciółki na wyścigi uzupełniały prezentację.

— Teraz możemy porozmawiać po ludzku! — cieszyła się Olga. — Jesteś równa babka i biada temu, kto chciałby cię skrzywdzić!

— Jak Olga coś powie, to już koniec! — Dominika była wściekła. — Może spróbujemy tych ciastek, wyglądają zachęcająco.

Po chwili wszystkie gawędziły o różnych małych babskich sprawach. Klara rozkręciła się trochę i włączyła czynnie do ogólnej rozmowy. Ale trzeba było zacząć o tym najważniejszym... Tylko jak?

— Masz wspaniały ogród! — powiedziała od niechcienia Dominika. — Czy przychodzą tutaj czasem jakieś zwierzątka... na przykład koty?

— Ależ skąd! Kotów u nas nigdy nie było — odpowiedziała trochę zdziwiona Klara. — Nasz pies wypłoszył je wszystkie za dziesiątą górę.

— Ale teraz... W tych dniach... — brnęła dalej Dominika.

— Czy nie zauważyłaś wieczorem kota w waszym ogrodzie?

— Ależ skąd!... Zresztą ostatnio działo się tu tyle, że...

— Oczywiście! — Ada ratowała sytuację. — Ale widzisz... my na pewno wiemy, że do waszego ogrodu wchodził parę razy czarny kot. Olga mieszka naprzeciwko i widziała go doskonale. Właściwie, to nie byłoby w tym nic dziwnego, ale...

Tu urwała i spojrzała błagalnie na Dominikę.

— Może i wchodził, nie zauważyłam... — Klara była coraz bardziej speszona. — Ale wnioskuję z tego, co mówicie, że któregoś z was zginął kot i podejrzewacie, że jest u mnie w ogrodzie... Ale ja naprawdę...

— Nonsens! — Dominika zorientowała się, że trzeba działać inaczej. — Musisz, Klaro, wysłuchać naszej historii i wtedy zrozumiesz wszystko. Olga, opowiedz dokładnie, co widziałaś przez okno. Ale od samego początku i z detalami!

— Siódmy raz! — mruknęła Olga, ale zaraz się uśmiechnęła serdecznie do Klary i zaczęła snuć opowieść. Przyjaciółki uzupełniały ją gęsto swoimi uwagami, Olga protestowała, ale wreszcie dobrnęła szczęśliwie do końca, pozwalając wspaniałomyślnie Adzie opisać wizytę u przystojnego kapitana.

— To byliście nawet w milicji? — dziwiła się szczerze Klara. — Sądzicie więc, że ten kot był zwiastunem tragedii, która rozegrała się w naszym domu?

— Na razie tak to wygląda! Ale powiedz, Klaro, czy te wszystkie śmiertelne wypadki w twoim domu nie są trochę podejrzane? Na przykład: co się stało z Kapiem?

— Ktoś go otruł... — Klara zaczęła iść tropem myśli swoich gości. — Myślicie, że komuś przeszkadzał?

— Właśnie! Jesteś bystra babka! Jeżeli ktoś planował zrobić krzywdę twoim najbliższemu, to musiał przedtem usunąć psa. Chyba jasne!

— No tak... Ale ich nikt nie zamordował. Piotr od wielu lat chorował na serce i po prostu umarł na zawał, a siostra... — głos się jej załamał — ona przecież... sama odebrała sobie życie...

— Ale dlaczego? — Dominika objęła ramieniem Klarę. ~ Zrozum, że chcemy ci tylko pomóc!

— Wiem! Ale ja nie widzę żadnej możliwości pomocy... Oni nie żyją, a ja...

— Nie płacz, musisz maksymalnie się skupić. Pomyśl, Klaro, że ilekroć ten czarny kot wchodził do waszego ogrodu, tej samej nocy zawsze ktoś u was umierał. W tym musi coś być! A poza tym, dlaczego u licha Kapeć został otruty? Nie wychodził przecież poza furtkę i nikomu nie mógł przeszkadzać!

— Tego nie wiem!

— A skąd wiesz, że był otruty. Może po prostu zdechl!

— Nie! Szwagier znał się na tym i mówił, że psa otruto.

— No, więc sama widzisz, że sprawa od samego początku jest podejrzana. Psa usunięto z premedytacją i co do tego nie ma żadnych wątpliwości!

— Ale po co? Komu to było potrzebne? — Klara kręciła głowę z niedowierzaniem. — Przecież oni zmarli bez żadnej ingerencji z zewnątrz... Na pewno!

— A skąd wiesz? Czy była robiona sekcja, podczas której stwierdzono, że szwagier umarł na serce?

— Sekcji nie było. Skąd! Ale jeśli ktoś choruje całe życie na serce i pewnego dnia umiera, to można być pewnym, że to zawał!

— A u kogo szwagier się leczył?

— Właściwie u nikogo. — Klara była wyraźnie zmieszana. — On nie uznawał lekarzy. Zawsze twierdził, że więcej szkodzą niż pomagają. Leków żadnych też nie używał, bo uważał to za szkodliwą truciznę.

— Więc nie wiemy, co było przyczyną jego śmierci... Ale powiedz jeszcze, Klaro... wybacz, że o to pytam...

— Słucham... Przecież wiem, że macie jak najlepsze chęci.

— Dziękuję ci, Klaro — powiedziała z ulgą Dominika. — To będzie już ostatnie pytanie... Jak myślisz, czy to możliwe, aby twoja siostra popełniła samobójstwo z powodu nagłej śmierci męża?

— Nie wiem... — Klara była całkiem przytłoczona. — Pojąć nie mogę, dlaczego to zrobiła. Była wprawdzie bardzo przybita po śmierci Piotra, ale nic nie wskazywało, żeby aż tak bardzo się załamała... Byłyśmy bardzo do siebie przywiązane, więc choćby ze względu na mnie... powinna... , Urwała w pół słowa i ciemny rumieniec uderzył na jej ; błądą twarz. Ada spojrzała wymownie na Dominikę i obydwie podniosły się z miejsc.

— Musimy już iść. — Ada objęła serdecznie ciągle milczącą Klarę. — Nie miej nam za złe tej wizyty i rozmowy, ale weź, proszę, pod uwagę nasze intencje. Przywiodła nas tutaj szczerą troską o ciebie, a nie żadną chęć zbierania tematu do plotek.

— Wiem i dziękuję! — szepnęła Klara. — Bardzo się cieszę, że was poznałam. Naprawdę.

— To znakomicie! A teraz uważaj: zamykaj się wieczorem na cztery spusty i zamykaj szczelnie okna, a jeżeli zobaczysz czarnego kota koło twojego domu, uciekaj zaraz do Olgi. Mieszka w tym małym piętrowym domku po drugiej stronie ulicy. Wejście z rogu, dzwonić trzy razy — instruowała Dominika. — I nie lekceważ naszych rad! Zdaje mi się, że gdybyśmy przyszły tutaj znacznie wcześniej, może nie doszłoby do tych ostatnich tragedii.

— Tylko wątpię, czy wtedy ktoś by ci uwierzył i wziął poważnie twoje ostrzeżenie — wtrąciła Ada — Nawet teraz brzmi to jak bajka dla grzecznych dzieci.

— Możliwe, że masz rację! No, do widzenia, Klaro! Trzymaj się i uszy do góry! Zajrzemy do ciebie jutro. Chcesz?

— Będę czekała i dziękuję wam gorąco za wszystko — całowała serdecznie nowe znajome. — Nie zapominajcie o mnie!

Wyszły na ulicę i chwilę szły w zupełnym milczeniu.

— Wstąpicie do mnie? — Olga stanęła przed swoją furtką. — Pogadamy jeszcze trochę.

— Dziękuję, ale trzeba pędzić do domu. — Dominika poczuła się raptem bardzo zmęczona. — Mamy za sobą kawał dobrej roboty! Klara jest przemiła! Aż strach pomyśleć, że jest teraz sama i zupełnie bezbronna... Nie zapominaj o kocie! No więc do jutra! Pa!

Olga patrzyła długo za odchodzącymi przyjaciółkami.

— Czuję, że ten kot mógłby mi dzisiaj łapać spokojnie myszy na głowie, a ja i tak spałabym równo! — ziewnęła szeroko. — Ale od jutra trzeba będzie podejść do tej sprawy naukowo... Inaczej do niczego logicznego nie dojdziemy!

I pomaszzerowała do mieszkania. Tego dnia sen nadszedł rzeczywiście tak szybko, że ledwo zdążyła przyłożyć głowę do poduszki.

Dominika była właśnie w trakcie sporządzania ogromnego sprawozdania z całego półrocza, kiedy zadzwonił telefon.

— Słucham!... Tenia?... Dzień dobry! — ucieszyła się Dominika. — Co?... Co ty pleciesz?... Pożar?... Jaki znów pożar? Czeka... mów wolniej, nic nie rozumiem... Dobrze... Przyjadę do ciebie wprost z pracy... Tak... No, to do zobaczenia!

Wróciła do przerwanej roboty, ale już nie mogła odzyskać równowagi. Wszystko szło jej teraz jak z kamienia. Myliła się co chwila i wkrótce było jasne, że już tego dnia nic nie zrobi. Oczekiwała więc z niecierpliwością końca pracy i prawie pierwsza wybiegła z zakładu. Miała nadzieję, że uda jej się jeszcze złapać taksówkę.

Niestety. Na postoju ogonek oczekujących był kilometrowy jak zwykle o tej porze. Pobiegnęła więc do autobusu, gdzie w ostatniej chwili dołączyła do tłumu wiszącego na stopniach. Kiedy wysiadała na przystanku koło Teni, była mokra i z trudem łapała oddech.

Furtka od ogrodu przyjaciółki była gościnnie otwarta, a ona sama opalała się na trawniku. Na widok Dominiki zerwała się uradowana.

— Jesteś? Cieszę się bardzo, że przyjechałaś! Boże... jaka ty jesteś spocona i zmęczona! Chodź! Zaprowadzę cię najpierw do łazienki. Chłodna kąpiel doskonale ci zrobi.

— Z prawdziwą przyjemnością, ale najpierw powiedz mi, co się stało? — Dominika z ulgą weszła do cudownie chłodnego mieszkania. — Niewiele zrozumiałam z tego, co przekazałaś mi przez telefon. Co to był za pożar?

— Najpierw relaks, a potem rozmowa — zdecydowała rozpromieniona pani domu. — Mam dzisiaj doskonały obiad. Zanim zdążysz się odświeżyć, będzie czekał na ciebie... Jeszcze sekundę, przyniosę ci ręcznik.

Dominika długo pluskała się w wannie i wkrótce poczuła się jak nowo narodzona. Umyła jeszcze głowę i prawie zapomniała o czekających ją sensacjach. Widok nakrytego stołu przypomniał jej, jak bardzo była głodna.

— Siadajmy. — Tenia, ubrana w obcisłą zieloną sukienkę, wyglądała prześlicznie. — Jedz chłodnik, a ja ci będę opowiadała o strasznych przeżyciach dzisiejszej nocy. Jeszcze robi mi się słabo, kiedy o tym pomyślę.

— Ale wcale ci to nie przeszkadza, że jesteś roześmiana i wyglądasz, jakbyś wygrała główny los na loterii. Nic z tego nie rozumiem!

— Posłuchaj, a sama się przekonasz, że wcale nie przesadzam... Czy smakuje ci chłodnik? Mój mąż bardzo go lubi, tylko muszę mu dolewać więcej śmietany. Mało kto tak zna się na dobrym jedzeniu, jak on! Zresztą nie tylko na tym, bo...

— Wybacz, ale opowiedz mi najpierw o tym pożarze. Zaciekawiałaś mnie ogromnie!

— Już opowiadam: wczoraj wieczorem mąż bardzo długo nie wracał do domu. Denerwowałam się strasznie, a do tego w telewizji nie było nic ciekawego. Położyłam się więc wcześniej do łóżka i robiłam na drutach. Potem zasnęłam.

— Która to była godzina? — zapytała Dominika. — Wybacz mi, że ci przerywam, ale to może być ważne.

— Chyba około północy... Dokładnie nie wiem.

— Dobrze. I co było dalej?

— Obudził mnie jakiś krzyk. Poznałam głos męża. Zerwałam się z łóżka i od razu poczułam zapach dymu. Wybiegłam z sypialni i zobaczyłam, że w pokoju pali się coś na podłodze wysokim i jasnym płomieniem. Mąż pędził właśnie z kuchni, dźwigając wiadro. Potrącił mnie w progu i chlusnął wodą na ogień, a potem nakrył go pustym wiadrem. Był już najwyższy czas, bo płomień zaczął już lizać nogi fortepianu. Gdyby mąż wrócił jeszcze później, to mógłby się spalić cały dom.

— Łącznie z tobą. — Dominika z wrażenia zapomniała o jedzeniu. — Ale skąd wziął się ten pożar?... Czy już znacie jego przyczynę?

— Oczywiście! I wiesz co?”. Ten ogień okazał się dla mnie wprost zbawienny. Gdyby go, broń Boże, nie było, to skończyłoby się to dla mnie tragicznie... Trudno nawet wyobrazić sobie, co to by się działo!... Ty nie znasz jeszcze mojego męża! Brrr!

— Nic z tego nie rozumiem. — Dominika patrzyła ze zdumieniem na rozpromienioną przyjaciółkę. — Pokaż mi miejsce tego pożaru, bo zaczynam odnosić wrażenie, że żartujesz sobie ze mnie.

— No wiesz... — Tenia była urażona. — No to spójrz! To było właśnie tutaj... czy mi teraz wierzysz?

Podniosła mały dywanik, leżący koło fortepianu. Na parkiecie widniała duża czarna plama wypalonego drewna. Lekki zapach spalenizny był jeszcze zupełnie wyraźny. Dominika patrzyła na to ze zgrozą.

— Ale od czego zapalił się ten parkiet? — zapytała. — Mów wreszcie! Czy rozlałaś w tym miejscu jakiś rozpuszczalnik?

— Niczego nie rozlałam. — Tenia nakryła płamę dywanikiem i usiadła przy stole. — Jedz drugie danie, bo wszystko stygnie. Zaraz zrobię kawę i poczęstuję cię doskonałą szarlotką... Mój mąż uwielbia ją i zawsze twierdzi, że nikt nie wypieka ciasta tak jak ja.

— Nie tknę niczego, dopóki nie usłyszę wszystkiego do końca. — Dominika stanowczo odsunęła talerz. — Co było przyczyną pożaru?

— Przecież mówię... Jaka ty jesteś nerwowa!... A więc, kiedy usnęłam, ktoś wszedł przez otwarte okno do pokoju i wznicił ten pożar na parkiecie. To był na pewno jakiś chuligan. Mało to ich się kręci wszędzie?

— Skąd wiesz? — Dominika zerwała się z miejsca. — Przecież spałaś i nikogo nie mogłaś zobaczyć!

— Dlaczego na mnie krzyczysz? — Tenia była znów urażona. — Mówię ci, jak było. Ja nie widziałam nikogo, ale mąż wrócił właśnie do domu i wchodził do mieszkania schodami do garażu. Zobaczył ogień na podłodze i jakąś postać wyskakującą przez okno. Nie mógł gonić za sprawcą, bo trzeba było najpierw gasić pożar. Nie wiemy więc, kto to był i wszystko dobrze się skończyło. Ten pożar, to prawdziwe szczęście w nieszczęściu!

— Co ci odbiło z tym szczęściem? Czym tu się cieszyć? Parkiet wypalony, cały dom był narażony na całkowite zniszczenie, a ty na śmierć w płomieniach... Nawet nie wiesz, kto to zrobił i dlaczego... Zastanów się!

— Jak ty nic nie rozumiesz... — Tenia nadała się rozkosznie, wzruszając jednocześnie opalonymi ramionami. — Czy możesz wyobrazić sobie, co to by się działo, gdyby mój mąż zobaczył kogoś wyskakującego z naszego mieszkania w środku nocy, a mnie w łóżku, z dekoltem do pasa?... Co on by sobie o mnie pomyślał?... To, że byłam niewinna i nawet nie widziałam tego faceta, nie miało żadnego znaczenia. Czy można wytłumaczyć cokolwiek zazdrośnemu mężczyźnie?... Teraz rozumiesz, że ten pożar uwolnił mnie od wszystkich podejrzeń... I nie tylko! Mąż powiedział, że będzie wcześniej wracać, bo trzeba pilnować domu. Ja wiem, oczywiście, że to nie o dom, ale o mnie chodzi... Czy to nie wspaniałe? No, jednak on mnie kocha nadal i to jest najważniejsze... Rozwód pogłębił tylko naszą miłość... Ach!

Oczy Teni rozbłysły ogromem czułości. Była w tej chwili najzupełniej szczęśliwa.

— Taka ładna babka, a taka głupia — westchnęła z prawdziwym żalem Dominika. — Wmówiłaś sobie wielką miłość do tego brzuchatego łysola i nic nie potrafi otworzyć ci oczu... No dobrze już... dobrze. Przepraszam cię, że osmielałam się naruszyć twoją świętość, ale ja też mogę mieć własne zdanie. Skoro jednak jesteś przy temacie pożaru, to powiedz mi jeszcze, w jaki sposób ten „ktoś” podpalił podłogę. Tego mi dotąd nie powiedziałaś. Czy może rozlał naftę i podpalił?

— Nafta była, ale nie rozlana. Wątpię, czy mi uwierzysz, bo to całkiem zwariowana sprawa... Otóż ten nocny chuligan wrzucił do pokoju duży kłębek sznurka, nasyczonego naftą i podpalonego... Też pomysł! Dlatego tak potwornie się paliło... Ale kiedy mąż... O Boże... Dominika!... Ona mdleje!... Co ci się stało?

— Nic... daj mi trochę wody...

Tenia, oprócz wody, przyniosła także kropelki na serce, które bardzo się przydały.

— To z tego upału... Leż spokojnie, a zaraz ci przejdzie. — Zrozpaczona Tenia wachlowała przyjaciółkę ostatnim numerem „Kobiety i Życia”. — Już nie jesteś taka blada... Chwała Bogu. Przepraszam cię, to przeze mnie. Jak mogłam ciągnąć cię w taki upał.. Już lepiej?

— Tak! — Dominika uśmiechnęła się blado do zatroskanej przyjaciółki. — Poleż jeszcze chwilkę i będzie dobrze. Dziękuję ci...

Tenia wyszła do kuchni odgrzewać obiad, a Dominika rozmyślała gorączkowo. Na razie nie chciała rozmawiać z Tenią o swoich podejrzeniach — na to było jeszcze za wcześnie — ale jednocześnie dobrze zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło obecnie wszystkim jej przyjaciółkom... Przecież Teni mało już brakowało... A ona?... Gdyby nie Colombo...

Kiedy znów siedziały przy stole, Dominika próbowała wyjaśnić jeszcze parę szczegółów tego dziwnego pożaru:

— Czy twój mąż na pewno widział, że ktoś wyskakiwał przez okno? — zapytała od niechcenia. — Przecież w nocy niczego dokładnie nie widać. Mógł się pomylić.

— Nie znasz mojego męża — powiedziała z dumą Tenia. — On ma znakomity wzrok i nigdy — podkreślam — nigdy się nie myli... Najlepszy dowód, że się ze mną ożenił! Możesz być pewna, że widział tego „kogoś”. Skąd zresztą wziąłby się w pokoju ten płonący sznurek?

— No tak... chyba masz rację... — Dominika była bardzo przygnębiona. — Dziękuję ci za doskonały obiad. Teraz muszę wracać do domu, bo czeka na mnie mnóstwo roboty... Ale słuchaj... jeszcze jedno: czy zostało trochę tego sznurka z pożaru?... Przecież cały kłębek nie zdążył się spalić. Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda. Gdzie on jest?

— Nie wiem — powiedziała zdziwiona Tenia. — Mąż wrzucił go chyba do wiadra i wyniósł do piwnicy. Jeżeli chcesz, możemy go tam poszukać.

— Doskonale! — Dominika skierowała się ochoczo w stronę schodów. — Może zapalisz światło, bo ja nigdy nie mogę tu znaleźć kontaktu.

Schodziły ostrożnie po dość stromych schodach. Długo oglądały się dookoła, w końcu Tenia zobaczyła w ciemnym kącie poszukiwane wiadro.

— O, jest chyba to, czego szukamy. Tak, tu jest właśnie ten spalony sznurek... Obejrzyj go, jeśli cię interesuje.

Dominika spojrzała i już nie miała żadnych wątpliwości. To był taki sam kłębek, jaki znalazła niedawno na swoim trawniku... Tyle że ten był częściowo spalony.

— No i co? — Tenia patrzyła z ciekawością na zamyśloną przyjaciółkę. — O czym tak dumasz?

— Wiesz co... Zastanawiam się właśnie, dlaczego ten „ktoś”, nazwijmy go dla uproszczenia Iksem, a więc dlaczego Iks w ogóle wchodził do mieszkania? Mógł przecież zapalić sznurek i wrzucić go do pokoju przez otwarte okno. Dla niego byłoby tak bezpieczniej... Ale on był wewnątrz... Po co? Ryzykował przecież, że ktoś z domowników może się obudzić. Chyba że był pewny, że w domu nie ma nikogo poza tobą i może planował rzucić drugi sznurek do sypialni?... Pomyśl, czy to jest możliwe!

Teni rozbłyły oczy.

— Myślisz, że Iks zakradał się do mnie?... Całkiem możliwe! Mógł podpatrzeć, że mąż wyjechał... Tak, całkiem prawdopodobne!... Myślisz, że to był jakiś adorator? Ale heca! Zaraz powiem mężowi... Niech wie, na jakie niebezpieczeństwa narażają się dla mnie mężczyźni. Dziękuję ci, kochana! Bardzo mi pomogłaś!

— Lepiej zatrzymaj tę rewelację dla siebie. Jeżeli, jak mówiłaś, twój mąż jest naprawdę zazdrosny, w takim razie po co mu dawać powody. Są to tylko moje domysły i na pewno niesłuszne. Twój mąż miał rację, widząc w tym wydarzeniu po prostu chuligański wybryk.

— Ja też tak myślałam, ale teraz...

— I miałaś rację... — Dominice znów zaczęło się robić słabo. — No, ale już naprawdę uciekam. Bądź zdrowa i trzymaj się zawsze blisko męża. Cześć!

— Ja niczego przy nim się nie boję. — Tenia uśmiechała się słodko. — Cieszę się bardzo, że teraz będziemy spędzać wieczory razem. To będzie bardzo romantyczne... Nie masz pojęcia, jaki on jest dobry i kochany.

Dominika jeszcze raz ucałowała przyjaciółkę i poszła powoli do przystanku. Postanowiła napisać zaraz do córki, aby nieco przyspieszyła swój powrót z Finlandii, gdzie już od paru miesięcy przebywała na praktyce studenckiej. Zaczynała mieć porządnego straciła.

Nad „kocią” sprawą zawisła denerwująca cisza. Na próżno Olga wysiadywała w oknie nieomal do świtu, bacząc pilnie, czy nie pojawia się ów „duch zemsty”, zgodnie z określeniem Teni. Ale nic z tego!

— Jak tak dalej pójdzie, to zapuszczę korzenie na tym parapecie! — narzekała wobec przyjaciółek. — Czy ja nie mam innej, ważniejszej roboty?

— Nie wydziwiał! Punkt obserwacyjny musi być czynny i nie ma na to rady! Czy może chcesz, żeby teraz z kolei Klarę spotkało jakieś nieszczęście?

Ten argument sprawił, że umęczona Olga przestała biadolić. W rzeczywistości była bardzo dumna ze swojej roli, która — jej zdaniem — była w całej tej sprawie najważniejsza!

Ale pod koniec tygodnia zdarzyło się, że zeszła trochę wcześniej z posterunku. Pod wieczór zaczął padać deszcz i widoczność spadła prawie do zera. Wiatr uderzał mokrą falą w okno i Olga postanowiła pójść wcześniej spać.

— Słonia trudno zauważyć w takiej szarudze, a cóż dopiero kota! — usprawiedliwiała się sama przed sobą. — Odpocznę dzisiaj odrobinę dłużej i jutro będę w lepszej formie.

Nakryła się pledem powyżej uszu i od razu zapadła w jakieś okropne majaki. Ktoś za nią gonił z ogromną siekierą, potem znów pędziła gdzieś na koniu i wiedziała, że groźni bandyci suną za nią w wielkich saniach. Dzwonki dźwięczały i były coraz bliżej... coraz bliżej... coraz... Zdawało się, że ktoś ją woła... wzywa... Tak, tak, to jej imię: Olga!... Olga!... Olga!

Usiadła raptownie na łóżku. U drzwi wejściowych szalał dzwonek i ktoś ją wołał. Co jest u licha?

Pobiegła do przedpokoju i od razu poznała głos Klary.

— Już otwieram... chwileczkę... Co się stało?

Klara weszła do mieszkania. Była tylko w nocnej koszuli i lekkim szalu narzuconym na ramiona. Cała ociekała wodą.

— Mój Boże! — Olga była wstrząśnięta. — Chodź prędko do pokoju i włącz pod pled! Zaraz dam ci suchą bieliznę i gorącą herbatę. Zaziębiesz się jak amen w pacierzu!

Po chwili Klara, ubrana w ciepłą flanelową koszulę i troskliwie nakryta, piła łapczywie gorący płyn.

— Dlaczego uciekałaś w nocy i to w taką okropną pogodę? Czy coś się stało? A może widziałaś tego...

— Właśnie! To było makabryczne! Przyznam ci, że dotąd nie brałam zbyt poważnie waszych ostrzeżeń odnośnie tego kota, ale teraz...

Zaczęła rozpaczliwie płakać, kryjąc twarz w poduszce. Olga, nie wiedząc, co robić, pobiegła po jeszcze jedną szklanekę herbaty. Po dłuższej chwili Klara uspokoiła się trochę i chętnie wypila aromatyczny napój. Było jej wciąż jeszcze bardzo zimno.

— Niepotrzebnie tak bardzo się przejmujesz — uspokajała ją Olga. — Może w rzeczywistości ten kot jest poczciwym zwierzęciem, które przychodzi do waszego ogrodu bez żadnych złych zamiarów. Ostrzegłyśmy ciebie tylko na wszelki wypadek, bo te wizyty wydawały się nam podejrzane. Możemy się jednak mylić.

— Wcale nie! — zaprzeczyła gorąco Klara. — To wszystko okazało się autentyczną prawdą. Wasze podejrzania okazały się w pełni uzasadnione! Przekonałam się o tym na własne oczy.

— A jak to właściwie było? — Olga, nie chcąc jej speszyć, ukrywała skrętnie palącą ciekawość. — Założę się, że ten kot łąził po trawniku i polował na ćmy. One często to robią.

— Skąd! Było zupełnie inaczej. Przecież sam widok kota, spacerującego grzecznie po ogrodzie, nie wywołałby u mnie takiej paniki. Padał zresztą rzęsisty deszcz i było tak ciemno, że niczego nie można było dojrzeć. To było całkiem niesamowite! On... on...

— No, wykrztuś wreszcie! — Olga, której ciekawość osiągnęła już szczytowy pułap, podskakiwała na krześle.

— Co on?

— ... on wspinał się na okno i sięgał do otwartego lufcika... Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak było!

— Przez okno?... To ciekawy kot. Jednak opowiedz mi wszystko po kolei. Może ci się tylko wydawało? Sama mówiłaś, że było całkiem ciemno.

— Ale latarnia uliczna podświetlała okno i widziałam go jak na dłoni. Posłuchaj, jak to było: wieczorem długo czytałam. Kiedy zgasiałam światło i usiłowałam usnąć, rozszalała się burza. Wzrastał wiatr, fale deszczu uderzały o szyby, a grzmoty nasilały się z każdą chwilą. Raptem przypomniałam sobie, że zostawiłam w kancelarii otwarty lufcik. Nie bardzo chciało mi się wstawać, ale bałam się, że deszcz zaleje parkiet. Narzuciłam więc szal na ramiona, wzięłam dużą, ciężką latarkę i poszłam. Nie paliłam światła, bo błyskawice oświetlały drogą. Otworzyłam drzwi do kancelarii i kiedy byłam już blisko okna, zobaczyłam, że coś czarnego wspina się po ramie okiennej do góry...

— Ach! — krzyknęła Olga. — Więc jednak...

— Tak. Widziałam wyraźnie czarną głowę i ogromną rękę, czy łapę, sięgającą do otworu lufcika... To było okropne!

— Oczywiście, że to była łapa... I co zrobiłaś? — Olga była purpurowa z emocji. — Przypuszczam, że właśnie wtedy uciekłaś w popłochu, zresztą trudno się dziwić.

— To zrobiłam trochę później — powiedziała z satysfakcją Klara. — Kiedy zobaczyłam tę czarną sylwetkę, wyraźnie usiłującą dostać się do środka, ogarnęła mnie nagle jakaś dzika wściekłość, która na krótką chwilę zwyciężyła strach. Pomyślałam wtedy, że może to jest ta sama poczwara, która w jakiś niezrozumiały sposób wniosła nieszczęście do naszego domu, a teraz znów skrada się pod osłoną nocy, aby dokończyć dzieła. Postanowiłam, że nie wpuszczę go do domu, nawet za ceną życia. Przyskoczyłam do okna i z całej siły uderzyłam moją latarką w czarną łapę, która sięgała w bezbronny otwór okna. Trafiłam! Rozległ się jakiś dziwny skowyt-jęk i ciemna postać zniknęła, jakby ją wiatr zdmuchnął. Zatrzasnęłam wtedy lufcik, przemknęłam co tchu do kuchni, a potem tylnymi drzwiami na dwór i na ulicę. Dopiero tam ogarnął mnie strach. Popędziłam jak szalona w stronę twojego domu i zaczęłam dobijać się do drzwi.

— Rozumiem. Doskonale zrobiłaś! A która to właściwie godzina?

— Minęła północ.

— No, to ja idę do telefonu, a ty poczekaj! — Olga zerwała się z miejsca. Leż spokojnie i odpoczywaj. Zadzwoń do Ady i Dominiki.

— Teraz? Przecież jest już bardzo późno!

— Gdzie tam. One nigdy nie idą spać przed północą. To są wypróbowane marki nocne. Urwałyby mi głowę, gdybym ich nie powiadomiła o nowych rozróbach naszego kota!

I pobiegła truchcikiem do telefonu.

— Ada? — słuchawka podskakiwała z przejęcia i zdenerwowania. — Wiesz, ten kot... kot... kot...

— Co się dzieje? — zapytała zaniepokojona Ada. — Płyta ci się zacięła na świętą noc, czy co? Mówże po ludzku! Co jest z tym kotem?

— Przyszedł!... Był!... Klara uciekła, a on wisiał... Jest cała mokra... to jest, była...

— Dzwonię zaraz do Dominiki — uspokajała słuchawka. — Czy Klara jest bezpieczna?

— Oczywiście! Jest właśnie... to znaczy była...

— Zaraz tam będziemy. Że ty nigdy nie potrafisz powiedzieć jednego zdania po ludzku. Cześć!

W godzinę później w mieszkaniu Olgi zakotłowało się od gości. Dominika i Ada wnosiły parasolki do łazienki, a Olga biegała za nimi, opowiadając coś bez ładu i składu.

— Masz herbatę? — Dominika brała już ster w swoje ręce. — Szykuj wszystko co trzeba, a my porozmawiamy sobie z Klarą.

— Jestem cała i zdrowa! Witajcie! Mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie zrywałyście się w nocy i jechałyście w taką pogodę.

— Jak się czujesz? Widzę, że jesteś dzisiaj ubrana w guście Olgi. — Ada patrzyła z uśmiechem na jej flanelową koszulę, sięgającą do ziemi. — Każdego chłopca można wystraszyć takim negliżem.

— Nie obmawiajcie mnie, tylko pomóżcie! — Olga wyjrzała z kuchni. — Wszystko leci mi z rąk!

— Chyba do nalewania herbaty nie trzeba specjalnej pomocy. — Dominika usiadła koło Klary. — Opowiedz nam, kochana, co się właściwie stało? Z relacji Olgi niczego nie można było zrozumieć.

— Nie bardzo wiem, jak o tym mówić — Klara była bardzo zmieszana redą bohaterki wieczoru. — Zdaję sobie sprawę, że to wszystko, co przeżyłam, jest nie tylko głupie, ale i zupełnie nieprawdopodobne...

— Byłybyśmy zdziwione, gdyby było inaczej — uspokajała Ada. — Opowiadaj śmiało wszystko po kolei, a my zamieniamy się w wielkie uszy!

Olga, chcąc nie chcąc, wycofała się do kuchni, bo czajnik zaczął już hałasować. Zalewając wrzątkiem herbatę zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powie przyjaciółkom, kiedy wyjdzie na jaw, że tej nocy zrezygnowała ze swojego dyżuru. — Też mnie podkusiło, aby się położyć — martwiła się nie na żarty. — Ale... może im nie przyjdzie do głowy, żeby o to zapytać. Daj Boże!

Niestety, przyszło! Kiedy tylko weszła i postawiła herbatę na stole, Dominika zapytała:

— A czy ty też widziałaś kota?

— Ja? Skąd! Właśnie wyjątkowo...

— Spałaś!! — Ada poczerwieniała z oburzenia. — Przecież miałaś go pilnować jak oka w głowie! Gdybyś go wcześniej zauważyła, Klara nie byłaby narażona na taki szok. Ładna z ciebie przyjaciółka! Wstyd!

— Ależ... Padał deszcz, było całkiem ciemno i tak nic bym nie widziała. A dotąd przecież zawsze... codziennie...

Była bliska płaczu i nie wiedziała, jak ma się bronić przed słusznymi zresztą zarzutami.

— Dajcie jej spokój! — Klara objęła rozdygotaną winowajczynię opiekuńczym ramieniem. — Nie sądzicie, że tylko ja sama powinnam czuwać? Dlaczego Olga ma nie dosypiać nocy i...

— No, już dobrze! Każdy jest tylko człowiekiem. — Dominika uśmiechnęła się do Olgi pojednawczo. — Ale zastanówmy się teraz, co dalej!

— Przede wszystkim Klara nie może wracać do domu, aż do wyjaśnienia sprawy. Dość już zdarzyło się tam nieszczęść! — Olga spojrzała na nią z wdzięcznością. — Czy mam rację?

— Na pewno! Ale będzie mogła w naszym towarzystwie codziennie zaglądać do domu. Samej nie wolno tam wchodzić, pamiętaj! Czarny kot znów zaczyna działać... Co on teraz nowego kombinuje?

— Może odkrył w ogrodzie wyjątkowo smaczne myszy? — Ada zrobiła oko do Klary, zupełnie przybitej i ogłuszonej takim szumem koło siebie. — Nie trzeba zaraz

wpadać w panikę. Idę teraz do domu, bo mnie mój stary własnoręcznie udusi za te nocne włóczęgi. Dobranoc.

— Ja chyba zostanę. — Dominice nie chciało się ruszyć z miejsca. — Jutro rano trzeba obejrzyć chatę Klary, bo może kot coś nabroił. Zadzwoń potem do ciebie z pracy.

Ada ubrała się w płaszcz nieprzemakalny i nasunawszy kaptur na czoło wyszła naprzeciw strugom gęstego deszczu.

— Pościelę ci na stole kreślarskim, zupełnie dobrze się śpi. — Olga krzątała się żwawo po pokoju.

— Wszystko jedno! Mogę spać nawet w wannie. Ależ pogoda! Ada zmoknie do nitki.

Po chwili w mieszkaniu Olgi zgasło światło. Za oknem wiatr mocował się nadal z gałęziami drzew, a deszcz zaczął w szyby okien.

— Podobno koty nie lubią wody — szepnęła Olga, słuchając deszczu — ale, jak widać, nie zawsze się to sprawdza. Nie może to-to siedzieć na ciepłym piecu i mrużyć? Po co lazić po nocy?

Ale Dominika nic nie odpowiedziała. Spała.

Następnego dnia rano wstał jakby umyty w słońcu i gdyby nie kałuże wody nikt by nawet nie wiedział, że noc była taka zapłakana.

— Zaspaliśmy! — Dominika ubierała się pośpiesznie. — Muszę zaraz pędzić do pracy! Chodźmy teraz szybko do domku Klary, zobaczyć, co tam słychać. Potem już we dwie zjecie śniadanie. Ja bardzo się śpieszę!

Wyszły na ulicę. Furtka od ogrodu Klary była gościnnie otwarta na oścież.

— To mógł zrobić wiatr, ja ją przecież zamknęłam na klamkę — szepnęła Klara, widząc pytające spojrzenia. — Ale mieszkanie zostawiłam otwarte.

Weszły od strony kuchni. Ścieżka tonęła w wodzie i wszystkie miały zupełnie przemoczone nogi. Klara otworzyła drzwi i zajrzały ostrożnie do mieszkania.

— Zobacz, czy wszystko jest w porządku. — Dominika oglądała się bacznie dookoła. — Uważajcie, bo może tu się ktoś schował.

— Trudno mi w to uwierzyć. — Klara, w przeciwieństwie do pozostałych pań, była bardzo spokojna. — Ale rozejrzeć się nie zaszkodzi.

Chodziły dłuższą chwilę po całym mieszkaniu. Panowała tam cisza i nie było widać żadnych śladów czyjejś obecności.

— No, to w porządku. Możemy wracać. Pozamykaj wszystko na mur i idziemy. Po południu wrócimy tu, aby podlać kwiatki. — Dominika patrzyła nerwowo na zegarek.

To wy zamykajcie, a ja zajrzę jeszcze na werandę. Mam ochotę uszczknąć tam parę pędów z twojego bluszczu. Pozwolisz? — Olga spojrzała pytająco na Klarę. — Planowałam wprawdzie ukraść je przy jakiejś okazji, bo podobno szczepek wtedy szybciej rosną, ale ruszyło mnie su— Więc kradnij, ile chcesz. Ja pójdę zakręcić kurek od wody, bo w kuchni uszczelka nad zlewem jest uszkodzona i woda kapie bez przerwy. To nie potrwa długo.

Klara wychodziła właśnie z piwnicy, kiedy na werandzie rozległ się głuchy loskot.

^ — Ani chybi Olga rozbija doniczki i wyrwa bluszcz z korzeniami. — Dominika była wściekła. — Ja tak się śpieszę, a ona...

Klara pobiegła pierwsza w tamtą stronę i nagle w całym mieszkaniu rozległ się jej przeraźliwy krzyk. Dominika w dwóch susach dopadła drzwi werandy. Klara odwróciła się i chwyciła ją kurczowo za ramiona... Łkała rozpaczliwie i powiedziała z trudem:

— Ona... Ona tam leży... Nie żyje!

— Kto? — Dominika wyrwała się z uścisku Klary i runęła na ganek. Po prawej stronie, tuż przy balustradzie pokrytej bluszczem, leżała Olga. Twarz miała odwróconą na bok i prawie całkiem zakrytą zielonymi pędami, które widocznie oberwały się podczas upadku. Bezwład leżącego ciała był przerażający.

— O Boże! — Dominika dopadła do przyjaciółki. — Wody! Szybko!
— Woda jest zamknięta... — wyszlochała Klara. — Przenieśmy ją na tapczan...
Może jeszcze żyje...

Tu znów napadł ją atak histerycznego płaczu, ale z ogromnym wysiłkiem starała się opanować. Teraz przede wszystkim trzeba było myśleć o ratowaniu Olgi. Z wielkim trudem przeniosły nieprzytomną do pokoju i ułożyły troskliwie na tapczanie. Dominika otworzyła szeroko okno i podwójne drzwi na werandę.

— Może masz spirytus albo choćby wodę kolońską? Poszukaj, proszę! Może jest tylko nieprzytomna.

Klara pobiegła do sypialni i przyniosła ogromny flakon perfum.

— Mają bardzo intensywny zapach. Spróbuj!

Nacierają silnie skronie omdlałej, podsuwały flakon do

nosa, ale to nic nie pomagało. Próba zastosowania sztucznego oddychania też nie dawała pozytywnych rezultatów... Chyba więc jednak nie żyje.

Przerażone i zajęte ratowaniem nieprzytomnej Olgi nie zauważyły wcale, że spośród bluszczu, oplatającego ścianę werandy, ktoś je bacznie obserwuje. Zimne, błyszczące punkciki przyczajonych oczu nie wyrażały żadnych przyjaznych uczuć. Wręcz przeciwnie. Były wrogie i gotowe na wszystko.

A w głębi pokoju panowała tymczasem prawdziwa rozpacz.

— Ktoś ją zamordował! — Ikała rozpaczliwie Klara. — To na pewno ten przeklęty kot!... Musimy natychmiast wezwać pogotowie! Może jeszcze żyje i tylko lekarz potrafi jej pomóc!

Już miała pędzić do telefonu, kiedy „zamordowana” poruszyła się, wymamrotała coś niezrozumiale i otworzyła oczy.

— Żyjesz?... Ona żyje! — Dominika szalała z radości. — Już ci lepiej? Powiedz!

— Przecież nic mi nie jest — mruknęła Olga. — Ale co tutaj tak potwornie śmierdzi?... Chciałyście mnie otruć, czy co?

— Nacieraliśmy ci skronie perfumami, bo Klara zamknęła wodę — Dominika płakała z radości. — Ale jakim cudem tak się urządziłaś? Co się stało na tej werandzie?... Widziałaś tam kogoś?

— Niczego nie widziałam... (Listki na werandzie mocniej zadrżały) Wiem tylko, że szukając dorodnych pędów grzebałam po łokcie w bluszczu — i dalej nic nie wiem... Ale dlaczego ja leżę na tapczanie? I czemu jesteście takie zaryczane? Czy coś się stało?

— Przecież zemdląłeś. Nie pamiętasz?

— Nic a nic!

— Przypomnij jednak sobie wszystko, co wówczas zaszło... To bardzo ważne!

— A idźcie wy! Ja ledwo żyję, a one... Ale zaraz... czekajcie! Coś mi się...

— No właśnie! — Dominika ścisnęła mocno jej rękę. — Jednak coś sobie przypomniałas. Mów szybko!

— Był jakiś błysk... Ależ tak!... Dużo rozsypanych gwiazd. Wielkich i złotych.

— Idiotka! — Dominika potrząsnęła Olgą. — Co ty bredzisz! Opamiętaj się! Jakie znów gwiazdy?

— A przestań ty mnie męczyć. Boli! — jęknęła Olga. — Co mnie tak strasznie piecze?... Oooo, tutaj!

Pochyliły się nad nią i ze zgrozą zobaczyły na czubku jej głowy ogromny guz, pęczniejący w oczach.

— No, to teraz wszystko jest jasne — odetchnęła Dominika. — Zwalilaś sobie coś na głowę i oto są skutki. Zawsze wiedziałam, że jesteś nieprzeciętna łamaga! Tyle nam napędzić strachu... Wstyd!

— Choć zabij się, nieprawda! — Olga usiadła na tapczanie. — Pójdziemy zaraz na werandę i zobaczycie same, że nie ma tam niczego, co mogłoby nabić mi guza. Pomóżcie mi tylko wstać!

— Przecież wiem z góry, że złotych gwiazd tam nie znajdziemy. — Dominika ze

zgrozą przypomniała sobie, jak bardzo jest już spóźniona do pracy. — Musimy teraz iść, a po południu u mnie wszystko obgadamy. Olga musi jak najprędzej przyłożyć sobie kompres na głowę. Chodźmy!

— O Boże! — rozpląkała się Klara. — To są całkiem niesamowite sytuacje! Przecież widziałam na własne oczy... czarnego kota. Zdążyłam uciec, ale Olga... To jest też jego robota! On dybie na życie nas wszystkich... Boję się... Bardzo się boję!

— Ja powinnam się bać, bo właśnie mnie ktoś zaprawił! — Olga już wstawała, starannie przyglądając rozwichrzone włosy. — Nie trzeba tak się przejmować... Jakoś to będzie!

— Olga ma rację! — Dominika serdecznie przygarnęła płaczącą. — Przecież w sumie nic się wam nie stało. Olga nabiła sobie wprawdzie guza, co się często nawet dzieciom zdarza... Lecz jaki to może mieć związek z kotem?

— Zabierzcie mnie stąd, błagam! Nigdy nie byłam tchórzem, ale teraz naprawdę się boję! — Klara nie mogła się uspokoić.

— Zamykaj drzwi i wychodzimy! Jednak pod żadnym pozorem nie wracajcie tutaj więcej. Na razie odpoczywajcie, a około szesnastej zapraszam do mnie. Musimy poważnie porozmawiać. — Dominika pośpiesznie wyprowadzała koleżanki. — Zadzwońcie do mnie! Zupełnie nie mam pojęcia, jak usprawiedliwię dzisiejsze spóźnienie... Bywajcie!

— Wygląda na to, że współczesne koty nie łapią już myszy, lecz biorą się za chuligaństwo — powiedziała zamyślona Olga, otwierając drzwi do mieszkania. — Może istotnie on mnie tak urządził... Wiesz, teraz sobie przypominam, że kiedy grzebałam w bluszczu, miałam dziwne wrażenie, że nie jestem tam sama... Czułam nieomal tchnienie czyjś oddechu. Może głupie, ale tak było.

— Nic już nie rozumiem. — Klara nadal nie mogła opanować nerwowego płaczu. — Ktoś czy coś uczepiło się nas nieprzytomnie i w ciągu niecałych dwóch tygodni wykończyło prawie wszystkich domowników. Przecież, gdybym dzisiaj w nocy nie uciekła, kto wie, co by się wydarzyło. Ale dlaczego tak się dzieje? Dlaczego?

— Najpierw zjemy śniadanie, odpoczniemy, a po południu pójdziemy do Dominiki, gdzie wszystkie cztery spróbujemy rozsądnie przeanalizować sytuację. Nie płacz! Włóż papcie i wyciągnij się na tapczanie. Pójdę teraz do kuchni. Na głodnego nikt jeszcze żadnej mądrości nie wymyślił.

— Zaczekaj. — Klara poczuła wyrzuty sumienia. — Ja tu biadolę i histeryzuję, a ty masz przecież rozbitą głowę i trzeba ci zrobić szybko opatrunek. Daj mi trochę wody utlenionej, kawałek ligniny i bandaż elastyczny. Zobaczysz, zaraz ci ulży.

Olga chciała protestować, ale doszła do wniosku, że Klara powinna oderwać się od swoich ponurych myśli. Usiadła więc posłusznie na krześle i pozwoliła opatrzeć sobie głowę.

— Wiesz co? To było bardzo silne uderzenie i skutki jego byłyby znacznie gorsze, gdybyś wtedy nie pochyliła głowy... To widać jak na dłoni — powiedziała zdziwiona Klara. — Niemożliwe, abyś mogła uderzyć się sama, przecież tam, gdzie leżałaś, całą ścianę pokrywa bluszcz... Chyba że w bluszczu...

Zamilkła i spojrzała niepewnie na przyjaciółkę.

— Jeżeli to był kot, musiał być naprawdę wyjątkowo wielki. — Olga ostrożnie dotykała obandażowanej głowy. — Czy jest możliwe, aby kocia łapa mogła nabić takiego guza.

— Chyba nie — powiedziała Klara — ale sama go sobie też nie nabiłaś... Więc jak to się stało? Cudów nie ma. Ale posłuchaj... ta kocia łapa, wiesz, ta w lufciku...

— Wiem — powiedziała Olga. — Ta, w którą wyróżnęłaś latarką.

— Właśnie. Otóż ta łapa była jakaś... nienaturalnie wielka. Przecież wiem, jakie kot ma łapy, ale ona była o wieli' większa... Taka duża jak ręka człowieka, tyle że czarna. Nie umiem dokładnie opisać, ale w tym było coś nienormalnego... I tego właśnie tak bardzo się boję.

— Tylko spokojnie, a wszystko z czasem się wyjaśni. Noc i strach przerysowują

wiele spraw. No, ale teraz już nieodwołalnie robię śniadanie. Połóż się trochę, bo w mojej kuchence nie zmieścimy się obydwie.

Klara usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Zaczynała wierzyć święcie, że jakaś tajemnicza i okrutna siła wtargnęła do jej domu... Ale czego chce? Przecież nie ma wątpliwości, że dzisiejszej nocy znów zaatakowała, i gdyby wówczas nie uciekła... A teraz zaczyna mścić się na jej przyjaciółkach. Tak... to jasne! Przecież Olga sama się nie uderzyła, więc kto? Dobrze, że tak się skończyło, ale co będzie dalej? — Poczula zimne i gorące dreszcze.

— Przyniosłam ci mocnej herbaty z cytryną. — Olga przerwała jej rozmyślenia. — Wypij, natychmiast poczujesz ulgę. Proszę!

Klara wysączyła wszystko do dna i poczuła się trochę lepiej. Zjadła jeszcze parę kanapek i raptem zaczęła ogarniać ją senność.

— Połóż się teraz, a ja pozmywam naczynia. — Olga wyciągnęła ze swojej przepaścistej skrzyni ogromną poduszkę. Kładę ci na stoliku najnowsze tygodniki. Może zechcesz je przejrzeć.

Klara położyła się i próbowała czytać, ale wkrótce głowa opadła jej na poduszkę. Zapadła w głęboki sen. Olga nakryła ją troskliwie pledem, zasłoniła okno i wykręciła numer Dominiki.

— Cześć!... W porządku... Tak, było trochę źle, ale dałam jej w herbacie podwójne relanium i właśnie śpi jak suseł... Co?... Ależ skąd! Sama wiele razy brałam i jakoś żyję... Co?... No, boli mnie i to porządnie... Tak... Klara zrobiła mi kompres i wyglądam, jakbym wróciła z wojny trzydziestoletniej... Skąd! Oczywiście, że zdejmę. Nie będę robić z siebie widowiska... Tak... Przyjdziemy na pewno... Chyba że będzie jeszcze spała... Dobrze. No, to cześć.

Odłożyła słuchawkę i zamyśliła się głęboko. Cała ta sprawa, już przedtem tajemnicza i cudaczna, stawała się coraz bardziej zawikłana.

— Ale o tym potem, a teraz do roboty! Kot mi jeść nie da. — Przeciągnęła się ziewając szeroko, bo ostatniej nocy znów się nie wyspała. Rozłożyła ogromne papierzyska na stole kreślarskim, ale zamiast zacząć dopracowywać szczegóły wystroju wnętrza pałacyku w Gutkowie, wzięła do ręki „Opowiadania egipskie”. Nie zdążyła jeszcze dotąd przebrnąć szczegółowo przez ostatni rozdział, pod tytułem „Słoneczne Oko”, i postanowiła starannie go przewertować. Znała już początek legendy o Tfenie, ukochanej córce boga słońca Re, która pogniewawszy się ongiś na ojca, uciekła do Nubii, gdzie przybrała postać dzikiej kotki i pędziła samotne życie na pustyni. Dominika uznała wprawdzie, że w tej legendzie nie można znaleźć żadnych powiązań z ich aktualną „kocią” sprawą, ale Olga była uparta i postanowiła przeczytać całe opowiadanie do końca.

Była trochę senna i niezbyt uważnie przerzucała stronicę, ale nagle poczuła, że robi się jej gorąco. Zatrzymała się czujnie nad jednym zdaniem, którego treść dopiero teraz do niej dotarła. Czytała: „Na kartach papyrusu lejdejskiego Tot — czy raczej jego wcielenie pod postacią małego pawiana — prowadzi uczoną rozmowę z kotką nubijską, obrażoną na cały świat, nienawidzącą świata, prowadzącą krwawe łowy na pustyni dalekiego południa”...

— Krwawe łowy?... — przerażona Olga dotknęła obandażowanego guza. — Przecież to jasne... Jeżeli obrażona kocica-bogini lubiła się zabawiać mordowaniem niewinnych ofiar, to nie ma wątpliwości, że ta historia pasuje idealnie do tajemniczych zgonów w domu Kraftów... O Bożyczku złoty!... Toż ona używa sobie tam po swojemu, a my głupie latamy z tym do milicji. Ale teraz już wszystko jest jasne! Zawsze twierdziłam, że trzeba mieć naukowe podejście do problemu... Ale jak przekonać o tym Dominikę i Adę?... One nigdy w to nie uwierzą i wyjdą, jak zwykle, na głupią... No, ale prawda i tak musi być górą!

I znów zabrała się do czytania „Opowiadań egipskich”

A w ogrodzie Kraftów, zaraz po odejściu przyjaciółek, jakiś ciemny cień przemknął zwinnie przez balustradę werandy i zniknął w zielonym gąszczu ogrodu. Na chwilę

przycupnął czujnie przy samym płocie i długo obserwował ulicę. W dogodnym momencie wymknął się bezszelestnie z ogrodu i podążył żwawo przed siebie. Zatrzymał się jeszcze naprzeciw okien Olgi i popatrzył w ich kierunku złowróbnym i nienawistnym wzrokiem. Oczy zwężyły mu się w wąskie i okrutne półksiężyce. Potem pobiegnął dalej, nie oglądając się więcej.

Rozdział IX

Czekały już przeszło godzinę na przybycie Klary i Olgi. Denerwowały się okropnie, bo dyskusja zapowiadała się wyjątkowo interesująco, a tu trzeba było czekać na skompletowanie babskiego grona.

— Nie ma sensu marnować cennego czasu — niecierpliwiła się Ada, która zostawiła w domu rozpoczęte pranie i wściekłego męża. — Opowiedz nam, co wydarzyło się mdzisiejszej nocy, a tymczasem spóźnialskie na pewno się zgłoszą. Telefon u Olgi od dawna nie odpowiada, co znaczy, że już wyszły.

— Jak chcecie — Dominika odeszła wreszcie od okna i usiadła na tapczanie. — Ada wie już prawie wszystko, ale-Tenia o niczym jeszcze nie słyszała. Opowiem więc jej w skrócie o naszych nocnych i porannych przygodach. Słuchajcie uważnie: Otóż dzisiejszej nocy ten pechowy kot pojawił się w ogrodzie Kraftów. Klara go zobaczyła, kiedy wspinał się po ramie okiennej i chciał wejść do mieszkania przez otwarty lufcik.

— Może był głodny? — wtrąciła Tenia. — Do mojej piwnicy też włączają koty, szukając jedzenia. Wynoszę im tam zawsze mleko i resztki z obiadu, bo mój mąż, chociaż ma dobre serce, ale nie lubi...

— Ja też nie lubię, żeby mi wciąż przerywać — powiedziała surowo Dominika. — Nie zapominaj, że uczestniczysz w regularnym śledztwie, w którym kot jest podejrzanym o morderstwo. Nie możemy porównać tej sytuacji z żadną inną.

— Ale czy to jest logiczne? — Ada jak zwykle była przekorna. — Przecież człowiek to nie mysz! Jak można posądzać kota o zabicie psa?... Koń by się uśmieł!... A potem wchodzi w rachubę jeszcze dwoje ludzi... Czy my nie stawiamy rzeczywistości do góry nogami?

— To nie jest pozbawione sensu, co mówisz — przyznała Dominika — ale nasza sprawa jest od początku „odwrócona”. Gdyby nie tragiczne wypadki w domu Kraftów, nie byłoby w tym odrobiny sensu, ale biorąc to pod uwagę... i jeszcze inne ciekawe przypadki — dodała po chwili

westchnieniem — ustaliliśmy, że trzeba wyjaśnić kocią sprawę do końca. Z pewnością jest w tym coś niezrozumiałego. Zastanówmy się chwilę: koty lubią ciepło i nigdy nie łążą po deszczu. One zawsze unikają pluchy. Od wielu lat mam w domu zwierzątko i wiem to z pewnością... A tymczasem ten kot łąził wczoraj w strugach ulewnego deszczu, a potem usiłował dostać się do mieszkania, gdzie spała bezbronna i ostatnia, podkreślam: ostatnia pozostała przy życiu mieszkanka tej pechowej willi... Po co tam się pchał? Ja dopatruję się w tym najgorszego!

— No, ale Klara uciekła i kot musiał obyć się smakiem. — Tenia ciągle była optymistką. — Przecież nic złego się nie stało.

— Czy to jeszcze mało? — oburzyła się Ada. — Olga wyciągnęła nas z domu po północy, podczas szalejącej burzy, a Klara przeżyła duży wstrząs nerwowy, który nigdy bezkarnie nie mija. Już za to samo skóra z tego kota powinna dawno wysychać na desce!

— A czy wiecie, że dzisiaj rano ktoś tak przyłożył Oldze po głowie, że straciła przytomność? Obydwie z Klarą byłyśmy pewne, że została zabita na amen.

Zapanowało pełne zdumienia i zgrozy milczenie.

— A kto ją tak urządził? — wykrztusiła wreszcie Ada. — Gdzie to się stało?

— Oczywiście w tej przeklętej willi! Poszliśmy tam rano, aby zobaczyć, czy nikt

nie zdemolował chałupy. Wszystko było pozornie w porządku, ale Oldze zachciało się iść na werandę urwać bluszczu. Poszła tam sama, bo któż spodziewał się czegoś złego w biały dzień. Znalazłyśmy ją leżącą tam bez przytomności na podłodze. Miała guza większego niż jej-głowa. Byłam pewna, że już po niej!

— Ja mam parszywe szczęście! — rozpacziała Ada. — Jak się dzieje coś naprawdę ciekawego, to mnie akurat nie ma!... Nie mogłyście zaraz zadzwonić?

— Też wymagania! — rozgniewała się Dominika. — Musiałyśmy przecież przede wszystkim myśleć o ratowaniu zabitej!...

— To ona... nie żyje? — Tenia z trudem łapała oddech. — I dopiero teraz nam o tym mówisz?

Rozszlochała się w głos, nie bacząc, że rozmazuje starannie wypracowany makijaż. Ada stała jak osłupiała i patrzyła pytająco na przyjaciółkę.

— Ależ jej nic się nie stało! — Dominika była wzruszona i trochę zła. — Zaraz przyszła do siebie i Klara zrobiła jej opatrunek. Warto jednak podumać, kto ją tak urządził... Sama nie nabiła sobie tego guza, na werandzie jest gęsta ściana miękkiego bluszczu... Ktoś tam mógł się schować i...

— To trzeba koniecznie obejrzeć na miejscu — powiedziała Ada. — Myślę, że nie można zbyt pochopnie...

Tu dzwonek telefonu przerwał rozmowę.

— To na pewno Olga! — Dominika pędziła do przedpokoju. — Tak!... Słucham! Skąd dzwonicz?... Co? Ze szpitala? Co tam robisz?... Ach tak... Tak... Straszne!... Zaraz tam jedziemy!... Dlaczego nie? Rozumiem!... Dobrze, tylko się

Odłożyła słuchawkę.

— Dominika, co się stało? Mów! Zaniemówiłaś czy co?

— Klara jest w szpitalu...

— Klara?!... Dlaczego?

— Chodźmy do pokoju. Muszę usiąść.

Ada objęła słaniającą się Dominikę i usadowiła wygodnie na tapczanie.

— Masz może jakiś alkohol? — zapytała, patrząc z troską na jej bladą twarz. — Sądzę, że teraz bardzo by się przydał.

— Jest w kredensie na dole... Na prawo. Tak... Z przyjemnością trochę wypiję. — Dominika stwierdzała ze zdumieniem, że nie ma siły ruszyć ręką. — Weźcie też słone paluszki. Są obok.

— Wypij! — Ada przechyliła do jej ust kieliszek ze złocistym płynem. — I do dna! Zaraz ci słabość minie. No, na zdrowie Klary!

— A mój stary nie poczuje? — Tenia nawet w takiej chwili miała skrupuły. — On bardzo nie lubi, kiedy kobieta pije.

— Głupota babska jest jak miłosierdzie boskie bez granic! — Ada wzruszyła wymownie ramionami. — Dominika, nalać ci jeszcze jednego?

— Dziękuję... Już mi lepiej. Myślałam, że się przewrócę.

— Nie przy nas, kochana! A teraz powtórz, co mówiła Olga. Czy już możesz mówić?

— Ależ tak. Otóż Klara jest w szpitalu. Dwie godziny temu zabralo ją pogotowie. Leży w separacie na oddziale wewnętrznym i jest podobno nieprzytomna. Tyle wiem. Resztę opowie już sama Olga.

— Jednak nie miałam racji — szepnęła Ada ze skrucą. — I tym razem kot przyniósł nowe nieszczęście. Jestem już nawet skłonna wierzyć w czary, chociaż w dwudziestym wieku to brzmi więcej niż śmiesznie!

Ale Olga dzwoniła właśnie do drzwi. Nie zdjęła płaszcza w przedpokoju, lecz od razu weszła do pokoju. Oczy wszystkich pań skierowały się na jej czubek głowy, gdzie pośród gęstej szczotki szpakowatych włosów niebiescił się pięknie wyrosnięty guz, namacalny dowód, że jego właścicielka już od rana miała „mocne” wrażenia.

— Mój Boże... — westchnęła ciężko Tenia. — Gdyby to mnie spotkało, to mój mąż czuwałby przy mnie na kolanach... Że też wszystkich dookoła spotykają interesujące

przygody, a ja, oprócz rozwodu, niczego pasjonującego nie przeżyłam... Czy to jest sprawiedliwie?

— Nie pleć głupstw, tylko przynieś szybko mocnej herbaty! — Dominice ścisnęło się serce na widok zmaltretowanej przyjaciółki. — Zdejm płaszcz i siadaj. Zaraz się czegoś napijesz.

— Masz, łyknij sobie trochę koniaku. — Ada wprost nie poznawała Olgi. — Wyglądasz jak ekshumowany nieboszczyk, któremu wrona zainstalowała gniazdo na głowie... Zresztą, to jest nawet bardzo efektowne...

— Ada, daj spokój! — Dominika była oburzona. — Jak możesz być złośliwa wobec chorej koleżanki? Przecież ona ledwo trzyma się na nogach!

— Ja, to pestka, ale Klara... — głos Olgi załamał się niebezpiecznie. — Z nią jest naprawdę bardzo źle!

— Ale dlaczego? — Gospodyni nalewała jej szybko drugi kieliszek. — Przecież dzwoniłaś przed południem, że Klara śpi. Czy potem coś się stało?

— Pozornie niby nic, ale kiedy około czternastej chciałam ją obudzić, zauważyłam, że jest cała rozpalona. Nie ulegało wątpliwości, że ma wysoką gorączkę. Wezwałam pogotowie i kiedy wreszcie nadjechało, z Klarą było już o wiele gorzej. Zaczęła płakać, bredzić... Była zupełnie nieprzytomna. Zabrano ją zaraz do szpitala i kiedy przywlokłam się za nimi autobusem, leżała w separacie pod kroplówką.

— A czy może udało ci się porozmawiać z jej lekarzem?

— Oczywiście. Mówił, że rozpoznano zapalenie płuc, a co będzie dalej, to jeszcze nie wiadomo. Podobno stan jest ciężki.

— Trzeba natychmiast dotrzeć jeszcze raz do tego lekarza. On powinien dowiedzieć się o wszystkich tragediach, przez które przeszła Klara w ostatnich tygodniach. To bardzo ważne dla właściwego ustawienia leczenia.

— Dlaczego? — zdziwiła się Tenia. — Nie chcecie mu chyba opowiadać o czarnym kocie!

— O wszystkim! Zrozum, że kiedy lekarz dowie się o okolicznościach towarzyszących chorobie, ułatwi mu to odpowiednie leczenie, a Klara nic nie powie, bo jest nieprzytomna.

— Masz rację! — Ada zerwała się z miejsca. — Jeżeli pozwolicie, pojedę zaraz do szpitala. Mam tam trochę znajomości i obiecuję, że dotrę gdzie trzeba. Zgoda?

— Oczywiście! Zaraz odprowadzę cię do tramwaju, a Olga niech zostanie. Odpocznie sobie, napije się kawy i zje coś. — Dominika była już na pełnych obrotach.

— Ja też idę! — Tenia pośpiesznie malowała usta. — Dajcie mi ze dwa ziarnka kawy, to przegryzę w drodze. Jak mój stary poczuje...

— Zatlukę! — jęknęła Ada. — Tu rozgrywa się walka na śmierć i życie z mocami piekielnymi, a ta wciąż gra tę samą zdartą płytę! W życiu nie widziałam...

— Dobrze, dobrze... Idziemy! — Dominika chwyciła garść kawy z kredensu. — Olga, pilnuj, żeby Colombo nie wybiegł za nami!

— Idźcie spokojnie. On siedzi po uszy w misce z żarciem! — Olga z naganą spojrzała na ogromnego kota, który wcinął właśnie z apetytem trzecią makrelę. — Nie spaceruj mu w głowie!

Poszły na skróty wąską ścieżką wydeptaną między trawnikami. Dochodziły już do kiosku koło szosy, kiedy Ada zatrzymała się nagle, chwytając Dominikę za rękę.

— Patrz! Oto twój szanowny Colombo maszeruje równo za nami. Niby taki gruby, a tak wspaniale umie się skradać. Co teraz zrobimy? On z pewnością nie wróci bez ciebie... Ale co ci jest? Dominika!!

— Nic... nic. Przepraszam!

— Znowu ci słabo? Wracaj do domu, my pójdziemy już dalej same. A może odprowadzić cię na miejsce? Jak się czujesz?

— Niedobrze! Tenia niech już idzie, bo ma daleko do domu, ale ty, Ada, wróć ze mną... Jesteś mi bardzo potrzebna!

— Oczywiście! — Ada czuła, że z Dominiką dzieje się coś dziwnego. — Dobranoc,

Tenia! Pozdrów od nas swojego starego!

— Cześć! Kiedy się znów spotkamy?

— Jutro u Olgi, około szesnastej. Pa! — odpowiedziała Dominika, patrząc wciąż na przyczajonego w trawie Colomba. Ada wzięła ją mocno pod rękę.

— Wymyśliłaś coś nowego, prawda? — zapytała cicho. — Mnie też kotłują się w głowie różne fantastyczne pomysły, ale nie umiem tego ułożyć w logiczną całość. No, mów

- Wiesz, nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że rozgryłam nareszcie tajemnicę czarnego kota.

— Żartujesz! - Ada spojrzała na nią z prawdziwym podziwem. — Robisz paskudną konkurencję naszemu przystojnemu kapitanowi! Chodźmy prędzej!

Kiedy wchodziły do mieszkania, Olga właśnie urzędowała w kuchni. Zdziwiła się bardzo na widok Ady.

— Wróciłaś? Czy coś nie w porządku?

— Skąd! Zapomniałam kosmetyczki. Przyjdź zaraz do nas!

Weszły do pokoju. Na tapczanie leżał Colombo w całej okazałości. Był odrobinę zasapany. Firanka w uchylonym oknie lekko falowała.

— Kiedy on wrócił? — zdumiała się Ada. — Przecież szedł za nami.

— Ależ on nigdzie nie wychodził! — Olga przysła z kuchni i zasiadła do konsumpcji odsmażonych przed chwilą pierogów. — Może się skusicie? Są świetne!

— Dziękuję! Ale powiedz nam, czy jesteś całkiem pewna, że po naszym wyjściu Colombo był cały czas w domu?

— Mogę dać za to głowę! Kiedy wychodziłyście, był w kuchni i obzerał się do nieprzytomności? A teraz — widzicie! Leży rozłożony jak placek na patelni. W życiu nie widziałam bardziej leniwego kota!

— To znaczy, że jednak niewiele widziałaś! — Ada zrobiła oko do Dominiki. — A poza tym radzę ci z serca, abyś tak pochopnie nie szafowała swoją głową, jeżeli ci na niej trochę zależy... Oooo, widzisz, o mały włos byłabyś udusiła się pierogiem!

— Co, u diabła, mają znaczyć te głupie insynuacje? — wykrztusiła Olga, łapiąc z trudnością oddech. — Nie dość, że człowiek biega cały dzień jak głupi...

— Przecież żartujemy! — Dominika ucałowała serdecznie wyszarpującą się przyjaciółkę. — A teraz posłuchaj! Opowiem ci, co tak szybko sprowadziło nas z powrotem do domu, bo historia Ady o zapomnianej kosmetyczce to zwykła bujda.

— A więc jeszcze do tego okłamujecie mnie! A idź ty! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby te pierogi były nafaszerowane arsenikiem! Widocznie ten przeklęty kot rzucił na was złe czary!

— Właśnie! — Dominika na znak zgody chwyciła pierożek z jej talerza. — Dobrze, że wspomniałaś o tej sprawie, bo mam do zakomunikowania coś bardzo interesującego.

— Nareszcie! — Ada, aż podskakiwała z niecierpliwości. — Czuję, że to będzie prawdziwa bomba, godna naszego atomowego wieku. No więc?

— Otóż zdaje mi się, że nareszcie znalazłam rozwiązanie tajemnicy czarnego kota. — Dominika z apetytem zajadała chrupiący pierożek. — Oczywiście mogę się mylić!

— Nie bardzo w to wierzę, ale posłuchać można. — Olga była jeszcze ciągle trochę obrażona. — Cóż to za rewelacja? Słuchamy!

Dominika wstała, podeszła do tapczanu i wzięła Colomba na rękę.

— Oto moje rozwiązanie — oznajmiła uroczyście. — To właśnie on podsunął, jak na talerzu, całą prawdę. Patrzcie i podziwiajcie!

— Ot, durna! Ani chybi dostała bzika! — Olga z prawdziwą zgrozą patrzyła na przyjaciółkę, tańczącą dookoła stołu z kotem na rękach. — Zostaw w spokoju tę futrzaną górę i siadaj! Jesteśmy już o wiele za duże, aby stroić z nas głupie żarty! Jeżeli znalazłaś tylko takie rozwiązanie, to dlaczego Ada tutaj siedzi, skoro już dawno powinna być w szpitalu?

Dominika położyła ostrożnie na tapczanie grubachne kocisko i nieco zdyszana usiadła.

— A teraz uzasadniam to, co powiedziałam — oznajmiła, patrząc z uśmiechem na naburmuszoną Olgę. — Dotąd wszystkie uważałyśmy, że przyczyną wszystkich tragedii w domu Klary był tylko ten czarny kot, którego na własne oczy widziały Olga i Klara. Zgadza się?

— Niby tak, ale co to ma do rzeczy?

— Czekajcie! Jak dotąd nie dało się logicznie wytłumaczyć, w jaki sposób kot mógł spowodować śmierć dwóch osób plus otrucie psa, chyba że sięgniemy do pomocy czarów, magii i innych, raczej wątpliwych sposobów wytłumaczenia jego udziału w naszej sprawie.

— A więc czary? — Olga ze strachem obejrzała się dookoła. — Czy podejrzewasz, że twój Colombo zmienia na noc kolor futra na czarny i...

— Nie pleć! Żadne czary nie wchodzą tu w rachubę. Jest inne i proste rozwiązanie: to nie kot powodował te wszystkie tragedie. Jest on na pewno zwykłym domowym zwierzątkiem, bardzo przywiązany do swojego właściciela. On tylko szedł potajemnie za swoim panem, podobnie jak to zrobił dzisiaj Colombo.

— Rozumiem! — Ada zerwała się z miejsca. — Myślisz, że szedł tylko czymś tropem...

— A my, idąc kocim tropem, będziemy szukać jego właściciela. Proste!

— Coś podobnego... — Olga patrzyła z prawdziwym podziwem na Dominikę. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy! Ale nie rozumiem, co ma z tym wspólnego twój Colombo!

— Prawda, ty jeszcze nie wiesz wszystkiego. Otóż dzisiaj wieczorem, kiedy wyszliśmy z domu i dochodziłyśmy do szosy, Ada zauważyła, że tuż za nami maszeruje Colombo...

— Wyglądał przekomicznie! — Ada gładziła z uśmiechem piękne pręgowane futro bohatera wieczoru. A ponieważ chciał pozostać nie zauważony, rozplaszczal się, o ile pozwalało mu na to jego brzuszysko, i tak szorował biedny po trawie. Jak to dobrze, że go wtedy spostrzegłam. Mogłyśmy jeszcze bardzo długo błądzić wśród przeróżnych głupich wniosków i domysłów!

— Przestańcie wy Boga grzeszyć!... Toż ja widziałam go w kuchni! — Olga patrzyła na nie z niedowierzaniem. — Jak to się mogło stać?

— Najzwyczajniej w świecie! Byłaś po prostu zajęta swoimi czynnościami i nie zwróciłaś uwagi, kiedy wyszedł. Okno w pokoju jest zawsze uchylone, więc wymknąć się było bardzo łatwo. Gdy wracałyśmy do domu, też byłyśmy pewne, że idzie za nami. I szedł, ale w pewnym momencie wyprzedził nas, czego żadna nie zauważyła. Kiedy weszłyśmy do pokoju, leżał już spokojnie na tapczanie. Koty są mądre i przebiegłe!

— A więc sądzisz, że czarny kot też tylko szedł za swoim właścicielem... Mam nadzieję, że on tego nie zauważył!

— No, dobrze... Ale w takim razie kto, u diabła, włąził do ogrodu Kraftów?

— Tego nie wiemy... jeszcze!

— To znaczy, że znów zaczynamy od zera... Czy to nie •straszne?

— Wcale nie jest tak źle! Teraz wiemy już wystarczająco dużo, aby rozpocząć dalsze poszukiwania. Po pierwsze, wiemy na pewno, że ów „ktoś” jest zwykłym człowiekiem, a nie duchem. Po drugie, że posiada czarnego kota, który jest do niego bardzo przywiązany i łązi za nim po nocach. Nie każdy kot ma na to ochotę!

— I wiemy jeszcze, że z jakiegoś powodu nienawidzi Kraftów. Przecież w ciągu paru tygodni wykończył prawie wszystkich domowników, z psem na czele. To musi być numer!

— Zaraz... zaraz! Ale do szpitala może wejść każdy, pod pretekstem odwiedzin. Jeżeli „ktoś” zechce dokończyć dzieła, to ma otwartą drogę, a Klara jest bezbronna. Trzeba otoczyć ją tam bardzo troskliwą opieką. Która z nas ma teraz wolny czas?

— Ja już skończyłam swój projekt i jestem wolna od jutra. — Olga skwapliwie zgłaszała gotowość pomocy.

— Ty masz pilnować wizyt kota... To bardzo ważne! — Ale może ty będziesz mogła pójść do szpitala? — Dominika spojrzała pytająco na Adę.

— Od jutra biorę urlop — oznajmiła Ada — i od rana będę to wszystko załatwiała. Czy spotkanie u Olgi jutro o szesnastej jest nadal aktualne?

— Oczywiście! Trzeba przecież dokładnie ustalić, co mamy robić dalej. Najważniejszą jednak sprawą jest zabezpieczenie Klary. Pamiętaj!

— A więc idziemy do domu. Całą noc będę prała, nie wspominając już o tym, co mi mój stary szykuje!

— Wiesz co — Dominika odprowadzała panie do przedpokoju — opowiedz swojemu mężowi o naszej „kocie” sprawie — jeśli temat chwyci, może przestanie cię truć, że ciągle wychodzisz.

— A jak nie chwyci? — Ada szukała nerwowo w torebce biletu tramwajowego. — Przecież mężczyźni nie mają za grosz wyobraźni! Nawet ten kapitan z milicji, niby przystojny, a wyobraźnia pod psem! Zresztą, co szkodzi spróbować. Cześć!

W mieszkaniu Dominiki zaległa nagła cisza. Colombo ziewnął potężnie i wskoczył na parapet okienny. Zaczynał się czas jego spacerów i przygód.

— Tylko uważaj... — Dominika przytuliła twarz do ciepłego futerka swojego ulubieńca. — Nie łaź za daleko, bo może to źle się dla ciebie skończyć. Najlepiej zostań w domu!

Ale Colombo zeskokczył już na trawnik. Ciepła noc kusila go ciszą i przyjazną ciemnością. A Dominika leżała bezsennie na tapczanie i jeszcze raz rozważała wszystkie emocje ubiegłego dnia.

— Może teraz potoczy się wszystko do przodu... Istnieje szansa, że czarny kot zaprowadzi nas nareszcie do sprawcy wszystkich tragedii w domu Klary... Ale dlaczego ów „ktoś” tak bardzo znenawidził tych spokojnych ludzi... Co się za tym kryje?

Wzdrygnęła się i naciągnęła kołdrę na czubek głowy. Kiedy już zasypiała, coś ciemnego opadło ciężko na jej tapczan, a potem pomościło się trochę i ułożyło wygodnie przy jej nogach. Ciche mruczenie rozległo się wyraźnie w ciszy nocnej i kołysało do snu.

Widocznie kocie łowy skończyły się wcześniej tej nocy.

Rozdział X

— Już dawno nie było w twoim mieszkaniu takiej gromady bab! — zawołała od progu Ada, wyciągając z torby duży kawałek makowca w czekoladzie. — Przewiduję, że dzisiejsza narada będzie długa i burzliwa, więc dla podtrzymania kondycji i dowcipu trzeba podjeść coś smacznego. W twoje ręce, Olga!

— A ja mam jabłecznik! — chwaliła się Tenia. — Udał mi się jak nigdy! Mój mąż zjadł z apetytem połowę, więc macie dowód...

— ... że jesteś stuknięta! — Ada uzupełniła jej wypowiedź. — Któż bowiem, posiadając odrobinę rozumu, karmi takim ciastem łobuza, który daje ci na żarcie, ciuchy, opłaty i fryzjera — goły tysiąc miesięcznie... Ja bym mu dała w zęby!

— Po co? I tak wstawiłby sobie zaraz nowe i jeszcze ładniejsze! — Tenia broniła dzielnie swoich racji. — Gdzie mam to położyć?

— Tutaj, na lodówce, bo cały stół jest zawalony zakupami. Ale co się dzieje z Dominiką?

— Zaraz przyjdzie. Mogę się z wami założyć, że stoi teraz w kolejce po babkę włoską. Niestety chodzą parami! — przewidywała Ada.

Olga krzątała się jak w ukropie. Stół kreślarski został uprzątnięty z wszelakich

papierzysk i nakryty jakimś cud- -obruszem, odziedziczonym ongiś po babci. Zastawa była też w tym stylu.

— Jedzenia mamy na okrągły miesiąc. Czuję, że jeszcze kilka takich narad, a odnośnie tuszy pobijemy Colomba. Oooo, Dominika dzwoni! — Ada już pędziła do drzwi.

— Cześć! Przepraszam za spóźnienie, ale chyba godzinę stałam w kolejce po coś słodkiego... Weźcie od razu, bo chcę jeszcze wyjąć jabłuszka... Czemu się tak śmiejecie?

— A czy one były kiedyś poważne? — Olga odbierała z jej rąk potężny kawał babki włoskiej. — Dobrze, że mamy już wszystko gotowe. Czekaliśmy tylko na ciebie.

— Właśnie widzę! Przy tak zastawionym stole można radzić okrągły rok bez obawy, że ktoś zgłodnieje — stwierdziła z przekonaniem Dominika. — A ludziska narzekają, że u nas są trudności z zarciem... Czysta przesada!

— Ada, opowiadaj wreszcie, co u Klary! - Olga nie mogła się doczekać wieści ze szpitala. — Czy jest już lepiej?

— Tak! Odzyskała przytomność, ale gorączka nadal wysoka. Zmieniła się bardzo, jakby jej... ubyło. Biedna Klara!

— Czy rozmawiałaś z lekarzem?

— Rozmawiałam. Leczy ją bardzo fajna babka. Opowiedziałam jej wszystko, co Klara ostatnio przeżyła i wyobraźcie sobie, że przyjęła to bardzo naturalnie.

— Co powiedziała o tej historii z kotem?

— Uwierzyła i bardzo się tym przejęła. Poszliśmy zaraz do separatki Klary. Leży tam od dzisiaj rano, na dostawionym łóżku, jeszcze jedna pani. Jest zupełnie na chodzie, bo tylko wątroba jej nawala i musi być na obserwacji. Porozmawiałyśmy z nią, wyjaśniłyśmy co i jak, no i obiecała pilnować Klary jak oka w głowie. To bardzo równa babka i można śmiało na niej polegać. Poza tym zostało wydane polecenie w dyżurce oddziału, aby do Klary absolutnie nikogo nie wpuszczać.

— No, a my? Przecież...

— Uspokój się. Mam dla nas wszystkich stałe przepustki. Mówiąc krótko: Klara jest bezpieczna i nic jej nie grozi!

— Ale skąd sit; wzięło u niej zapalenie płuc? — Olga nic mogła tego zrozumieć. — Wprawdzie przemokła wtedy do nitki, ale to przecież, lato!

— Co z tego! Łał rześisty deszcz jak z konewki i wiatr urywał głowię i przeziębila się i basta! Ze zdrowiem nie ma żartów!

— A kiedy pójdziemy ją odwiedzić?

— Jak opadnie gorączka. Na razie musi mieć spokój i zaliczać piguły. Może za dwa, trzy dni będzie można do niej zajrzeć, ale, broń Boże, nie kupą. Pojedynczo!

— No i dobrze! — odetchnęła z ulgą Dominika. — Problem Klary mamy na razie rozwiązany! Doskonale się składa, że nie jest sama i ma dobrą opiekę lekarską. Możemy więc przystąpić do dyskusji na temat aktualnych spraw. Czy Tenia jest już poinformowana na temat wczorajsza sensacji?

— Wiem już wszystko i niezmiernie żałuję! Myślałam, odkryłyśmy tajemniczą sprawę z upiorami, a tymczasem

— Nie martw się! I bez twoich wymarzonych upiorów będziemy miały dość roboty! — westchnęła Dominika. Przejdźmy, więc do meritum sprawy: trzeba jakoś wymyszkować, kto na tym osiedlu ma w domu czarnego kota. Od tego trzeba zacząć.

— Zgłupiałaś?! — Olga zerwała się z miejsca. Czy zdajesz sobie sprawę, co ty wygadujesz? Tutaj jest dzielnica domków prywatnych i w każdym jest prowadzona systematyczna hodowla domowych zwierzków, w tym psy i koty. Jak można wyłowić z tej masy akurat czarne koty?

— Siadaj i spróbuj jabłecznika, bo to istny poemat kulinarny! — uspokajała Ada. — Ja uważam, że to nie będzie wcale takie trudne. Można załatwić to częściowo przez dzieci. One przecież wszystko wiedzą, co się dzieje w okolicy ich zamieszkania. Za dobre cukierki przyniosą ci całą listę właścicieli czarnych kotów, wraz z ich

dokładnymi adresami.

— Ja tam z dzieciakami pertraktować nie będę — zastrzegła się Olga. — Nie mam w tym wprawy. Mogę robić wszystko tylko nie to!

- Dobrze, spróbuj jednak porozmawiać z ludźmi dorosłymi, na przykład z listonoszem czy panią z kiosku.

To mogę zrobić, zwłaszcza że pani Krysia wie wszystko o wszystkim i wszystkich. Ale sama nie dam rady!

- Z pewnością! Ja biorę na siebie wywiad wśród milusińskich. Zawsze wierzyłam w inteligencję naszej najmłodszej generacji.

— Doskonale! Ja też rozejrzę się na swoją rękę. — Dominika notowała pilnie rozkład zajęć babskiej spółki wywiadowczej. — Ile to nam zabierze czasu... Jak myślicie?

— Najmniej tydzień, zwłaszcza że już od jutra trzeba będzie codziennie odwiedzać Klarę. Huk roboty!

Nagle telefon zadzwonił ostro i nagle.

— Tak, słucham! — Olga dopadła do czarnej skrzynki, zanoszącej się hałasem. — Tak, jesteśmy... Dzień dobry!... Co?... Tak, dobrze!... Powtórzę! Zaraz! Do widzenia!

Klara odzyskała przytomność i chce koniecznie widzieć którąś z nas — relacjonowała Olga, patrząc wokół niespokojnie. — Podobno już od południa wciąż o tym mówi i chce, żeby nas powiadomić jak najprędzej.

— A kto dzwonił?

— Jej sąsiadka z separatki. Co robimy?

— Ja pojedę! — Dominika zerwała się z miejsca. Wy kontynuujcie dalej rozpoczętą dyskusję, jak również konsumpcję tej góry ciasta, a ja pędzę! Gdy wrócę ze szpitala, natychmiast zadzwonię.

— Z Klarą jest chyba gorzej, jeżeli tak pilnie wzywa przyjaciółki. — Tenia miała oczy pełne łez. — Może jednak pójdziemy tam wszystkie... Mamy przecież przepustki!

— Ale tylko po jednej — przypomniała Ada. — Nie martw się! Dominika załatwi wszystko w naszym imieniu jak należy! No, śpiesz się, bo czas ucieka!

— Zaczekaj chwilkę! Przygotuję ci ciasta dla Klary. — Olga szukała pośpiesznie sporej siatki i po chwili Dominika, obładowana słodyczami, podążała w stronę kiosku z kwiatami, a potem pędziła do autobusu. Na szczęście zdążyła wskoczyć w ostatniej chwili. W szpitalu winda właśnie odjeżdżała, ale ktoś ją zauważył i zdążyła jeszcze dołączyć do kompletu.

Drzwi wejściowe na oddział wewnętrzny były akurat naprzeciw dyżurki. Dominika podeszła do młodej osoby w białym fartuchu.

— Pani do kogo? — Siostra spojrzała zaskoczona na zasapaną Dominikę. — Przecież dzisiaj nie ma...

— Proszę! — Podała jej pośpiesznie przepustkę. — Chcę się widzieć z panią Klarą Rudzką. Leży podobno w separacie numer pięć.

— Na końcu korytarza... — Siostra uważnie oglądała podany papierek. — Tylko proszę nie siedzieć za długo, bo pacjentka jest jeszcze bardzo słaba.

— Ale czy jest już trochę lepiej? — zapytała cicho Dominika, którą od zapachu leków, zaczynało już porządnie kręcić w nosie.

— Najgorsze już minęło — pocieszała ją sympatyczna pielęgniarka. — Jest tam z nią jeszcze druga, bardzo miła pani.

— Wiem i dziękuję! — Dominika szybko podążała w kierunku separatki. Uchyliła delikatnie drzwi, ale oto wyrosła przed nią niespodziewanie dobrze zbudowana brunetka, okryta błękitną podomką.

— Czy pani czegoś sobie życzy? — zagrzmiało jej groźnie nad uchem. — W jakiej sprawie...

— Przecież otrzymaliśmy przed godziną wiadomość, że Klara...

— Ach, teraz rozumiem!... Proszę bardzo! Ale niech pani będzie uprzejma pokazać mi przepustkę. Wtedy będzie już zupełna zgoda między nami!

Dominika patrzyła z prawdziwą przyjemnością na energiczną kobietę, która tak dzielnie wywiązywała się z obietnicy pilnowania Klary.

— Proszę, oto przepustka, i pozwoli pani, że się przedstawię: Dominika Jabłońska... Cieszę się ogromnie, że przyjaciółka ma taką opiekę.

Podeszła do łóżka, gdzie w białej pościeli leżała Klara. Spała.

— Boże, jaka ona mizerna! — wyszeptała wstrząśnięta Dominika. — Czy aby na pewno jest lepiej?

— Ależ tak! Bardzo dużo śpi... Ale to dobrze. Dominika usiadła na białym taboreciku i patrzyła na śpiącą.

— Chyba będę musiała ją obudzić, bo nie wolno mi tutaj długo siedzieć.. Ale już otwiera oczy... Klaro, to ja, Dominika.

Chora patrzyła chwilę trochę nieprzytomnie, ale potem uśmiechnęła się radośnie na jej widok.

— Przyszłaś... — szepnęła. — To dobrze...

— Przyniosłam ci trochę ciasta. Oto szarlotka, jabłuszka i kompot... A kwiaty — tu rozejrzała się bezradnie.

— Proszę je włożyć do mojego wazonu i postawimy go na stoliku — dyrygowała energicznie sąsiadka Klary. — Teraz pójdę trochę zerknąć na telewizję. Jak będzie pani wychodziła, to proszę mnie zawołać!

Zostały same. Dominika usiadła przy łóżku Klary i ujęła delikatnie jej rękę.

— Chciałaś mi o czymś powiedzieć, prawda? — zapytała, nachylając się nad chorą.

— Tak... — Klara mówiła z widocznym wysiłkiem. — To jest dla mnie bardzo ważne...

— Ale czy nie zaszkodzi ci rozmowa? Może odłożymy ją na dalszy termin. Mamy czas...

— Nie! Chcę ci teraz o tym powiedzieć... Słuchaj uważnie !

— Tak, kochana... Słucham!

— Nie wiem, jak mam zacząć. To wszystko jest takie strasznie skomplikowane... ale spróbuję. Otóż wiem, że mój nieżyjący szwagier miał sporo złota i różnych kosztowności. Przez wszystkie lata małżeństwa z moją siostrą sprzedawał czasem coś z tych rzeczy, ale po jego śmierci chyba sporo jeszcze zostało... Przyszło mi do głowy, że może właśnie to jest przyczyną naszych wszystkich tragedii... To jest bardzo prawdopodobne!

— Myślisz, że ktoś chce je ukraść? — Dominika wpatrywała się, zdumiona, w bladą twarz chorej. — Ale jeżeli nawet jest tak, jak mówisz, to już dawno powinno być skradzione. Dom jest pusty, bezbronny, bo nikt go teraz nie pilnuje.

— Być może — zgodziła się Klara — ale zajrzyjcie tam, proszę i jeżeli nikt jeszcze tego nie ukradł, wyeksponujcie to wszystko w widocznym miejscu i niech zabiera kto chce!... Może wtedy zapanuje spokój i będę w tym domu bezpieczna. Początkowo nie wierzyłam, żeby ktoś z zewnątrz mógł być przyczyną śmierci moich najbliższych, ale kiedy zobaczyłam na własne oczy tę ciemną postać, usiłującą dostać się do mieszkania — zmieniłam zdanie i... boję się... strasznie... To nie był żaden kot, lecz człowiek...

— Tak myślisz? — Dominice zaczęło bić serce przyspieszonym rytmem. — Czy kogoś poznałaś?... Przypomnij sobie!

— Widziałam dokładnie czarną rękę... To nie była kocia łapa, ale ręka człowieka w czarnej rękawiczce... Olga mówiła, że kot, ale teraz wiem, że uległam sugestii. Wierz mi!

— Masz rację! — powiedziała cicho Dominika. — My też już wiemy, że to był człowiek.

— A czego mógł szukać, jak nie kosztowności... Zabierzcie je, proszę!

— Ale gdzie mamy szukać tego złota? — zapytała Dominika. — I czy wypada, żebyśmy buszowały po twoim mieszkaniu?

— Przecież sama o to proszę! Nie potrzebujecie nawet długo szukać. W pokoju szwagra jest skrytka za obrazem, który wisi nad biurkiem. Moja siostra powiedziała mi kiedyś o tym...

— Jak to?... Więc on dysponował majątkiem zupełnie sam?

— Właśnie... — Klara była już bardzo zmęczona. — Kiedyś ci o tym opowiem, ale teraz obiecaj mi, że zrobisz tak, jak cię prosiłam!

— Oczywiście! — Dominika podała chorej szklankę z herbatą. — Już nic więcej dzisiaj nie mów, ale posłuchaj mnie... Czy możesz?

— Tak! — Klara uśmiechnęła się z zachętą. — Słucham!

— A więc moja propozycja jest następująca: poszukamy i zabierzemy wszystko, jak sobie życzysz, ale nie jestem za tym, aby kłaść to w widocznym miejscu. Skąd mamy pewność, że nie ukradnie tego jakiś przygodny złodziejasek, który nie ma nic wspólnego z całą sprawą, a my nie będziemy wiedziały, jak i co się stało. Mam inny projekt! Otóż zaniemiemy kosztowności do naczelnika Wydziału Kryminalnego i powiemy mu, o co chodzi. On już sam zadecyduje, co robić dalej... Może milicja zrobi zasadzkę, czy coś takiego, i będzie przynajmniej wiadomo, kto jest przestępcą. Czy zgadzasz się, Klaro?

— Owszem, ale czy milicja zechce zajmować się takimi sprawami? Przecież już raz odmówili.

— Ale teraz są poważniejsze poszlaki. Nawet te kosztowności szwagra... To jest przecież poważny motyw do popełnienia przestępstwa.

— Możecie spróbować, ale...

Dalszą rozmowę przerwała siostra, wkraczając energicznie do pokoju chorych.

— Ta rozmowa trwała o wiele za długo! — spojrzała z wyrzutem na szykującą się do wyjścia Dominikę. — Chora ma wypieki i jest wyraźnie zmęczona, a przecież...

— Już wychodzę! Pa, kochana! Dam ci natychmiast znać, jak załatwimy sprawę. Śpij spokojnie! Do widzenia pani!

Zjechała windą na parter i podeszła do automatu telefonicznego. Wykręciła numer Olgi i po chwili umawiała się już z koleżankami na następne spotkanie.

— ... tak, czuje się dobrze... Pamiętajcie, że jutro mamy niezwykle ważną sprawę do załatwienia i czarne koty trzeba na razie zostawić w spokoju... Teraz nie mogę... Idę do domu, a o wszystkim opowiem wam jutro!... Tak, u ciebie o szesnastej... Cześć!

Odłożyła słuchawkę i powoli pomaszerowała na przystanek. Wieczór był ciepły i cichy. Była bardzo zmęczona.

Rozdział XI

Następnego dnia nie mogły się doczekać nadejścia Dominiki. Godzina szesnasta, przez nią samą wyznaczona, dawno już minęła, a dzwonek u drzwi wejściowych milczał jak zakłęty. Dopiero kwadrans po siedemnastej rozległy się od strony .furtki szybkie kroki.

— Nareszcie! — Ada pędziła do drzwi jak huragan. — Co się z tobą dzieje?... Czy może czarny kot przebiegł ci drogę i bałaś się przejść pierwsza przez ulicę? Przyznaj się!

— Daj spokój! — Olga patrzyła z niepokojem na mizerną twarz przyjaciółki. — Lepiej idź do kuchni i przygotuj coś do picia.

Weszły do pokoju i Dominika z ulgą zagłębiła się w ogromnym fotelu.

— Wybaczcie mi to spóźnienie, ale postanowiłam pójść od jutra na urlop. Zanim więc wszystko przekazałam...

— Ależ to doskonale! Jesteśmy więc wszystkie wolne i możemy poważnie brać się za robotę! — cieszyła się Ada, tańcząc dookoła stołu kreślarskiego. — Biada ci, czarna siło nieczysta! Zginiesz marnie!!

— Babka włoska ją roznosi! — orzekła ze zgorzaniem Olga. — Może jednak pozwolisz nam dojść do głosu, zwłaszcza że Dominika ma nam coś ważnego do powiedzenia.

— Owszem, mam! Siadajcie i słuchajcie uważnie. Otóż idziemy zaraz do mieszkania Klary...

— Rozumiem, kwiatki nie podlewane od trzech dni. Już wkładam pantofle!

— Zaczekaj, nic nie rozumiesz! Kwiatki też podlejemy przy okazji, ale jest jeszcze inna ważniejsza sprawa... Tylko błagam: nie przerywajcie! Otóż dowiedziałam się wczoraj od Klary, że jej szwagier posiadał sporą ilość złota i biżuterii. Trzymał to wszystko w swoim pokoju, w skrytce za obrazem. Musiał to być straszny skąpiec, bo nikt z domowników nie miał do tego dostępu. Od czasu do czasu brał stamtąd jakiś drobiazg do sprzedania.

— Ja bym takiego męża... — zaczęła Ada, ale zaraz taktownie zamilkła, udając że zakrzuszyła się fusami od kawy.

— Klara jednak nie jest wcale zadowolona, że ten skarb znajduje się pod jej dachem — ciągnęła dalej Dominika — i prosiła mnie, żeby zabrać to wszystko ze skrytki i położyć gdzieś w mieszkaniu, na widocznym miejscu.

— A więc jednak gorączka jej nie opadła! — przestraszyła się Ada. — Toż to czyste...

— Czekaj, daj mi skończyć! Klara uważa, że ktoś obcy wie o tym złocie i chce się dostać do niego... Tym właśnie tłumaczy wszystkie tragedie w swoim domu.

— I pewnie liczy na to, że jak się rozłoży ten skarb na stole i podświetli go żarówką dla lepszego wglądu, to morderca przybędzie w podskokach, zabierze go grzecznie — i nastąpi spokój w chacie... Bujda! — denerwowała się Ada. — Zresztą, jeżeli tak jest istotnie, to złota już dawno nie ma!

— Oczywiście! — ucieszyła się Dominika. — Tak właśnie i ja myślałam i nie będę wcale zdziwiona, jeśli go tam nie znajdziemy.

— Co więc robimy? — Olga stała z jednym sandałkiem w ręce. — Tak czy owak trzeba to zabrać, dopóki nie wyręczy nas w tym jakiś złodziejasek. Idziemy?

— Za chwilę. A czy pomyślałyście, co zrobimy z tym złotem, kiedy je znajdziemy?

— Co zrobimy? — Olga straciła oddech. — Chyba trzeba będzie gdzieś schować, aż Klara wróci ze szpitala... Może u ciebie?

— U mnie? — Dominika szczerze się bawiła wystraszoną miną koleżanki. — Zapominasz, że mieszkam sama na parterze i nie mogę zapewnić żadnej ochrony dla takiego skarbu. Zresztą, morderca może to wywęszyć i... wiesz!

— Okropność! — Olga opadła na krzesło, które na szczęście stało za nią. — Najlepiej tego nie ruszać!

— Ale Klara prosiła nas akurat o coś odwrotnego i trzeba spełnić jej życzenie. Idziemy!

— A czy nie boisz się, że on tam czeka? — Olga zaczynała mieć porządnego stracha.

— Takie trzy baby, jak my, dadzą sobie gładko radę nawet z plutonem morderców — roześmiała się beztrosko Ada. — Zresztą zostań, jeżeli się boisz. Pójdziemy same.

Ale Olga pierwsza wychodziła z domu, tylko jaskrawe rumieńce świadczyły o emocji, jaką przeżywała.

Furtka do ogrodu Klary była zamknięta i nic nie wskazywało, żeby ktoś otwierał ją siłą. W ogrodzie pachniał słodko groszek i różę. Było cicho, spokojnie i pusto. Wyczuwało się, że nie ma tu gospodarzy.

— Najpierw podlejemy kwiatki, żeby mieć już z tym spokój — proponowała Ada. — W kuchni stoi dzbanek na wodę. Bierzmy się do roboty!

Wkrótce kwiaty były podlane, zostały tylko paprocie i bluszcz na werandzie.

— Tam wchodzimy kupą — zdecydowała Dominika. — Jeden wypadek najzupełniej nam wystarczy.

— Dziwaczysz! — Olga wzruszyła ramionami, ale nie protestowała więcej. Kończyły robotę bez dalszych komentarzy.

— Gdzie jest ten skarb? — Ada odstawiała dzbanek do łazienki. — Zdaje mi się, że to są jakieś bajki, ale zajrzeć można. To chyba tutaj.

Weszły do pokoju, w którym królowało ogromne dębowe biurko. Dwa fotele obite skórą, szafa z książkami - to było całe wyposażenie gabinetu nieżyjącego już pana domu. Nad biurkiem wisiał duży obraz przedstawiający barwny pejzaż jesienny.

— Klara mówiła, że skrytka jest za tym obrazem — rzekła Dominika. — Zaraz zobaczymy.

Zdjęła pantofle i weszła na krzesło, a potem na biurko.

— Trzymajcie! — podała ostrożnie obraz. — Spójrzcie... Oto i ona!

— No dobrze, ale jak ją otworzymy?... Masz do niej kluczyk?

— Skąd! Ale chyba musi być gdzieś tutaj. Trzeba poszukać.

— Ładna historia! Przecież może być schowany w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu. Wystarczy, że jest wetknięty za okładkę którejś książki... Patrzcie, ile tego jest! Możemy szukać okrągły rok... — Olga bezradnie rozglądała się dookoła.

— Nie gadaj, tylko rusz głową. Najpierw przeszukamy biurko! — Dominika energicznie brała się do dzieła.

W górnej szufladzie biurka tkwił w zamku kluczyk, zawieszony wraz z innymi na małym kółeczku.

— Może jest wśród nich ten od skrytki! — ucieszyła się Ada, chwytając je od ręki. — Zaraz spróbujemy!

Ale ku rozczarowaniu przyjaciółek żaden nie pasował.

— Musimy szukać dalej. — Dominika zaczęła przeglądać zawartość górnej szuflady. — Zajrzyjcie do biblioteki, może tkwi gdzieś na półce.

— Czekajcie! — Ada triumfalnie podniosła do góry mały srebrny kluczyk. — Jest! Leżał pod tą ogromną lampą. Całkiem niezły schowek!

— Znalazłaś, to teraz otwieraj. — Dominika czuła, że policzki zaczynają ją palić. — Jeżeli Klara miała rację...

Kluczyk lekko obrócił się w zamku i skrytka była otwarta. Stały tam dwie duże szkatułki i kilka woreczków zawiązanych sznurkiem.

— Oto i skarb! — Ada podawała ostrożnie koleżankom zawartość skrytki. — Ho! ho! Ten Kraft musiał być facetem z głową, skoro potrafił nagromadzić tyle dobroci! Chyba znakomicie zarabiał... Patrzcie: pierścionki, bransoletki, wi-

sioraki!... Złoto i kamienie są też bez pudła! Istny cud, że nikt tego dotąd nie zagarnął!

— Rany boskie!... W woreczkach same złote monety! — Oldze całkiem zaokrągliły się oczy. — Co my teraz z tym zrobimy?

— Chowajcie wszystko do torby i idźmy stąd jak najprędzej. W domu porozmawiamy.

Zamknęły pośpiesznie skrytkę i powiesiły obraz na swoim miejscu. Wyszyły w milczeniu i dopiero w przedpokoju Olgi spojrzały po sobie i jak na komendę wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Ot i mamy za sobą zupełnie nielichy „skok”! — Ada ważyła w ręce ciężką torbę. — Mało która banda zawodowych włamywaczy potrafiłaby tyle zagarnąć w tak krótkim czasie. Olga, gdzie my to schowamy?

— U mnie?... Przecież wam mówiłam, że...

— Cicho! Włóż torbę do szafy i siadaj! Mam pewien pomysł.

— Teraz cię nawiedził, czy już wczoraj uzgodniłyście go z Klarą? — Ada patrzyła bystro na Dominikę. — Lepiej się przyznaj!

— Nieistotne kiedy, ważne, że mam coś do zaproponowania. Otóż jutro rano zaniemiemy cały ten złoty majdan do naszego przystojnego kapitana, czyli do Wydziału Spraw Kryminalnych. Opowiemy mu, co i jak, i niech on z kolei trochę się tym poopiekuje. Co wy na to?

— Jeżeli myślisz, że dam się znowu zrobić na wariatkę — Ada poczerwieniała jak burak — to wybij to sobie z głowy. Już miałam dość tych...

— Broń Boże! Możesz ubrać się na tę wizytę w szary worek, zawiązany sznurkiem pod szyją! Teraz mamy konkretne argumenty i uzasadnione powody do odwiedzin. Ten znaleziony skarb ślicznie nam zagra. Kapitan zupełnie zdębieje — cieszyła się Dominika.

— Bardzo dobrze! — roześmiała się mściwie Ada. — Niech zobaczy, jak naprawdę wyglądają „zwyczajne, ludzkie sprawy”... A złoto rozłożymy mu przed nosem na biurku. Heca będzie nieprzeciętna, zobaczycie!

— Ale ja was tylko odprowadzę i poczekam w parku na ławce — zapowiedziała Olga. — Nie będziemy tam się pchały gromadą... Ale dzisiaj nie zostawiajcie mnie z taką górą złota. Umrę ze strachu!

— Niech zostanie Dominika, ja niestety muszę wracać — westchnęła Ada. — Mój mąż gotów pomyśleć, że zeżarł mnie gdzieś ten czarny kot!

— To on wie?

— Oczywiście! Początkowo trochę mrucał o „głupich babach”, ale potem zmienił zdanie i jest teraz bardziej przejęty ode mnie. Jak wrócę do domu, muszę mu złożyć dokładne sprawozdanie.

— O złocie też? Zgłupiałaś?

— Boisz się, że przyjdzie tu w nocy i zrabuje skarb?... Na wszelki wypadek przywiążę mu nogę do szafki nocnej. Śpijcie spokojnie!

Zaczekaj! — Olga zachowywała się jak w gorączce. — Może jednak to złoto schować gdzie indziej... W szafie każdy może łatwo znaleźć!

— Każdy? To znaczy, — kto? Trzeba uznać, że do odważnych się nie zaliczasz! Ale jeśli tak się boisz, włóż złoto pod poduszkę. Tam nikt nie zajrzy. Cześć! Spokojnej nocy! O której jutro?

— O dziesiątej — powiedziała Dominika. — Spotkamy się na tej naszej ławce w parku.

— Będziemy ze złotem paradować po krzakach? — Olga trzęsła się jak w febrze. — Lepiej przyjdź tutaj, bo ja czuję, że na pewno będę chora, a Dominika sama nie poradzi...

— Dobrze, będę o dziesiątej, tylko bez dobrej kawy nie ruszę się stąd nigdzie... Aha, zapomniałam! Olga, namaluj jeszcze dzisiaj na płótnie duży transparent.

— Jaki? — Olga całkiem traciła poczucie rzeczywistości. — Masz jakiś nowy pomysł?

— Właśnie! Wydrukuj na dużym prześcieradle wielkimi literami: uwaga, niesiemy złoto do milicji! Z czymś takim nikt nas nie zaczepi. No to cześć! Do jutra!

Drzwi trzasnęły głośno i zaraz potem uderzył w nie z impetem stary futrzany bambosz.

— Jutro się z nią policzę! — Olga sapała ze złości. — Ja jej pokażę transparenty i inne głupoty!... Ja...

— Uspokój się! — Dominika objęła ją czule. — Po co zaraz tak się irytować. Znasz przecież Adę i wiesz, że lubi żartować. Włącz lepiej telewizor, bo zaraz będzie doskonały film.

— Film?... Masz ochotę w takiej sytuacji oglądać telewizję? A czy przynajmniej wiesz, jaki to film, może nie warto włączyć.

— Zaraz zobaczę, mam przy sobie dzisiejszą gazetę. Czekaj... dwudziesta piętnaście... Jest! Amerykański: „Gorączka złota”. Oglądamy!

— Stanowczo za dużo złota jak na jeden dzień... ale jeżeli chcesz i masz jeszcze siłę...

Dominika oglądała więc film, a Olga miotła się po mieszkaniu szukając bezpiecznego miejsca dla przechowywanego skarbu. Wreszcie zdecydowała, że włoży torbę z cenną zawartością do skrzyni na pościel, pod ogromną pierzynę.

— No, tutaj już będzie całkiem bezpiecznie! — ucieszyła się i usiadła wreszcie na tapczanie, spocona jak mysz, ale o wiele spokojniejsza.

Film się skończył, kolejno dość długo pluskały się w łazience, ale wreszcie zagrzały się w pościeli, dyskutując zawzięcie o wrażeniach ubiegłego dnia.

— Chyba będziemy już spały — ziewnęła serdecznie Dominika. — Ale coś ci jeszcze powiem. Słyszałam od jednego doświadczonego milicjanta, że kiedy bandyci okradają mieszkania spokojnych obywateli, to najpierw szukają pieniędzy i kosztowności... no, zgadnij, gdzie?

— Skąd mogę wiedzieć! Nie jestem ani milicjantem, ani bandytą!

— Więc ci zdradzę, oczywiście w największym zaufaniu: szukają najpierw pod pierzyną, w skrzyni na pościel... Aj!!

Co się potem działo, trudno opisać. Dominika z nakrytą głową dzielnie wytrzymywała kierowane w jej stronę uderzenia poduszek, papci i innych przedmiotów. Potem burza uspokoiła się i Olga dała się w końcu przekonać, że były to tylko niewinne żarty.

Kiedy obydwie nareszcie usnęły, na dworze dawno było jasno i rozlegał się świergot ptaków.

Rano Ada nie mogła dostać się do mieszkania Olgi. Dzwoniła bez przerwy kilkanaście minut i nie było słyhać najmniejszego odgłosu, świadczącego, że ktoś ma zamiar otworzyć drzwi.

— Co tam się z nimi wyprawia? — denerwowała się nie na żarty. — Czy ktoś je tam uspił?... Trzeba będzie forsować zamek.

Ale właśnie coś zaczęło i drzwi powoli się uchyliły. W progu stanęła zaspana Olga w długiej flanelowej koszuli.

— Pali się — mruknęła nieprzytomnie. — Co znaczy ten alarm w środku nocy?

— Zwariowałaś? Dziesiąta na zegarze, a wy śpicie i do tego macie jeszcze pretensję, że was się budzi. Chyba w nocy było dość czasu na odpoczynek!

— Do diabła z takim odpoczynkiem! — Dominika nie miała siły unieść głowy znad poduszki. — Ta wariatka biegała całą noc po mieszkaniu, szukając co chwila nowego miejsca dla tego przeklętego złota! Oka zmrużyć nie mogłam! Daj jeszcze chwileczkę kimnąć, błagam!

— Akurat! Musimy zaraz iść, bo potem trzeba pędzić po zakupy. Jutro niedziela, a lodówka ziejie pustką. Mam zagłodzić rodzinę?

Po dobrej godzinie trochę bezładnej bieganiny były gotowe do wyjścia. Skarb został zapakowany do dużej skórzanej torby, którą Ada wzięła pod swoją opiekę. Tuż za rogiem ulicy udało się złapać taksówkę, co znacznie ułatwiło szybki dojazd na

miejsce.

— Tylko czy kapitan będzie u siebie? — martwiła się Dominika. — Może poszedł na jakąś naradę... Co wtedy zrobimy?

— Nie martw się! Kapitan czeka na nas już od godziny — Ada skromnie spuściła oczy. — Nie wypadalo przecież zwałać mu się na głowę bez uprzedzenia.

Spojrzały po sobie i z trudem stłumiły nagły przypływ wesołości. No cóż, Ada była zawsze pełna niespodzianek.

— Jesteśmy na miejscu — odetchnęła Olga. — Teraz nikt już nam złota nie ukradnie. Idźcie sobie spokojnie, a ja poczekam na was w wiadomym miejscu.

— Chodź z nami, nie dziwacz! — Ada chwyciła energicznie przyjaciółkę za rękę. — Nikt nie urwie ci tam głowy. No, chodź!

— Daj mi .spokój! — Olga spojrzała błagalnie. — Ja naprawdę nie chcę iść z wami. Poczekam sobie na ławce i zapalę papierosa. No, maszerujcie!

Ada przycisnęła mocniej do siebie dość ciężką torbę i śmiało weszła do szarego gmachu. Dominika dzielnie szła za nią, mimo że najchętniej poszłaby w ślady Olgi.

— Jak będą trudności przy wejściu, zaraz uciekam — szepnęła do Ady, poprawiając nerwowo włosy.

Ale dyżurujący milicjant jakby tylko czekał na przyjście pań. Poprosił tylko o dowody osobiste, wypisał szybko przepustki i nie pytając o nic więcej nacisnął automat otwierający drzwi do wnętrza gmachu.

— Nie zdziwię się wcale, jeżeli na piętrze przywita nas dęta orkiestra regionalna i dzieci z kwiatami — komentowała pierwsze wrażenia Dominika. — Widzę, że ty dzisiaj rano naprawdę nie traciłaś czasu.

— Cicho, to już tutaj. — Ada zatrzymała się przed drzwiami opatrzonymi numerem dwadzieścia trzy. Zapukała energicznie i nie czekając na wezwanie weszła do pokoiku, gdzie za dużą maszyną do pisania królowała ładna brunetka. Dominika szła za nią krok w krok.

— Dzień dobry pani! My do naczelnika... — Ada miała na ustach nieśmiały uśmiech. — Czy można?

— Proszę, pan naczelnik jest wolny. — Uprzejma sekretarka patrzyła zdziwiona na ogromną torbę dźwiganą z widocznym wysiłkiem.

Ada zapukała energicznie i pewnym krokiem wkroczyła do środka. Zza biurka zerwał się wysoki i rzeczywiście bardzo przystojny mężczyzna.

— Witam serdecznie! — uściśnął mocno dłonie obydwu pań. — Proszę siadać. Zaraz będzie kawa. Czy panie pałą?

— Nie, panie kapitanie, dziękujemy! — Ada miała lekkie rumieńce i szatański błysk w oku. — Nie wiedzieliśmy, że w naszej milicji...

— Wiem! — roześmiał się kapitan. — Przeważnie się uważa, że u nas traktuje się interesantów jak przestępców... Ale wcale tak nie jest.

— Właśnie to widzę i przypuszczam, że raczej przestępców traktujecie jak codziennych interesantów, i to jest zupełnie logiczne... Ale trzeba przystąpić do rzeczy, bo pana czas jest cenny, nasz zresztą też! Sądzę, że przypomina pan sobie, że interesujemy się sprawą tych nagłych zgonów w domu państwa Kraftów. I chociaż swojego czasu uznał pan to za zwykłe ludzkie sprawy — podkreśliła z naciskiem — my byliśmy ciągle innego zdania, jako że kobiety bywają uparte... No i nadal medytujemy nad tą sprawą.

— Tak? — kapitan patrzył z wyraźną sympatią na zarumienioną Adę. — Czy może doszły panie do nowych, bardziej konkretnych wniosków?

— Właśnie! — Dominika, w obawie, aby Ada nie wygadała za dużo, szybko ubiegła przyjaciółkę. — Postanowiliśmy zwrócić się do pana z prośbą o udzielenie nam rady w dość kłopotliwej kwestii. Otóż jedyna pozostała przy życiu w tym domu osoba leży w szpitalu bardzo chora.

— Przepraszam, że pani przerywam, ale czy mogę zapytać, co było przyczyną tej choroby? — zainteresował się kapitan, patrząc z uwagą na Dominikę.

— To była też zwyczajna ludzka sprawa — Dominika miała przekorne iskierki w oczach. — Ale przyzna pan, że jednak trochę dziwna... Otóż zobaczyła ona w nocy czarnego kota. Łał rżęsisty deszcz, a on zaglądał przez okno i usiłował wejść przez otwarty lufcik do mieszkania. Przestraszyła się bardzo i w tych strugach deszczu uciekła do koleżanki, która na szczęście mieszka tuż obok. Oczywiście zaziębiła się poważnie i wywiązało się zapalenie płuc.

— Kiedy to się stało?

Parę dni temu. Teraz jest już lepiej, ale właśnie...

— Chwileczkę — przerwał kapitan. — Nie mogę pojąć, dlaczego widok kota tak bardzo tę panią przeraził... Przecież nie było w tym nic aż tak strasznego, żeby uciekać w deszczu i po nocy. Jak pani myśli?

— Ma pan rację — Dominika już wiedziała, że jej rozmówca nie da się zbyć częściowymi prawdami. — To my ostrzegaliśmy Klarę, żeby miała się na baczności, kiedy zobaczy tego kota. Bałyśmy się, że znów stanie się coś złego.

— Teraz rozumiem. Ale chyba tej nocy nic więcej się nie stało?... Podejrzewam, że jednak tak...

— Owszem... stało się — Dominika trochę się zająknęła.

— Słucham panią! Czuję, że to będzie naprawdę interesujące.

— Na drugi dzień. Poszliśmy z Klarą do jej domku, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Pozornie tak było, ale kiedy miałyśmy wychodzić już z mieszkania, jedna z koleżanek poszła na chwilę na werandę i...

— Proszę mówić dalej — kapitan był wyraźnie zaintrygowany. — Czy tam coś zobaczyła?

— Jeżeli nawet tak było, nic z tego nie zapamiętała. Znalazłyśmy ją leżącą na podłodze. Była nieprzytomna. Na głowie miała ślad silnego uderzenia... Wyrósł jej potężny guz.

— Czy też jest w szpitalu? — w głosie kapitana zabrzmiała nutka prawdziwego niepokoju. — To już nie są żarty!

— Od początku nie były! — podkreśliła z satysfakcją Ada. — Z Olgą jest już wszystko w porządku. Przyszła szybko do siebie, guz pięknie przyżółkł i już prawie zapomniiała o tej przygodzie.

— No, ale z tego wynika, że nie urządził jej tak kot — Dominika szybko włączyła się do rozmowy. — Rozmyślałyśmy wiele i doszłyśmy do wniosku, że kot to tylko trop...

— Czego trop? — kapitan bystro patrzył na przyjaciółki. — Widzę, że mam w osobach pań niebezpieczną konkurencję.

— Raczej skromne amatorki — zagruchała słodko Ada. — Jesteśmy pewne, że zaprowadzi on nas wkrótce do ciekawego rozwiązania.

— Mianowicie? Jak dotąd częstują mnie panie samymi niedomówieniami — kapitan był wyraźnie zaintrygowany. — Czy mógłbym prosić o wszystkie nowe szczegóły dotyczące tej sprawy? No, bo jeżeli mam pomóc...

— Przecież po to przyszłyśmy tutaj. Właściwie już wszystko pan wie, do momentu przygody Olgi — Dominika referowała pośpiesznie, nie chcąc dłużej nadużywać cierpliwości naczelnika. — Potem Klara rozchorowała się i pogotowie zabrało ją do szpitala. Postarałyśmy się, oczywiście, aby lekarz został dokładnie poinformowany o jej uprzednich przejściach, no i została jej zapewniona właściwa opieka. Nikt do niej nie wejdzie bez przepustki, podpisanej przez ordynatora. Ale Klara odzyskała już wczoraj przytomność i chciała widzieć się natychmiast z którąś z nas. Poszłam tam zaraz i okazało się, że ma do nas prośbę, która w efekcie przysporzyła nam trochę kłopotu. Otóż Klara poinformowała nas, że w pokoju szwagra jest skrytka, w której przechowywał on mnóstwo kosztowności przez cały okres małżeństwa. Podejrzewa, że ktoś wie o tym, chce zagarnąć złoto i dlatego prześladowuje wszystkich mieszkańców tego domu, łącznie z nią. Prosiła mnie bardzo, aby ten skarb wyjąć ze skrytki i położyć na widocznym miejscu, a wtedy...

Tu urwała, bo otworzyły się drzwi i wszedł młody człowiek w mundurze, niosąc ostrożnie dużą tacę, znad której unosił się zapach jedyny na świecie.

— Oto i kawa — kapitan zręcznie ustawiał filiżanki przed swoimi gośćmi. — Te ciasteczka wyglądają mizernie, ale dadzą się zjeść. Proszę więc się częstować. Ale czy możemy przy kawie rozmawiać dalej?

— Ależ tak... Zaraz, na czym to skończyłam...

— ... że pani Klara chciała, aby złoto szwagra położyć w widocznym miejscu — podpowiedział kapitan. — Chodziło chyba o to, aby za tę cenę kupić sobie spokój... Czy tak?

— Właśnie — westchnęła Dominika. — Ale jej poradziłam, aby to wszystko przenieść tutaj, do pana, bo będzie i bezpieczniej dla złota, i będzie mógł pan zarządzić tymi sprawami po swojemu... My się na tym zupełnie nie znamy.

— I znalazł się ten skarb? — kapitan patrzył odrobinę niedowierzająco. — Przecież dom był pusty przez kilka dni i jeśli ktoś chciał rzeczywiście to zabrać, to była wspaniała okazja.

— Właśnie! Ale mimo to... — Ada z prawdziwą satysfakcją położyła na biurku ciężką torbę. — Proszę zobaczyć, ile tego jest! Koleżanka, u której przechowywałyśmy to od wczoraj, całą noc nie spała.

— Wcale się jej nie dziwię — kapitan ze zdumieniem oglądał piękną biżuterię.

W woreczkach są również bardzo cenne monety i obrączki — Ada skwapliwie rozkładała na biurku cały złoty ładunek. — Ten szwagier musiał być strasznym sknerą, aby uciulać tyle kosztowności.

— Zwłaszcza że nigdzie nie pracował — pokiwał głową kapitan. — No, ale co ja mam z tym zrobić?

— Niech to tutaj zostanie, błagam! — Dominika złożyła ręce. — Co my pocniemy z taką górą złota, a u Klary teraz zostać nie może.

— Dobrze, zrobimy tak: sporządzi się dokładny spis wszystkiego i na razie zostanie to u nas w depozycie. Stawiam tylko jeden warunek — aż do odwołania nie wolno wchodzić do willi pani Klary. Bardzo o to proszę!

— Ale tam trzeba podlewać kwiatki — zaprotestowała Ada — i dopóki Klara nie wróci...

— O kwiatki proszę się nie martwić, będą podlane, ile trzeba. A do tego domu wstęp wzbroniony. Rozumiemy się?

— Oczywiście! A co mamy powiedzieć Klarze?

— Że zrobiły panie wszystko, żeby było dobrze. I jeszcze jedna prośba; porozmawiajcie panie z chorą przyjaciółką na temat jej układów rodzinnych. Interesuje mnie zwłaszcza ten nieżyjący szwagier. To naprawdę bardzo ważne! A tutaj mój numer telefonu i proszę dzwonić z nowinami po dwudziestej drugiej. To jest mój prywatny telefon i o tej porze przeważnie jestem w domu.

— A więc żegnamy pana. — Ada podniosła się z krzesła. — Czy to już wszystko, co pan chciałby wiedzieć?

— No, jeszcze nic nie wiem na temat tego tropu, ale domyślam się, o co chodzi. Ten czarny kot szedł za kimś, prawda?

— Skąd pan wie? — Ada osłupiała ze zdumienia. — To my tyle czasu błądziłyśmy w gąszczu różnych przypuszczeń, a pan...

— Na tym polega mój zawód, aby zawsze szukać szybkich rozwiązań. Zatem teraz mają panie zamiar poszukiwać właściciela tego czarnego kota. Bardzo mądrze!

— Myśli pan? — ucieszyła się Dominika. — Nie wiemy tylko, czy to nam się uda.

— Od początku idą panie właściwą drogą. Przyznam szczerze, że my też przyglądaliśmy się tej sprawie, bo rzeczywiście było tam dużo podejrzanych szczegółów, ale nie udało się nam dotąd dojść do jakichś konkretnych wniosków. Panie niezmiernie nam pomogły. Jestem pełen prawdziwego podziwu i uznania! Życzę powodzenia i od dwudziestej drugiej jestem do dyspozycji szanownych koleżanki.

Wyszły niezmiernie z siebie zadowolone.

— Złoto mamy z głowy i możemy dalej kontynuować nasze poszukiwania! — zachwycała się Ada. — Mój mąż nabierze teraz dla mnie większego szacunku. Niech nie myśli, że znam się tylko na garach i starociach!

Olga na ławce kręciła się nieprzytomnie.

— Jak wy gdzieś pójdziecie, to ślady po was giną! Jak długo w końcu można czekać?!

— Nie marudź, bo już jesteśmy. Namawiałam cię przecież, żebyś szła z nami, ale sama nie chciałaś. Chodź, przejdziemy się trochę.

Poszły spacerkiem w stronę stawu z łabędziami i jedna przez drugą opowiadały Oldze wrażenia z wizyty u kapitana.

— Ale teraz ani słówka nikomu na temat złota... Teni też! Jedno jedyne słówko, nieopatrznie rzucone, może mieć fatalne skutki dla całej sprawy. Telefon kapitana też musi pozostać wyłącznie do naszej wiadomości... pamiętajcie! — ostrzegęła poważnie Dominika.

— Ja tam nie mam zamiaru nigdzie dzwonić, zwłaszcza o tak późnej porze — wzruszyła wymownie ramionami Olga. — Wy obydwie dacie mu wystarczający wycisk.

Nagle z daleka rozległ się głuchy odgłos grzmotów. Zanosiło się na burzę

— Okna otwarte w mieszkaniu — chwyciła się za głowę Dominika. — Pędzę do tramwaju! Wpadnijcie do mnie jutro. Do widzenia!

— Dobrze! Dzisiaj po południu idę do szpitala odwiedzić Klarę, a teraz sunę do chaty, bo nie wzięłam parasolki. Chodź! — Ada ciągnęła Olgę za rękę. Wiatr niósł suchy piasek i uderzał nim w oczy. Na przystanku tramwajowym czekał tłum.

Kiedy Dominika dobiegła do drzwi mieszkania, nad Toruniem już rozszalała się burza. Na dworze zrobiło się prawie całkiem ciemno, a oślepiające błyskawice kreśliły złote linie na poszarzałym niebie.

Colombo siedział na parapecie otwartego okna i głośnym miauczeniem witał powracającą panią. On też wolał nie być sam, kiedy groźne grzmoty przewalały się nad miastem i budziły grozę nawet w jego małym kocim serduszku.

Do wieczora deszcz lał bez przerwy i Dominika postanowiła wykorzystać czas na małą przepierkę, która powoli zamieniła się w gigant pranie. Dochodziła już północ, kiedy nareszcie wyszła z łazienki. Była bardzo zmęczona i szybko szykowała się do snu. Pozamykała szczelnie okna, pozostawiając otwarty tylko jeden mały lufcik i to ze względu na Colomba. On musiał mieć możliwość uprawiania ciągłej wędrówki z mieszkania na dwór i odwrotnie.

Położyła się, czując w kościach dzisiejsze pranie. Prawie już usypiała, kiedy ostry sygnał telefonu postawił ją na nogi. Colombo, który siedział na parapecie okna i obserwował aleję topolową, dał nura na trawnik. On też nie lubił niespodziewanych hałasów w środku nocy.

— To ja — Dominika usłyszała w słuchawce głos Ady. — Na pewno cię obudziłam... Przepraszam!

— Nie szkodzi... Prałam do północy i właśnie usypiałam. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Położyłam się już dawno, ale miałam hecę z Jackiem i to wybiło mnie całkiem ze snu.

— Jaką hecę? — Dominika dzielnie walczyła z sennością. — Miał jakieś trudności w szkole?

— Skąd! Wyobraź sobie, że dzisiaj wieczorem ktoś napadł na niego.

— O Boże! — Dominika natychmiast odzyskała całkowitą przytomność. — I co mu się stało?

— Jemu nic, ale nie wiem, co się stało napastnikowi.

Wiesz, że Jacek już od małego trenował z Tomaszem dzudo, a teraz uczy się boksu... Chłopak dołożył mu, ile wlezie.

— Jak to było? Gdzie go napadł?

— Na naszym podwórku. Wieczorem kazałam Jackowi wynieść kubek ze śmieciami. Zwlekał z tym jak zwykle do ostatniej chwili, bo padał deszcz i nie chciał mu się wychodzić. Dopiero, kiedy wyszłam do łazienki i zobaczyłam, że kubek nadal stoi pełny, popędziłam mu kota. Skutek był natychmiastowy: chwycił z wieszaka mój płaszcz nieprzemakalny i wybiegł w podskokach. Dość długo nie wracał i zaczęłam już się niepokoić, ale usłyszałam wreszcie, że wchodzi do przedpokoju i zamyka drzwi na klucz. Wstałam jeszcze z łóżka, aby mu przypomnieć, żeby nie zapomniał wyłączyć gazu w łazience, ale kiedy go zobaczyłam — osłupiałam! Był spocony, na twarzy miał rozmazaną krew i dyszał ciężko... Mój płaszcz nieprzemakalny, wiesz, ten zielony, był cały w strzępach... Zabrakło mi dosłownie tchu.

— No i co? — Dominika poczuła mdłą słabość, ale zaraz wzięła się w garść. — Czy jest bardzo pobity?

— Przecież ci już mówiłam, że nie! Ale teraz posłuchaj, jak to było... Uśmiejesz się do łez: a więc kiedy Jacek pochylił się z wiadrem nad pojemnikiem, coś wskoczyło mu na plecy. W pierwszej chwili był trochę zaskoczony, ale natychmiast rzucił wiadro i próbował uwolnić się z rąk napastnika. Musiał bardzo się śpieszyć, bo tamten zaczął go dusić. Jacek zna jednak różne chwyt, uwolnił się dość łatwo i wtedy zaczął się rewanz! Zapędził łobuza między pojemniki i sprzął go, aż miło! Tamten próbował się bronić i był podobno bardzo silny i zwinny, ale gdzie mu tam do mojego Jacka! Najwięcej ucierpiał mój płaszcz. Chodziłam w nim wprawdzie już parę lat, ale bardzo go lubiłam. Szkoda!

— I jak to się skończyło? — zapytała cicho Dominika.

— Normalnie. Kiedy ten chuligan przekonał się, że trafił na mocniejszego, próbował uciekać. Jacek przytrzymał go jednak tak długo, aż tamten dostał należną mu ilość cięgow i wtedy pozwolił mu uciec.

— Czy Jacek czuje się dobrze?

— Ależ tak! Śpi już dawno jak suseł... Mnie wybiło to jednak ze snu i dlatego zadzwoniłam. Przepraszam cię jeszcze raz, że zawracam ci głowę takimi głupstwami i do tego w środku nocy.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, że mi o tym opowiedziałaś. Ale posłuchaj... Pomyśl dobrze i powiedz mi: czy w twoim płaszczu Jacek mógł być trochę do ciebie podobny?

— No wiesz... Ty masz pomysły!

— Ale powiedz: czy można było pomylić się w nocy i wziąć Jacka za ciebie? Pytam poważnie!

— No... chyba tak. On ma też jasną czuprynę i w tym moim obszernym płaszczu jesteśmy na pewno podobni... Ale co ty kombinujesz? Myślisz, że ten chuligan chciał napaść na mnie?... Nonsens! Po co?! Do Jacka mógł mieć jakieś, sobie tylko wiadome, pretensje... Chociaż on twierdził, że nigdy tamtego nie widział.

— A widział go wyraźnie?

— Właśnie że nie. Miał chyba nasunięty na twarz bardzo wysoki czarny golf. Jacek mówił, że czuł się w bójkę jakoś dziwnie... Tak jakby walczył z cieniem. Głupie, ale Jacek tak to odczuwał. Kazałam mu bardzo uważać i wieczorami wracać wcześniej do domu. Z kubkami będę teraz chodzić sama. Trudno.

— Nie!! — krzyknęła Dominika. — To właśnie ty musisz uważać! Niech twój mąż wynosi sam śmiecie... Kobiecie to nawet nie uchodzi.

— Widzę, że znów rozdmuchałam do białości twoją bujną wyobraźnię... Daj sobie z tym spokój! Jeśli chcesz, zapytaj naszego przystojnego kapitana, ile bójk odnotowuje codziennie w każdej dzielnicy miasta. Możesz spać spokojnie! Od jutra biorę się solidnie za przeczesywanie naszych czarnych kotów. Tylko iskry z nich się posypią! Zobaczysz! No, to dobrej nocy!

Dominika chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Ada odłożyła już słuchawkę. Westchnęła, pomyślała chwilę, a potem obesła mieszkanie i otworzyła szeroko wszystkie okna.

— Bez względu na to, kim jest ten tajemniczy Iks, to sędzę, że po tych ciągach, jakie Jacek mu sprawił, nie będzie już miał siły ani ochoty do dalszych rozrób — pomyślała z ulgą. — Nareszcie złapię trochę świeżego powietrza.

Deszcz na dworze padał nadal. Colombo wrócił do domu i zostawiając za sobą mokre ślady pomaszerował do kuchni, gdzie spodziewał się dostać jeszcze coś do jedzenia. Dominika zrobiła sobie gorącej herbaty i stojąc w oknie porządkowała rozwichrzone myśli. To już przestała być zabawa w „czarnego kota”... Sytuacja stała się poważna i komplikuje się nadal z godziny na godzinę... Tak... Nie było wątpliwości, że niechcący zabrnęły w jakąś niesamowitą sprawę i nawet gdyby chcieli, nie mogą się już wycofać... Milicja wie o wszystkim i liczy na ich współpracę... ale czy naprawdę o wszystkim? Przecież o napadach na przyjaciółki nie powiedziała nikomu ani słówka. Milicji też. Trzeba będzie zadzwonić do kapitana... Ale co mu powie?... Że ktoś napada podstępnie na wszystkie osoby, które zaczęły interesować się domem Kraftów?... Może to jest ostrzeżenie, żeby przestać?... Głupstwa! Ktoś jednak próbuje wrzucać przez okna płonące sznurki i rzuca się po nocach na bezbronne kobiety... Wszyscy widzą przy tym jakieś uciekające cienie, ale niczego nie da się konkretnie określić. Z kim bił się Jacek? Podobno coś wskoczyło mu na plecy... Ale co? Człowiek?... A może kot?... Miał wrażenie, że bił się z cieniem... Co to znaczy?... Do licha, dość tego!! Jeszcze trochę i zwariuję... Trzeba iść spać!

Położyła się, popiła wodą relanium i wkrótce usnęła. Colombo usiadł w otwartym oknie i rozpoczął swój nocny dyżur. W dzień będzie miał dość czasu do spania.

Rozdział XII

Tydzień zapowiadał się okropnie. Nie dość, że nadal lało nieprzytomnie i pogoda przypominała raczej listopad niż pełnię lata, do tego jeszcze to dziwne zachowanie przyjaciółek... Od trzech dni minął już wyznaczony wspólnie termin ukończenia drugiego etapu akcji pod zaklepanym kryptonimem „koci trop”, a tymczasem Dominika odebrała od nich po kolei kilka telefonów, w których informowały, że „rozpracowują właśnie coś ciekawego i trzeba jeszcze trochę poczekać”. — Umówiły się gdzieś beze mnie na kawę, czy jak?! — złościła się, nie mogąc zrozumieć tej podejrzanej tajemniczości. — Urlop na półmetku, a tu jeszcze wszystko w lesie! Co one mają do rozpracowywania? Zdobycie adresów właścicieli tych przeklętych kotów, to było coś! Wszystkie sklepy ze słodyczami w okolicy przekroczyły plan, tyle cukierków szło dziennie dla młodych informatorów. No, ale za to adresów otrzymały mnóstwo.

— Czyżby w naszej dzielnicy było więcej czarnych kotów niż mieszkańców? — dziwiła się Olga — Jednak czuję, że ta najmłodsza generacja porządnie nas nabrała. Ja od początku tak mówiłam, ale...

No i rozbiegły się wszystkie z adresami w zanadrzu i od tego czasu jakby zapadły się pod ziemię! Do Klary, owszem, wpadały, ale jakoś ich nigdzie nie można było spotkać... Tylko te głupie telefony! — Kapitan pomyśli, że jesteśmy naiwne gęsi, którym nie można powierzyć żadnych konkretnych zadań — martwiła się Dominika. Niepokoila się tym bardziej, że ona sama w swych poszukiwaniach nie doszła do żadnych pozytywnych rezultatów. Właściciele czarnych kotów okazali przeważnie bardzo mało zainteresowania swoim podopiecznym, nie wpuszczając ich nigdy do mieszkania i traktując na co dzień więcej niż kiepsko. — Czy takie przepędzane i wystraszone zwierzątko ma ochotę iść gdzieś w nocy za swoim panem? — powątpiewała. — Czy mój Colombo łaziłby tak za mną, gdybym trzymała w piwnicy i żałowała odrobiny mleka? Wątpię, czy ta droga poszukiwań jest słuszna... Trzeba będzie szukać innych rozwiązań.

Tak chętnie pogadałaby sobie na ten temat w gronie przyjaciółek, ale one, jak na złość, nie pokazywały się wcale. Postanowiła zatem nie tracić czasu, lecz przystąpić do

rozmowy z Klarą na temat, który tak bardzo interesował kapitana.

Do szpitala dotarła w odpowiednim momencie, bo w telewizji nadawano właśnie jakiś film odcinkowy, który bardzo interesował współlokatorkę Klary, mogły więc spokojnie porozmawiać.

Po dwudziestej drugiej Dominika usiadła koło telefonu i wykręciła numer, zerkając na trzymaną w rękę karteczkę.

— Tak... Otmański przy telefonie... Ach, to pani, pani Dominiko! Cieszę się bardzo, dobry wieczór!

— Dobry to on nie jest... — westchnęła Dominika. — Aż mi wstyd, że mam dla pana takie skąpe wieści.

— Czasem takie są najbardziej treściwe. Słucham pilnie!

— A więc, co do poszukiwań właściciela czarnego kota, nie ma jeszcze nic konkretnego. Moje przyjaciółki nie stały się w umówionym terminie... Jestem, mówiąc delikatnie, wściekła!

— Może zaistniała taka sytuacja, że specjalnie nie chcą przyśpieszać. Czasem naprawdę warto poczekać.

— Nic innego nie robię. Ale żeby nie tracić czasu, poszłam dzisiaj do Klary porozmawiać z nią na temat, który pana interesował.

— To ładnie z pani strony. Jestem bardzo ciekawy!

— Obawiam się, że pana rozczaruję... Otóż ten pan Kraft pochodzi podobno z Gdańska. Siostra Klary poznała go w jakimś punkcie Toto-lotka. Pożyczył wtedy od niej długopis i tak zaczęła się ich znajomość, a potem wielka miłość... Było to w latach sześćdziesiątych. Klara mieszkała wtedy z mężem i siostrą na Bydgoskim Przedmieściu. W tym czasie rozpoczęli tutaj budowę własnej willi. Pan Kraft natychmiast zaoferował swoją pomoc, co nie sprawiało mu trudności, gdyż wtedy nigdzie nie pracował. Wkrótce potem mąż Klary zginął w wypadku samochodowym i pan Kraft został opiekunem obydwu pań. Wtedy był już oficjalnym narzeczonym siostry Klary. A potem wszystko potoczyło się wiadomym torem: siostra poślubiła Krafta, który ze względu na chore serce nadal nigdzie nie pracował. Willa była ukończona i zamieszkali w niej we troje, gdyż siostry nie chciały się rozstawać, a poza tym stanowiła ona ich wspólną własność. Ta sielanka trwała aż do niedawnych wypadków, zwanych przez nas „kocią” sprawą.

— Czy pan Kraft próbował podjąć gdzieś pracę?

— Dziwne, ale nie. Podobno stan jego zdrowia na to nie pozwalał. Do zarobków żony i szwagierki dokładał się, od czasu do czasu, w postaci tych złotych załączników.

— Ale za co postawili taką ładną willę? — dziwił się kapitan. — Wiemy przecież, ile to kosztuje!

— Na kupno placu, budowę domu i jego całkowite wyposażenie dał pieniądze jakiś krewny z Kanady. Było tego tyle, że wystarczyło na wszystko.

— Nawet na to, aby szwagier pani Klary mógł oddawać się spokojnie całkowitemu nieróbstwu — dokończył kapitan. — W tym czasie, kiedy inni, łącznie z jego żoną i szwagierką, pracowali ciężko — on sadził kwiatki i żył na koszt kobiet... A jak wyrażała się o nim pani Klara?

— Nie ukrywała wcale przede mną, że go szczerze nie lubiła. Był podobno bardzo przystojny i miły, ale miał też w sobie coś przykrego, co budziło w niej niechęć... Nie umiała tego uzasadnić, ale tak było.

— Dlaczego? — dziwił się kapitan. — Czy były jakieś określone przyczyny?

— Ja też pytałam ją o to. Podobno było w nim coś dziwnego...! Twierdził, że jest ciężko chory, ale nigdy nie był u lekarza... Nie życzył też sobie w domu żadnych gości. Mówił, że go to męczy i musi mieć zupełny spokój.

— Ale jak to się działo, że te dwie, z pewnością inteligentne kobiety pozwoliły aż tak się terroryzować? Czy nie przyszło im nigdy do głowy, żeby zbuntować się czy sprzeciwić?

— Nie... Widzi pan... żona go kochała.

— No tak... To tłumaczy wszystko. On kochał siebie, żona kochała męża, pani Klara siostrę i tak w imię miłości mężczyli się wszyscy. Okropne!

— Chwileczkę... Klara mi jeszcze coś mówiła... to było o tych oczach... Ale to chyba nie ma żadnego znaczenia.

— Nie rozumiem! — głos kapitana był pełen napięcia. — Proszę, niech pani przypomni sobie najdrobniejsze szczegóły. To może być bardzo ważne!

— Postaram się... A więc mówiła, że miał jakieś dziwne oczy... takie całkiem nieruchome, bez cienia cieplejszego błysku. Nawet kiedy się śmiał, to oczy pozostawały zimne, powiedziała, że... okrutne. Tak dosłownie powiedziała. To zawsze działało na nią wprost paralizująco i unikała go, o ile było to możliwe we wspólnym mieszkaniu.

— A jak traktował na co dzień obydwie siostry? Z tego, co słyszę od pani, to na pewno nie był łatwy.

— Oczywiście. Klara mówiła, że traktował je niby grzecznie i miłutko, ale jednocześnie z jakąś głupią wyższością, jak gdyby to one były od niego zależne, a nie odwrotnie. Siostra Klary tłumaczyła go, twierdząc, że to choroba nadszarpnęła jego system nerwowy i dlatego jest taki... dziwny. Ach, jeszcze jedno... On twierdził, że pisze jakąś ważną pracę naukową. Zamykał się całymi godzinami w swoim gabinecie i nie wolno mu było przeszkadzać. Zresztą ten gabinet był i tak zawsze zamknięty, nawet gdy wychodził na chwilę do innego pokoju.

— A jak tłumaczył posiadanie złota?

— Przede wszystkim nikt nie wiedział, że jest tego tak dużo. Powiedział, że jego rodzice mieli przed wojną trochę kosztowności, które, gdy zbliżała się wrześnieowa rucha, zakopali w ogrodzie. Rodzice zginęli, dom został spalony, ale złoto pozostało i on wykopał je po zakończeniu wojny... To tyle.

— No tak... Wszystko pięknie się zgadza! — w głosie kapitana była wyraźna satysfakcja. — Jestem pani niezmiernie wdzięczny, bo te wiadomości są dla nas wprost bezcenne. Teraz już prawie wszystko jest jasne.

— Co takiego? — Dominika o mało nie wypuściła słuchawki z ręki. — Co tu jest jasne?... Dla mnie wszystko jest ciemne jak noc.

— Nic nie szkodzi. Kiedyś sobie jeszcze o tym porozmawiamy. Proszę dalej prowadzić z koleżankami swoje poszukiwania, jednak trzeba zachować maksymalną ostrożność. Mimo wielu niejasności są panie na dobrym tropie i czuję, że niedługo dobrniemy do chwalebego zakończenia tej „kociej” sprawy.

— Jest pan niepoprawnym optymistą, panie kapitanie! Ja tymczasem mam coraz większe wątpliwości, a co gorsze — stracha! Wstyd mi przyznać się do tego, ale tak jest... niestety — w głosie Dominiki brzmiało autentyczne przejęcie.

— Pani żartuje!... Dlaczego?! — kapitan był szczerze zaniepokojony. — Rozumiem: niecierpliwość, ciekawość, zmęczenie — ale strach? To nie jest w pani guście.

— Owszem... — Dominika zaczynała już wątpić w celowość dzielenia się z kapitanem swoimi podejrzeniami. — Może porozmawiamy o tym przy innej okazji.

— Takich rozmów nie należy odkładać — kapitan był niespodziewanie stanowczy. — Stało się jeszcze coś, o czym nie wiem... Prawda?

— Właściwie tak... — wykrztusiła Dominika.

— Wobec tego musimy natychmiast porozmawiać! Proszę mi zaufać i nie protestować! Zaraz będę u pani. Przrzekam, że dużo czasu nie zabiorę!

Kapitan był wyraźnie zażenowany swoją spóźnioną wizytą i to właśnie dodało Dominice odwagi. Usadowiła gościa przy stole, a sama poszła zaparzyć herbatę.

— A gdzie podziewa się pani wychowanek, Colombo? — zapytał kapitan, kiedy herbata znalazła się już na stole. — Czyżby i jego zatrudniła pani w śledztwie?

— Pan zna mojego kota? — Dominikę zatkało ze zdumienia, — Czy może jestem śledzona? Dlaczego?

— Skąd! Ale pani kot jest tak znany w tej dzielnicy, że nie potrafiłem oprzeć się

pokusie, żeby go sobie przy okazji nie obejrzeć. Siedział wtedy na parapecie okna i wyglądał jak autentyczny ryś. Takiego kota jeszcze nie widziałem.

— A jaki jest mądry — uzupełniła Dominika. — Przecież to właśnie dzięki niemu zrozumiałam rolę czarnego kota w naszej sprawie.

— No cóż... Przyznamy mu jakąś specjalną nagrodę po zakończeniu śledztwa. A co on lubi?

— Wędzone makrele. Tylko muszą być całkiem świeże.

— Zapamiętam. Ale teraz do rzeczy: co wydarzyło się nowego?... Proszę nie mieć przede mną żadnych tajemnic, bo to tylko może zaszkodzić śledztwu. Co się stało?

— Trochę się boję, że są to zbyt błahe sprawy, aby zaprzętać panu nimi głowę... Ale już dawno chciałam... — jękała się Dominika.

— W śledztwie nie ma błahych spraw. Słucham panią uważnie.

— Już od dłuższego czasu — zaczęła speszona pani domu — ktoś uporczywie prześladowuje wszystkie moje przyjaciółki, łącznie ze mną... Może mi się tylko tak wydaje, ale...

Urwała i spojrzała niepewnie na kapitana. Była przekonana, że ten uśmiecha się z powątpiewaniem, ale ku jej zdumieniu kapitan słuchał z wielkim napięciem. Ciągnęła więc dalej:

— To wszystko zaczęło się ode mnie. Którejś nocy — parę tygodni wstecz — ktoś usiłował dostać się przez okno do mojego mieszkania. Nie było to trudne, bo, jak pan widzi, mieszkam na parterze i do tego okna były szeroko otwarte. Oczywiście spałam jak kamień i niczego nie słyszałam, ale czuwał mój Colombo i to on przepędził intruza. Sąsiadka z pierwszego piętra przypadkowo obserwowała tę scenę. Podobno mój pocziwy i tłusty kot zamienił się w dziką bestię. Nazajutrz znalazłam na ścieżce pod oknem ślady krwi... To był skutek ataku mojego kociego obrońcy. Ale to jeszcze nie wszystko.

— Słucham! — w ręku kapitana znalazł się mały czarny notesik. — To wszystko jest bardzo interesujące... Proszę nie lekceważyć najdrobniejszych szczegółów. A więc gdy ten osobnik uciekł...

— Colombo wrócił do mieszkania. Na drugi dzień sąsiadka opowiedziała mi swoje spostrzeżenia, a ja znalazłam na trawniku pod oknem kłębek konopnego sznurka, nasyczonego naftą...

— Czy może mi go pani pokazać? — kapitan zerwał się z miejsca. — Znając trochę panią domyślałam się, że jest troskliwie schowany.

— Tak. Wrzuciłam go do pieca... Proszę, jest tutaj.

Kapitan długo oglądał brudny kłębek, pachnący jeszcze

naftą, a potem, przy pomocy Dominiki, zapakował go starannie.

— Dlaczego pani zaraz mnie nie powiadomiła? — w głosie kapitana brzmiała wyraźna nagana. — Przecież pani grozi autentyczne niebezpieczeństwo. Ten „ktoś” miał zamiar to zapalić i wrzucić do pokoju. Czy zdaje sobie pani sprawę, czym to groziło?

— Oczywiście — przyznała Dominika. — Ale nie byłam jeszcze całkiem pewna, czy to jest naprawdę coś poważnego... Dopiero gdy podobne wypadki zaczęły spotykać również moje przyjaciółki, wtedy...

W ręku kapitana pojawił się znów czarny notesik, a mars na czole pogłębił się wyraźnie.

— Proszę więc opowiadać po kolei i bardzo dokładnie.

Wprost pojąć nie mogą, jak można z takimi wiadomościami tak długo zwlekać... Słucham!

Dominika, szczerze skruszona, zaczęła najpierw opowiadać o przygodzie Olgi na werandzie domu Kraftów:

— Miała taaakiego guza na głowie — pokazywała z przejęciem, rozkładając szeroko ręce. — Byłyśmy całkiem pewne, że już nie żyje... Dopiero te perfumy postawiły ją na nogi.

— Jakie perfumy? — zainteresował się kapitan, notując coś pilnie w swoim notesiku. — Może to był raczej amoniak... Słyszałem, że jest bardzo przydatny w wypadku omdleń.

— Nie amoniak, lecz „Antylopa” — Dominika całkiem już się rozkręciła — Olga nie używa perfum i może dlatego reakcja była natychmiastowa... No, ale wszystko dobrze się skończyło, jednak nie na długo, bo wkrótce...

I tutaj zaczęła się długa opowieść o nocnej przygodzie Teni. Kapitan, coraz bardziej zasepiony, zapisywał wszystko w swoim notesiku.

— A więc ten „ktoś” powtórzył napad i tym razem o mało nie odniósł sukcesu — powiedział, kiedy Dominika wyczerpała temat. — To wielkie szczęście, że paniom do-
tąd nic się nie stało... Jestem naprawdę wstrząśnięty!

— Ale to jeszcze nie wszystko — powiedziała cicho Dominika. Dopiero teraz zaczęła zdawać sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa, z którym tak niebacznie igrała. — Parę dni temu ktoś napadł na Adę.

— No, ale to chyba też dobrze się skończyło — kapitan tym razem uśmiechnął się niespodziewanie. — Pani Ada jest taka bojowa...

— Może tak.. — Dominika jakoś nie była już skora do żartów. — Tutaj pomógł jej raczej przypadek. Ten „ktoś” — ja go nazwałam Iksem — a więc ten Iks na szczęście się pomylił i zamiast Ady zaatakował jej syna. To jeszcze bardzo młody człowiek, ale jest wysoki i ma taką samą blond czuprynę jak Ada. Padał deszcz, włożył więc jej płaszcz nieprzemakalny. Wieczorem podwórko było słabo oświetlone, można było zatem łatwo się pomylić... Iks wskoczył mu na plecy. Był bardzo zwinny i szybki.

— Bardzo go pobił? — zapytał z niepokojem kapitan. — Już sobie wyobrażam, jak to się skończyło!

— Na pewno zupełnie inaczej — powiedziała z satysfakcją Dominika i opisała barwnie zdumionemu kapitanowi niespodziewane zakończenie przygody Jacka.

— Dobrze, jeśli ojciec uczy syna dzudo i ten potrafi wykorzystać właściwie tę umiejętność — ucieszył się kapitan. — A więc mamy nareszcie na planie konkretnego Iksa. Nie ma on jakoś szczęścia u pań... Myśli pani, że jest to właściciel czarnego kota? — kapitan był bardzo poruszony. — Ta sprawa jest wyjątkowo trudna.

— Sama nie wiem, co mam o tym myśleć — przyznała szczerze Dominika. — Podczas tych napadów nikt kota nie widział... On chyba łązi tylko do willi Kraftów... Ale same napady również są dziwne: sąsiadka, mąż Teni i Jacek widzieli jakąś sylwetkę, ale była ona niewyraźna i zawsze przypominała bardziej kota niż człowieka... Ja wiem, że trudno panu w to uwierzyć, ale tak było naprawdę.

— Pani myśli, że to kot napadł na Jacka?... Nonsens! — kapitan spojrzał z wyrzutem na Dominikę. — Przecież w rzeczywistości sama pani w to nie wierzy. Trzeba realnie patrzeć na życie!

— Ale na świecie dzieje się mnóstwo bardzo dziwnych spraw, wobec których nauka jest bezsilna — upierała się Dominika. — Olga przyniosła niedawno cały stos książek, w których poważni naukowcy opisują magiczną siłę różnych zwierząt, w tym przede wszystkim kotów... Przecież koty były kiedyś uważane za zwierzęta święte i oddawano im cześć w świątyniach, a...

Tu zabrakło jej tchu i argumentów.

— Od początku świata ludzie zawsze w coś wierzyli i wynosili to na ołtarze — uśmiechnął się kapitan. — Ale przecież pani sama doszła do wniosku, że czarny kot idzie czymś tropem... Czy zmieniła pani zdanie?

— Nie... Ale to wszystko jest takie niesamowite i pogmatwane, że...

— To naturalne — pokiwał głową kapitan. — Jeżeli czegoś nie rozumiemy, wtedy zawsze sięgamy do czarów i magii... Tam wszystko jest możliwe. Nie, pani Dominiko!... To nie żaden kot atakował panią i jej przyjaciółki.

— Myśli pan...

— Myślę i jestem tego pewny! No, ale jeśli paniom bardziej odpowiada „kocia” wersja — niech i tak będzie. Prawda jest tylko jedna, i prędzej czy później wszystko

stania się jasne i proste... No, nie będę pani zabierać więcej czasu. Dziękuję za doskonałą herbatę i ciekawą rozmowę. Jak się zdarzy coś nowego, proszę dzwonić. Dobranoc!

Dominika odprowadziła kapitana do drzwi wyjściowych i kiedy wróciła do pokoju, Colombo siedział na tapczanie i patrzył łobuzersko na swoją panią.

— Wróciłeś? — Dominika wzięła go na rękę. — Widzisz, i ty bierzesz udział w śledztwie...

W tej chwili telefon rozdzwonił się na cały dom. Podniosła szybko słuchawkę i usłyszała zadyszany głos Olgi:

— To ty?... Słuchaj... Mam go na oku... Próbuje się wyrwać, ale już mi się nie wywinie!... Właśnie dokręcam mu śrubę!

— Komu? — Dominika poczuła zimny pot na czole. — Gdzie jesteś, u diabła, i co tam wyprawiasz?! Przyjdź zaraz do mnie!

— Nie mogę... Muszę go przygwoździć na amen!... Jak skończę, to zaraz wpadnę... Cześć!

— Czuję, że pójde do ciupy za głupoty moich przyjaciółek... Nawet sam kapitan mi nie pomoże! — rozpaczła Dominika, ładując się pod kołdrę. Kiedy już prawie zasypiała, znów ktoś zadzwonił.

— Można zgłupieć! — brnęła nieprzytomnie do przedpokoju. — Słucham!

— To ja... Tenia... Już wszystko wiem... Wszystko!

— No więc gadaj! — Dominika oprzytomniała zupełnie. — Mów wreszcie!

— O czym tu mówić... Dotąd łudziłam się jeszcze, że to nieszczęście jakoś się odwróci, ale teraz już wiem, że to koniec... Koooniec... — tu żalorny szloch stłumił dalsze słowa.

— Druga wariatka! — Dominika o mało nie wyskoczyła ze skóry. — Czy powiesz wreszcie po ludzku, o co chodzi?

— Teraz nie jestem zdolna mówić o niczym... Przyjdę jutro, wówczas dowiesz się wszystkiego... Moje życie jest skończone... skończone bez nadziei... Uuuu...

— Tenia, zaczekaj! — Dominika potrząsała słuchawką, ale rozmowa została przerwana.

— Teraz już wiem ponad wszelką wątpliwość, że do prawdy prowadzi zawsze ciernista droga — stwierdziła filozoficznie i pomaszrowała do łóżka. — Brakuje mi tylko Ady do kompletu.

Ale tej nocy już nikt więcej nie dzwonił. Dominika długo nie mogła zasnąć, usiłując wyobrazić sobie, jakich to sensacji powinna w najbliższym czasie się spodziewać. Usnęła nad ranem i nie słyszała wcale, że na trawniku pod oknem Colombo walczył zawzięcie z Maćkiem. Wszystkich sąsiadów postawiło to na nogi, a ona spała jak kamień.

Rozdział XIII

Od rana lało. Noc była jeszcze wygwieżdżona i bardzo ciepła, ale nad ranem zaczął padać deszcz. Kiedy Dominika zwlokła się wreszcie z łóżka, było całkiem szaro i szum za oknem przypominał raczej późną jesień.

— Ładny urlop! — jęknęła patrząc przez okno na zamazany świat. — Nawet po chleb i mleko nie chce się wyjść w taką pogodę!

Otworzyła lodówkę, z której powiało chłodem i pustką...

Dwie wędzone makrele stanowiły cały zapas żywności. — No cóż, Colombo ma coś na ząb, a ja mogę obejść się bez śniadania. Mam zresztą trochę chleba, uskubnę odrobinę kociej ryby i jakoś to będzie! — pocieszała się. Naszykowała dla Colomba śniadanie, dzieląc sprawiedliwie rybę na dwie części. Kot siedział na lodówce i patrzył z wyrzutem, jak jego pani zabiera się do nie swojego żarcia.

- Nie gap się tak!... To brzydko być zachłannym! — upominała go Dominika. — Ale nie martw się... Pójdę po zakupy, jak tylko przestanie padać. Smacznego!
- Colombo zeskoczył na podłogę i zabrał się do jedzenia. Zerkał bokiem na swoją panią, pochłaniającą skromne kanapki i popijającą cieką lurę, zwaną herbatą. Śniadanie było już skończone, kiedy dzwonek u drzwi wejściowych zapowiadał pierwszego gościa.
- Nareszcie! — Dominika biegła do drzwi. — Ktoś sobie
- Przekreśliła szybko klucz i w progu stała Tenia. Twarz miała zapuchniętą od płaczu, włosy opadały jej żałośnie na oczy. Istny obraz nędzy i rozpacz!
- Wejdz! — Dominika wzięła z jej ręki ociekający parasol. — Czemu nie zaczekałaś, aż przestanie padać?
- Wszystko mi jedno. — Tenia natychmiast zaczęła płakać. — Nawet nie zauważyłam, że pada...
- Zrobię ci herbaty, ale nie mam nic do jedzenia. Zaraz pójde do sklepu.
- Nie trzeba... — Tenia, pociągając żałośnie nosem, wyciągnęła z torby ogromną szarlotkę. — Piekłam to w nocy, żeby nie zwariować!
- Piekłaś w nocy? — zdumiona Dominika odbierała jej z rąk wspaniale pachnące ciasto.
- Musiałam! Ja zawsze piekę, kiedy przeżywam coś naprawdę tragicznego. To mnie ratuje przed popełnieniem głupstwa...
- Siadaj! Woda kipi, zaraz więc dostaniesz coś gorącego. Chcesz kawy, mam jeszcze odrobinę.
- Niczego nie chcę! Wolę ci najpierw opowiedzieć, co wczoraj przeżyłam... To było chyba gorsze od śmierci!!
- Mów, proszę! Umieram z ciekawości!
- Początkowo o niczym jeszcze nie wiedziałam — szlochała Tenia. — Zgodnie z naszym planem szukałam tych kotów i nic mi z tego nie wychodziło. Po pierwsze koty były bure, a poza tym ich właściciele wcale nimi się nie zajmują i były to całkiem dzikie zwierzęta... Wreszcie pozostał mi do sprawdzenia tylko jeden domek... O Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa!!!
- O co chodzi?... Czy tam coś zobaczyłaś? Nie rycz, tylko opowiadaj! Co więc znalazłaś w tym ostatnim domku?
- Zobaczyłam na podwórku samochód mojego męża... Teraz rozumiesz?
- Nie... — przyznała szczerze Dominika. — Co to ma wspólnego z naszą sprawą?
- Otóż ma! To właśnie tam, u tej makolągwy, mój stary spędza wieczory. Nareszcie ich przyłapałam! Długo szukałam, ale wreszcie znalazłam! Uuuu...
- Miałaś szukać kota! — przypomniała surowo Dominika. — A poza tym co obchodzi cię ten człowiek, skoro od dawna macie rozwód? Przyznaję, że wcale ciebie nie rozumiem!
- Po pierwsze, to nie jest żaden człowiek, lecz mój mąż, a po drugie, ja tej paskudzie pokażę! — zalała się łzami Tenia. — I co on właściwie w niej widzi?... Jest mocno przygruba, prawie siwa i chodzi ubrana jak autentyczna kuchta. Powinna się wstydzić! Ja byłam zawsze ubrana, umalowana, zadbana, a on znalazł sobie taką...
- Dominika słuchała jednym uchem całej powodzi słów rozżalonej przyjaciółki, a jednocześnie zaczęła sobie zdawać sprawę z nowej porażki. „Kocia” sprawa nie posunęła się ani o milimetr.
- Ale ty mnie wcale nie słuchasz! — dotarł do niej oburzony okrzyk Teni. — Jeżeli to cię nie interesuje, zaraz sobie pójde!
- Ależ skąd! — Dominika momentalnie wróciła do rzeczywistości. Myślę tylko jednocześnie, że nasza sprawa nie posuwa się naprzód. Tyle miałyśmy roboty z ustalaniem adresów, a tu, jak dotąd — nici!
- Jak to? — oburzyła się Tenia. — Przecież dzięki tym adresom dowiedziałam się wreszcie, z kim zdradza mnie mój stary! Czy to nie jest ważne?
- Ooowszem... ale w niczym nie rozwiązuje sprawy czarnego kota!

Dzwonek w przedpokoju zapowiedział hałaśliwie następnego gościa. Do mieszkania Dominiki wkroczyła Ada, też jakaś całkiem odmieniona.

— Wyglądasz, jakbyś wygrała ważną bitwę z przeważającą liczbą wroga — stwierdziła z podziwem pani domu. — Założę się, że masz zaskakujące wiadomości.

— Zgadłaś, mam! — Ada zdjęła płaszcz nieprzemakalny i zademonstrowała triumfalnie nową bluzkę i bardzo modną spódnicę, doskonale skrojoną i uszytą bez pudła. Wrażenie było ogromne.

— Czy wybierasz się do kapitana? — Dominika patrzyła ze zdumieniem na wystrojoną przyjaciółkę. — Ale najpierw zjedz kawałek jabłeczniaka i opowiadaj wszystko po kolei!

— Już to robię! — Ada była tak bardzo z siebie zadowolona, że nawet nie zauważyła, iż Tenia jest paskudnie zapłakana. — W życiu tak się nie ubawiłam!

— Opowiedz więc najpierw o rezultatach tej zabawy — wtrąciła szybko Dominika, która знаła już sposób opowiadania Ady. — Czy może znalazłaś to, czego szukamy?

— Znalazłam, ale niezupełnie... Czekaj, dajcie mi zacząć od początku i włóż podwójny kawałek szarlotki... Dziękuję... Otóż w czterech domkach adresy okazały się całkowitym niewypałem. W dwóch koty były bure, jak twój Colombo, w trzecim nigdy nie było kota, bo jest tam pies, który ich nie znosi, a w czwartym był kot i do tego czarny, ale dopiero co urodzony i jeszcze ślepy. Za to w piątym domku zauważyłam wieczorem jakieś duże czarne zwierzątko, które wyglądało zupełnie jak to, którego właśnie szukamy. Zasiadłam więc przy furtce na czatach, ale wkrótce to mnie znudziło i postanowiłam pod jakimś pretekstem wejść do środka... Doskonała szarlotka!

— Nie bałaś się?... Przecież tam mógł być morderca! — wzdrygnęła się Tenia, zapominając na chwilę o swoich tragediach sercowych.

— Przecież miałyśmy w planie śledzenie mordercy! — pouczyła ją poważnie Ada. — Oderwałam sobie obcas od pantofla i zadzwoniłam do drzwi wejściowych. Otworzył mi brunet, jak z filmu: oczy czarne jak dwa węgle, cera smągła niczym u araba i... w ogóle — palce lizać!

— Ta ma szczęście! — westchnęła smętnie Tenia. — Ja spotykam tylko same kłopoty!

— Miałaś mówić o kocie! — Dominika naprowadzała dyskusję na właściwe tory. — Czy zauważyłaś w tym domu czarnego kota?

— Na razie zobaczyłam tylko tego bombowego bruneta. Zaprosił mnie do pokoju i natychmiast zabrał się do przybijania obcasa.

— A ty w tym czasie...

— A ja w tym-czasie podziwiałam urządzenie mieszkania. Takich antyków w życiu nie widziałam!... Mówię wam, że oko mi zbieleło na widok wspaniałych...

— Litości! — Dominika chwyciła się za głowę. — Jak zaczniesz na temat staroci, to do wieczora nie skończysz... Co z tym kotem?!

— Zaraz będzie i o kocie. Słuchajcie! Brunet postawił kawę, koniak i słone paluszki, a ja zaczęłam nawijać mu bajkę o zaginionym kotku, który gdzieś się podział i chyba uciekł do ogrodu. Robiłam przy tym najbardziej niewinną minę, na jaką mnie stać...

— Wyobrażam sobie — uśmiechnęła się Dominika. — Na pewno oddychałaś przy tym głęboko.

— Jasne! Poświęcałam się dla naszej sprawy z całego serca. Chyba ocnicie to należycie!

— Jeszcze nie wiemy nic konkretnego... No i co było dalej?

— Dalej podobałam mu się jeszcze bardziej. No, ale ja wiedziałam, po co przyszedłam i ciągle wypytywałam go o tego kota... Heca była nieprzeciętna!

— I jak to się skończyło? — Dominika była już całkiem zrezygnowana.

— Normalnie! Umówiłam się z nim na kawę w „Merkurym”. W dzień był jeszcze

bardziej przystojny... Wszystkie baby tylko na niego patrzyły! Szkoda bardzo, że was przy tym nie było!

— Rzeczywiście szkoda! — warknęła wściekła Dominika. — Kota oczywiście nie znalazłaś!

— Ależ tak, ale to był niestety czarny pudełek i wieczorem trudno było odróżnić.. Byłam tak rozczarowana, że Kazio o mało się nie rozplakał.

— Przeszliście na ty... Winszuję! Czasu, jak zwykle, nie traciłaś!

— Oczywiście! — przyznała rozpromieniona Ada. — Ale to jeszcze nie koniec... Ponieważ nawiązywałam ciągle do tego kota, Kazio zrobił mi niespodziankę. Dzisiaj rano jakiś chłopiec przyniósł mi piękne róże i dość duże pudełko z powycinanymi otworami. Czy wiecie, co w nim było?

— Z pewnością serce pana Kazia w garniturze z jarzyn... — Dominika była zła jak nigdy.

— Pleciesz! W pudełku był mały śliczny kotek.

— Co?

— Ależ tak! Miałam z nim kłopot, bo moja Moka nie znosi kotów i trzeba było zaraz wynieść go z domu. Dałam go w prezencie znajomej, która jest nim zachwycona.

— Ja za to mniej! Czas płynie, urlop ucieka, a my stoimy w miejscu jak głupie... Cała nadzieja w Oldze, ale jeśli ona...

Tu dzwonek u drzwi przerwał rozmowę. — otwarte! — krzyknęła Dominika i pobiegła w stronę drzwi wejściowych.

I wtedy w progu stanęła Olga. Oparła się ciężko o framugę drzwi i patrzyła bez słowa przed siebie, kołysząc się lekko na nogach. W rękach trzymała ogromny bukiet pięknych czerwonych goździków.

— Co ci się stało?! — Dominika dopadła do niej, chwytając mocno za ramiona.

— Eeee... nic... Puść mnie, bo... nie chcę... — tu złapała ją silna czkawka.

— Ależ ona jest pijana! — zawołała osłupiała Ada. — Trzeba ją zaraz położyć!... Coś podobnego!... Przecież nigdy nie piła!

— Widocznie dzisiaj zaczęła! — Dominika niczemu już się nie dziwiła. — Chodź, zaraz włożymy jej głowę pod prysznic razem z tymi kwiatami, czkawka przejdzie migiem!

— Zgłupiałaś? — Ada zaczęła ciągnąć do siebie przelewającą im się przez ręce przyjaciółkę. — Trzeba ją położyć, bo na pewno źle się czuje... Oooo, tutaj... Ostrożnie!!! Co za piękne kwiaty!

— Ot i mamy komplet! — załamała ręce Dominika. — Jedna zaryczana, druga zakochana, a trzecia pijana jak biała. Od samego jej oddechu można dostać zawrotu głowy. Co za wstyd!

— Olga nie kwiatek, żeby ją wachać — protestowała Ada, kładąc troskliwie na głowę nieszczęsnej kompres z zimnej wody i octu. — Dajcie jej teraz spokój, wyśpi się i będzie świeża jak skowronek.

— Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby skowronki zalewały się w trupa — wzruszyła ramionami Dominika. — Co my teraz powiemy kapitanowi? Skandal i rozpacz!

— Na razie szkoda czasu na próżną gadaninę. Idę teraz do domu, bo mam masę roboty... Przyjdę około osiemnastej, Olga na pewno będzie już na chodzie. Idziesz Tenia? Korzystaj, że przestało padać!

— Idę! — Tenia ciężko dźwignęła się z krzesła. — Nawet nie miałam dzisiaj okazji powiedzieć ci, że szukając kota, znalazłam kociaka mojego starego... Od wczoraj płaczę i chyba będzie ze mną koniec!

— Coś podobnego! — Ada objęła zapłakaną przyjaciółkę. — I ty, głupia, dlatego rozpaczasz? Puknij się w czołko, dziewczucho! Tyle razy ci mówiłam...

Wyszły, ale głos Ady długo jeszcze było słyhać. Colombo powędrował za nimi kawałek, ale zaraz wrócił, bo było mokro i nieprzyjemnie.

Dominika zamknęła drzwi na zasuwę i usiadła na tapczanie obok śpiącej Olgi.

— Chyba też trochę się zdrzemnę — postanowiła. — Przecież dzisiaj w nocy prawie wcale nie spałam.

Po chwili już leżała, okryta pledem, a Colombo położył się przy jej nogach i mruzczał zadowolony, że jest cicho i ma swoją panią wyłącznie dla siebie.

Kiedy Olga ocknęła się z głębokiego snu, nie mogła pojąć w pierwszej chwili, co się z nią dzieło i gdzie się znajduje.

— Mam chyba w ustach całą Saharę! — jęknęła cicho. — Muszę być bardzo chora... Ale... dlaczego?

Wstała na dziwnie chwiejnych nogach i zanim dotarła do kuchni, wiedziała już, że znajduje się w mieszkaniu Dominiki. Nastawiła wodę na kawę i poszła do łazienki, aby tam doprowadzić swój wygląd do jako takiego porządku. Po wypiciu dużego kubka mocnej kawy prawie całkiem przyszła do siebie i zaczęła na paluszkach obchodzić mieszkanie. Zobaczyła śpiącą Dominikę, pogłaskała Colomba i wróciła do kuchni. Widok pustej lodówki pobudził ją do energicznego działania i po chwili wychodziła już z mieszkania z dużą torbą w ręku.

Deszcz przestał padać i zrobiło się bardzo przyjemnie. — Ciekawa jestem na jak długo? — westchnęła Olga i odskoczyła w bok, ale i tak strumień-brudnej wody opryskał

-jej jasny prochowiec. — Do diabła z tym chamstwem w samochodach!

Kiedy wróciła z torbą wyładowaną po brzegi, Colombo czekał już na nią w przedpokoju, okazując żywe zainteresowanie treścią zakupów.

— Mam coś i dla ciebie, ale nie płacz mi się pod nogami! — Zasapana Olga rozkładała zakupy na stole. — Masz, obżartuchu! Wcinaj! — i położyła mu na talerzyku ogromny kawałek opiekanego dorsza.

Nagle w oknie mignął jasny kok i zielony płaszczyk. Olga, ile sił w nogach, pobiegła do przedpokoju.

— Cicho... Dominika śpi! — informowała szeptem Adę. — Wejdz i zdejm pantofle. Papcie znajdziesz w szafce.

— Dajcie spokój! — Dominika stanęła w drzwiach. — Przecież dom to nie muzeum... Przepraszam was, ale w nocy prawie nie spałam, więc teraz mnie złożyło.

— Masz przecież urlop i możesz spać cały dzień — przypomniała Ada. — Ale co to za cudowne zapachy dochodzą z kuchni?... Patrzcie, żarcia wystarczyłoby dla całej gromady głodomorów! A skąd ten wspaniały kurczak z różną?

— Akurat trafiłam! — Olga skrzętnie unikała spojrzeń. — Przecież jest już po południu, a my bez śniadania... Bierzmy się za jedzenie! Umieram z głodu!

Po chwili stół był nakryty i zastawiony. Ada, która już jadła obiad, dała też się skusić i przez dłuższą chwilę wszystkie zajmowały się tylko konsumpcją. Ale kiedy kawa wyładowała na stole, wymowne spojrzenia skierowały się na Olgę.

— Chyba masz nam coś do powiedzenia — powiedziała od niechcenia Ada. — A może mi się tylko zdaje?

— Ooowszem... Ale ostrzegam, że będzie to bardzo zaskakujące.

— Zauważyłyśmy od razu — uśmiechnęła się Dominika. — A więc masz głos. Słuchamy!

— Z tymi kotami było tak, jak mówiłam — zaczęła Olga trochę niepewnie. — Informacje od dzieciaków okazały się naciągane i zmyślane, słowem cztery adresy przyniosły całkowite fiasko! Nie było tam nigdy żadnych kotów, ale zanim to stwierdziłam, musiałam się nielicho nagimnastykować, bo...

— Jasne! A ten piąty adres?

— Piąty zapowiadał coś ekstra! Jest tam duży kawałek ogrodu i ogromne oranżerie... Otóż właśnie w ich pobliżu biegał kot i do tego czarny, choć raczej nieduży, ale tamten od Kraftów też chyba nie był większy... Wszystko wyglądało więc bardzo obiecująco.

— I co dalej? — ponagliła Dominika, której do serca zaczął wkradać się malutki promyk nadziei.

— Ze trzy dni krążyłam koło tego płotu i usiłowałam zobaczyć z bliska kota, ale bez rezultatu! Cały dzień wcale go nie było, dopiero kiedy zapadał wieczór, zjawiał się czort wie skąd i biegał sobie między szklarniami. Nie wiedziałam, co robić z tym fantem, zwłaszcza że właściciel posesji już zauważył, że kręcę się koło jego chaty. Kiedyś wieczorem wyszedł niespodziewanie na ulicę i zapytał mnie wprost, czego właściwie szukam... O Bożyczku!... Myślałam, że umrę ze strachu, bo jeżeli on był właśnie naszym poszukiwanym mordercą, to wiecie, co mi groziło!

— No i co mu powiedziałaś? — zawołała przejęta nie na żarty Dominika.

— Na chwilę mnie замуrowało, a potem zaczęłam opowiadać o kocie, którego dała mi ciocia na przechowanie i że mi właśnie uciekł... Wszystko mi się pokreśliło, no, ale przecież nie mogłam powiedzieć mu prawdy.

— A co on na to? Dał się nabrać na ciocię i jej koci depozyt? — śmiała się Ada. — Mój Kazio natychmiast by mnie rozpracował, a przecież trochę lepiej potrafię bujać od ciebie.

— Nie pleć, przecież było całkiem odwrotnie... Sama mówiłaś, że przysłał ci małego kotka, bo...

— Znowu zaczynacie? — Dominika patrzyła z wyrzutem na przyjaciółki. — Co ci powiedział ten badylarz?

— Powiedział niezbyt grzecznie, że żadnego kota u niego nie ma i że mam pójść swoją drogą... Miał przy tym okropną twarz... Uciekałam ile tchu!

— No, ładnie! — pokiwała głową Ada. — Czy ty słyszałaś, żeby wywiadowca uciekał w popłochu? Ładnie się spisałaś, nie ma co!

— Czekaj, toż to jeszcze nie koniec! Na drugi dzień znów tam poszłam, ubrałam się tylko inaczej. Chciałam, żeby mnie nie rozpoznał.

— Czyżby? — Ada bawiła się znakomicie. — Trzeba było przebrać się w skórę niedźwiedzia... Kiedyś w cyrku widziałam...

— Jeśli będziesz przeszkadzać, nie powiem już ani słowa! — rozgniewała się Olga. — Ty zawsze musisz stroić głupie żarty. Mam tego dosyć!

— Jeżeli tak dalej pójdzie, nie skończymy z tą sprawą do końca życia — powiedziała zirytowana Dominika. — Mów dalej, Olga! Słuchamy!

— A więc przebrałam się, jak tylko umiałam najlepiej, ale kiedy zaczęłam wypatrywać przy furtce, ta raptem się otworzyła i ktoś wciągnął mnie jednym szarpnięciem za rękę na ścieżkę, a potem do mieszkania...

— Cooo? — zawołały z nieudaną zgrozą przyjaciółki. — Wciągnięto cię siłą do domu?... — Ada dopiero teraz przestała się śmiać.

— Właśnie tak! Był to oczywiście ten sam mężczyzna, przed którym poprzedniego dnia uciekałam... O Bożyczku złoty... Byłam pewna, że mnie zabije!

— No, ale jakoś... — zaczęła Ada, ale zaraz umilkła, kopnięta w kostkę przez Dominikę, a Olga, niezmiernie dumna z wrażenia, jakie budziła swoim opowiadaniem, ciągnęła dalej:

— Kiedy byłam już w mieszkaniu, facet zaczął krzyżeć: „Niech mi pani głowy więcej nie zawraca i zapisuje... Toż przecież na to wierci się sama tutaj od tygodnia... Mam tego dosyć!... Wiedziałem, że tak będzie, ale już mi wszystko równo”... i tak dalej w kółko. Myślałam, że zwariował!

— Oooo! — przyjaciółki zerwały się z miejsca. — Przyznał się do morderstwa?... To wspaniale!

— Ja też tak myślałam i patrzyłam na niego ze zgrozą, ale on siłą sadzał mnie na krześle i wykrzykiwał swoje: „Postanowiłem się przyznać i niech mi już dadzą ten cholerny domiar, skoro pani taka wścibska... Dopięła pani swego! Pisz pani: przyznaję się, że połowy moich goździków nie podałem do Wydziału Finansowego... Czort mnie pod- kusił i tak nie podałem!... Teraz zniszczy pani mnie i moją rodzinę, ale niech raz będzie z tym koniec!... No, pisz pani, do jasnej cholery!...” Byłam zupełnie oszołomiona, a potem zrozumiałam, że to nie morderstwo, tylko jakieś nadużycie finansowe. Zaczęłam się śmiać jak głupia, bo też zaraz pojęłam, że na swojaka trafiłam... Rozumiecie, jaka to frajda? Czysty smorgoniak spod Wilna... Dzieciakami my się przez płoty ganieli! Dopiero my padli sobie w objęcia, a wspominali... Poprosił zaraz żonę, która w przyległym pokoju zalewała się łzami i wszystko się wyjaśniło!

— No, a ten kot, którego miałaś na oku? — Dominika nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

— Ach... — Olga była wyraźnie zakłopotana. — Wyobraźcie sobie, że to nie był kot... To był oswojony jeź...

— Co takiego? Czy jeź jest podobny do kota? Zgłupiałaś?

— Wcale nie! Wczoraj wszystko jest do siebie podobne, a jeź jest wtedy bardzo ruchliwy i z daleka może naprawdę przypominać...

— Ależ tak! — poparła koleżankę Ada. — Ja przecież też wzięłam pudła za kota... W nocy łatwo się pomylić.

— Właśnie! — odetchnęła Olga. — Pomijając tę pomyłkę, chęci przecież miałam jak najlepsze.

— No i co było potem z tym facetem od goździków?

— Był przede wszystkim uszczęśliwiony, że znalazł swojaczkę i zaprosił mnie na kolację. Byłam akurat bardzo głodna, więc nie odmówiłam. Jedzenie było znakomite i pani domu poczęstowała mnie winem z jabłek własnej roboty. W smaku

przypominało zupełnie kompot i piłam go dużo... No, a potem urwał mi się film...

— Teraz rozumiem! — pokiwała głową Dominika.

— Spałam oczywiście u nich, bo nie było innego wyjścia, ale rano czułam się okropnie i ten facet dał mi w kieliszku coś bardzo mocnego. Po tym poczułam się trochę lepiej i poszłam do was. Żegnali mnie niezwykle serdecznie i dali ogromny bukiet kwiatów na drogę... Czy je tutaj przyniosłam?

— Owszem, stoją w wazonie na kredensie... No i mamy pełny obraz naszych poszukiwań, na brak wrażeń nie możemy narzekać! — cieszyła się Ada.

Rozgorzała dyskusja, która w rezultacie do niczego konkretnego nie doprowadziła. Dalsze poszukiwania właściciela czarnego kota okazały się utopią.

— Trzeba będzie wymyśleć coś innego — orzekła Ada, żegnając zupełnie załamaną Dominikę. — Nie martw się na zapas, bo jutro może przyjść nam do głowy jakiś inny, wspaniały pomysł.

— Już to widzę... Pomysłów nam nigdy nie brakuje, tylko ich realizacja jest beznadziejna... Co robić?

— Na wszystko przychodzi właściwy czas, trzeba tylko cierpliwie czekać! No to cześć! — Ada ciągnęła Olgę za rękę. — Muszę ją osobiście odprowadzić do domu, bo znów się gdzieś zapije.

— Odczep się, dam sobie sama radę! — wyrywała się Olga, ale jakoś dała się ugadać i wyszły razem, dyskutując żywo.

Dominika posiedziała jeszcze trochę na tapczanie, gładząc bezmyślnie futerko łaszącego się Colomba, a potem podeszła do telefonu i wykręciła numer kapitana.

— To ja... Dominika. Klęska na całej linii, aż wstyd się przyznać! — I rozplakała się serdecznie do słuchawki.

Rozdział XIV

Mimo że następne dni były piękne i słoneczne, przyjaciółki chodziły zdenerwowane i smutne. Sprawa utknęła beznadziejnie w miejscu i po prostu nie wiedziały, jak brnąć dalej. Wprawdzie kapitan pocieszał swoje „współpracowniczki”, twierdząc, że wszystko idzie doskonale, ale to ich wcale nie przekonywało.

— Jak można iść skutecznie tropem, który się urwał i już właściwie nie istnieje? Pozostawało tylko czekać na jakiś przypadek! — wzdychał cały babski majdan wywiadowczy. — A że nadzieja, wiadomo, matka głupich... Ach!

Któregoś dnia kapitan zadzwonił wieczorem do Dominiki i powiadomił ją, że zakaz wstępu do domku Klary został cofnięty i panie mogą tam wchodzić jak dawniej.

— To dobrze, bo Klara wraca niedługo ze szpitala — ucieszyła się Dominika. — Przykro mi tylko niezmiernie, że nasze informacje wprowadziły pana w błąd i zabrały niepotrzebnie tyle czasu.

— Wręcz odwrotnie! Właśnie dzięki tym informacjom doszliśmy do bardzo ciekawych i ważnych rozwiązań. Jestem pełen podziwu i wdzięczności dla pań... Naprawdę, pani Dominiko!

— No cóż, pan żartuje — westchnęła Dominika — ale to ładnie, że próbuje nas pan pocieszyć. Dzięki i za to!

— Przekona się pani niedługo, że to szczerą prawdą. Dobranoc!

Dominika uznała, że skoro Klara ma wrócić, trzeba rozejrzeć się za uzupełnieniem dla niej zapasów żywności. — Nie zaszkodzi kupić trochę konserw i kompotów, bo ona przecież nie robiła tego lata żadnych zapasów. Jutro pojedę do naszego nowego Super-Samu, może znajdę tam coś smacznego — postanowiła.

Na drugi dzień poszła po zakupy trochę wcześniej, bo po południu umówiły się na spotkanie u Ady. Ludzi było niewiele, a zaopatrzenie zupełnie możliwe, Dominika szalała więc między regałami. Nagle, przy stoisku z konserwami rybnymi zobaczyła

jakąs kobietę, której twarz nie była jej obca. — Kto to może być? — zastanawiała się, obserwując ukradkiem nieznajomą. — Ależ tak... to ta pani, którą widziałam na cmentarzu w dniu pogrzebu żony Krafta... Ciekawe! — Pojechała szybko z koszykiem do kasy, chcąc być pierwsza przy wyjściu ze sklepu. — Że też akurat dzisiaj musiałam nakupować tyle różności! — denerwowała się, ładując z trudem wszystko do torby. — Akurat teraz...

Nieznajoma wyszła w chwilę później i Dominika ruszyła zdecydowanie jej śladem. Zasapana, spocona, z mocno bijącym sercem, podążała za nią, przezornie zachowując sporą odległość. — Już pół miasta przeszłam! — dyszała ciężko. — Jeżeli ona zaplanowała sobie dzisiaj dłuższy spacer dla zdrowia, to długo nie pociągnę!

Ale oto znalazły się w dzielnicy Olgi i Klary, i nieznajoma weszła do małego parterowego domku. Dominika podeszła ostrożnie i zerknęła na numer mieszkania. — Brzozowa dwadzieścia dziewięć... — powtórzyła kilkakrotnie pod nosem i wróciła powoli w stronę mieszkania Olgi. — Żeby tylko była w domu! — modliła się nieomal, czując, że siły opuszczają ją zupełnie.

— Dominika! — Olga pośpiesznie otwierała drzwi. — Daj te torby... Co ty tam masz takiego ciężkiego?... Połóż się zaraz... Co ty z sobą zrobiłaś?!

— Daj mi z torebki tabletkę — Dominika przytknęła oczy. — Dziękuję... Nie, wody nie trzeba!

Olga usiadła przy przyjaciółce i wachlowała ją rozłożonym „Przekrojem”.

— Lepiej ci już? — zapytała po chwili. — Co ci się stało?

— Cicho... — Dominika czuła, że wracają jej siły. — Zadzwoń do Ady, aby przysłała tutaj... Mam dla was bardzo dobrą wiadomość.

— Czy może coś o naszym kocie?

— Tak!

— Czy tym razem to pewna sprawa?

— Mam nadzieję. Pędź do telefonu!

— A więc znalazła się twoja tajemnicza nieznajoma! — cieszyła się Ada. — Nie wiadomo, czy będzie to miało dla nas jakieś znaczenie, ale sprawdzić nie zaszkodzi.

— Tylko kapitanowi ani słowa! — zastrzegła stanowczo Dominika. — Jeżeli okaże się to nowym niewypałem, przynajmniej nie będziemy musiały się tłumaczyć jak smarkate. Racja?

— Racja! — potwierdziła Ada. — Ale co teraz robimy?

— Od jutra będziemy obserwowały jej dom. Opisałam wam dokładnie, jak ona wygląda, teraz trzeba sprawdzić, czy nie pokaże się tam czarny kot... Ale czekajcie... Z ulicy Brzozowej nie miałyśmy przedtem żadnego adresu...

— Te adresy były i tak do niczego, zresztą zobaczymy. Musimy podzielić się dyżurami. Kto chce pilnować rano?

— Mogę ja — zgłosiła się Olga. — I tak wcześniej wstaję. A do której godziny?

— Jesteśmy trzy, więc chyba po osiem godzin.

— No, a Tenia?... Co się z nią dzieje?

— Ach, z niej teraz nic się nie wykrzesze! — machnęła ręką Ada. — Przeżywa obecnie ze swoim starym miodowy miesiąc! Piecze, gotuje, lata do fryzjera, kosmetyczki i w ogóle szaleje. Mowy o niej nie ma!

— Czy może znów się pobrali?

— Skąd! I zresztą po co? I tak mogą odstawiać różne szopy... Czego też ludziska nie wyprawiają, żeby się nie nudzić!

— Zostałyśmy więc we trzy... Ja będę po Oldze, a potem Dominika.

— Ależ nie! Ja mam najdalej, więc nie mogę sterczeć tam do rana. Wieczorem powinna czuwać Olga, bo mieszka niedaleko i ma parę kroków do domu — tłumaczyła Dominika.

— Racja! A więc rano ja, potem ty, a wieczorem Olga — oczy Ady błyszczały z emocji.

- Zgoda. Ale wieczorem powiadomicie mnie, jak wam poszło. Będę bardzo ciekawa

i niespokojna... Spotkamy się pojutrze u Olgi.

— Nie martw się! My już ją tak obstawimy, że okiem nie mrugnie — odgrażała się Olga.

— Tylko ostrożnie, żeby was nie zauważyła — prosiła Dominika. — To jest bardzo ważne... Zresztą — same rozumiecie.

Pogadały jeszcze trochę, uszczęśliwione, że znów zaczyna się coś dziać i powoli rozeszły się do swoich domów. Zapasy dla Klary zostały na razie zmagazynowane w lodówce Olgi.

Następnego dnia o godzinie trzynastej wyłączono jak na złość prąd w dzielnicy Fałata i tramwaje stanęły bezradnie. Dominika miała jeszcze kawał drogi do miejsca swojego dyżuru, a tutaj taki klops! — No cóż, trzeba włączyć nożne biegi i to te najszybsze! — Dominika dopingowała samą siebie, bo wiedziała, że Ada musi być punktualnie zmieniona ze względu na zamówione pranie. Szła więc prędko, patrząc tylko przed siebie.

— Dzień dobry dzielnej koleżance! — rozległ się nagle koło niej znajomy głos. — A gdzie to podążamy takim wyciągniętym krokiem?

— A to pan? — Dominika, lekko zadyszana, witała kapitana. — Bardzo się śpieszę, a tu prąd wyłączony. Muszę biec, bo jestem umówiona na określoną godzinę.

— Wobec tego trzeba koleżance pośpieszyć z pomocą. Jesteśmy prawie przed gmachem komendy, proszę więc chwilkę poczekać, a zaraz znajdziemy jakiś środek lokomocji... Przynajmniej zdąży pani na spotkanie.

— Bardzo jestem panu wdzięczna, ale... jeżeli podjadę pod dom Olgi milicyjnym wozem, to wszyscy sąsiedzi pomyślą sobie Bóg wie co! Jestem bardzo staroświecka, prawda?

— Pojedziemy zwykłym fiatem i wysadzę panią na rogu ulicy, koło domu pani Klary. Dobrze?

— Jest pan bardzo miły... Chętnie skorzystam, jeżeli nie sprawi to zbyt wiele kłopotu.

W parę minut później Dominika pędziła na swój dyżur wtulona w miękkie oparcia wozu. Było to jednak naprawdę jeszcze bardzo daleko, bo nawet z taką prędkością pokonanie odległości zajęło dość dużo czasu.

— Bardzo mi pan pomógł! — Dominika patrzyła z prawdziwą wdzięcznością na kapitana. — Ada by mi głowę urwała...

Umilkła nagle i ciemny rumieniec oblał jej twarz.

— Brawo! Widzę, że panie prowadzą znów zorganizowaną akcję — kapitan obserwował z uśmiechem rumieńce Dominiki. — No cóż, życzę powodzenia!

Samochód zatrzymał się i Dominika, odczekawszy przezornie, aż kapitan dostatecznie się oddali, pobiegła szybko w stronę ulicy Brzozowej. Dochodząc na miejsce zwolniła kroku i ze zdziwieniem stwierdziła, że Ady nie ma. Oglądała się ostrożnie dookoła, ale nikogo nie zauważyła. — Co się stało?... Przecież jeszcze nie ma czternastej — niepokoiła się nie na żarty. — Chociaż... nigdy nie wiadomo, co Adzie może przyjsć do głowy.

Poszła w stronę obserwowanego domu. Naprzeciw niego, po drugiej stronie ulicy, stała duża ciężarówka i zdumiona Dominika zauważyła w szoferce jasny kok Ady.

— Siadaj! — drzwi samochodu otworzyły się błyskawicznie i Dominika wskoczyła szybko do środka. — Łazisz jak słoń po pustyni!

— Ale czyj to samochód? — Dominika z trudem tłumiała atak śmiechu na widok przyjaciółki ubranej w jakąś przy- kusą marynarkę w kratę i czapkę-oprychówkę, spod której zwycięsko wyglądał jasny kok. Całości dopełniały duże samochodowe okulary. — Co ty z siebie zrobiłaś?

— A jak miałam się ubrać na czaty? Może w wieczorową suknię i etolę z białych lisów? Ale teraz słuchaj... Zaraz wysiadamy, oczywiście na lewą stronę, i pójdziemy sobie swobodnie przed siebie. Potem pogadamy.

Dominika posłusznie dała sobą dyrygować. Obydwie szły powoli i pozornie

zaśmiewały się beztrąsko z jakiegoś kawału.

— No, teraz spływam, a tobie życzę szczęścia. Z szoferki tej ciężarówki nie radzę więcej korzystać, bo kierowca jedzie za chwilę do pracy.

— Czy widziałaś coś ciekawego?

— Ta kobieta wyszła z siatką po zakupy i po pół godzinie wracała... Cały czas miałam ją na oku.

— Kota widziałaś?

— Nie, ale to jeszcze nie znaczy, że go nie ma. Teraz ty czuwaj... Cześć!

— Czekaj... Czy ty masz zamiar tak ubrana paradować po mieście?

— Skąd, przecież nie wpuściliby mnie do pralni. Przebieram się u Olgi. Powodzenia! — Machnęła ręką na pożegnanie i po chwili zniknęła za rogiem ulicy.

— Cóż to za okaz! — westchnęła Dominika. — Jej żywotnością można napędzać potężną elektrownię pracującą na trzy zmiany! Takich kobiet nie ma już chyba w młodszych generacjach!

Wróciła ostrożnie do swojego punktu obserwacyjnego. Ciężarówka jeszcze tam stała, schowała się więc za nią i zerkała ukradkiem na mały schludny domek, tonący w powodzi kwiatów. Zapowiadały się długie i męczące w swojej beczynności godziny. — Ale co to? — Dominika nie wierzyła własnym oczom. Na oknie siedział czarny kot i zawzięcie szorował się łapą, jak to koty zwykle czynić po dłuższej drzemce i obfitym śniadanku. — ... Czarny kot!... — Dominice mało oczy nie uciekły w stronę czarnego zwierzątka. — To on! Nareszcie go znalazłam!

— A pani względem czego tutaj czeka? — jakiś przystojny młody człowiek zjawił się raptem za jej plecami. — Do miasta chcemy jechać?... No, to szybko, bo jestem mocno spóźniony!

— Dziękuję panu — Dominika zaprezentowała swój najbardziej sympatyczny uśmiech. — Ja czekam tutaj na koleżankę, ale jakoś nie nadchodzi...

— A może to mążulek szanownej pani utknął gdzieś tutaj u jakiejś laluni?... Oooo, naprzeciw mieszka teraz taka jedna, że oczy można zgubić, chociaż już nie pierwszej młodości — tu cmoknął na znak prawdziwego zachwytu. — Może to o nią się rozchodzi, co?

— Mówi pan, że taka ładna? — Dominika skwapliwie podjęła rozmowę. — Czy to taka farbowana jasna blondynka?

— Jaka tam blondynka!... Czarna, figura wszędzie na swoim miejscu. Idzie, jakby tańczyła... To jest babka! Ale cóż, ona woli swojego kota, a na mnie nawet nie spojrzy! Lubię chociaż czasem na nią popatrzeć — tu westchnął z prawdziwym żalem.

— Wie pan co — Dominika zdecydowała się błyskawicznie — mnie też się zdaje, że mój mąż trochę do niej... zagłada — tu zająknęła się, bo kłamstwo nie chciało jej przejść przez gardło. — Może więc spotkamy się gdzieś w kawiarni i pan mi o niej opowie... Może nie jest tak, jak myślę, ale żonę zawsze serce boli.

— To na pewno nie ona! — tu wielbiciel nieznajomej uderzył się w piersi wielką pięścią, aż zagrzmiało. — Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby do niej ktoś zachodził. Nigdy!

— Ale przy... piwku możemy sobie porozmawiać! — Dominika poświęcała się całkowicie dla dobra sprawy.

— Dlaczego nie... Ale ja dzisiaj kończę pracę dopiero o szesnastej i mogę być godzinę później w „Hungarii”. Dobrze?

— Może być — Dominice w głowie się zakręciło na myśl o tej obskurnej knajpie.

— No, to spływam... Widzę, że panią dobrze przycisnęło, ale coś mi się zdaje, że nie na ten adres... Jak Boga kocham, że nie na ten!

Samochód zawarczał, zakopcił i ruszył do przodu. Dominika została sama na środku ulicy. — Nie mogę tak sterczeć jak grusza na pustym polu — zdecydowała i odruchowo otworzyła najbliższą furtkę. Weszła wąską ścieżką do ogrodu. Koło klombu z pięknie kwitnącą szalwią stała mała ławeczka i Dominika usiadła na niej, rozglądając się, czy jakiś pies nie wypadnie zza węgła. Ale wokół panowała cisza i

nikogo nie było widać, za to doskonale można było obserwować wiadomy obiekt.

Na razie nic się nie zmieniło. Kot siedział dalej w oknie jak czarny posążek... Ale w pewnym momencie obejrzał się w głąb mieszkania i znikł. Za chwilę drzwi domku otworzyły się powoli i kot wybiegł pierwszy, a za nim wyszła nieznajoma. W dłoni trzymała nożyczki — Dominika widziała to doskonale — i zaczęła ścinać kwiaty. Kot biegał koło niej i łapał muszki w powietrzu, widać jednak było, że kręci się wciąż wokół swojej pani. — To jest to, czego tak długo szukałyśmy... — Dominika z wrażenia oddychała z trudem. — Ale czy jest możliwe, żeby ta kobieta była zdolna do otrucia psa i zamordowania z zimną krwią dwóch osób... To niemożliwe!

Tymczasem nieznajoma miała już w rękach duży bukiet kwiatów. Posadziła sobie kota na ramieniu i wróciła powoli do mieszkania. — Właściwie nie ma już po co tutaj dłużej siedzieć. Wiemy już, że tu mieszka i jest właścicielką czarnego kota... To wystarczy!... Co robić dalej, ustali się później — postanowiła Dominika. — Może podczas spotkania z kierowcą wyjdą jakieś nowe szczegóły... Teraz trzeba szybko stąd odejść.

Wyszła z ogrodu i poszła w kierunku mieszkania Olgi. Kiedy zamykała furtkę, była odwrócona tyłem do drogi i nie mogła zauważyć, że w oknie domku nieznajomej uchyliła się nieznacznie firanka i czyjeś bystre czarne oczy patrzyły za nią uparcie i badawczo.

— Gadaj sobie, co chcesz, a ja i tak pójdę na swój dyżur! — denerwowała się Olga. — A jeśli zechce wieczorem znów odwiedzić mieszkanie Klary, wówczas przynajmniej będę pewna, że to ona... Będzie można powiadomić zaraz kapitana i nareszcie złapią ją na gorącym uczynku!

— Ależ idź, jeżeli tak chcesz, tylko nie spiesz się do telefonowania na milicję. Wystarczy, że coś konkretnego zauważysz... Pamiętaj!

— Jakoś tam będzie. Szykowałam się od samego rana, to i pójdę. Ale czy kot na pewno jest ten sam?

— Skąd mogę wiedzieć, skoro tamtego nigdy nie widziałam. Raczej ty będziesz mogła coś powiedzieć na ten temat... Przyznam ci się, że jakoś trudno mi uwierzyć w winę jego właścicielki. Ona wygląda na bardzo miłą i kulturalną panią i nie pasuje wcale do roli bezlitosnego mordercy.

— Co ty wygadujesz! Zbrodniarze wojenni też byli bardzo mili, przystojni i wykształceni... Byli rycerscy wobec kobiet, znali się na muzyce i płakali ze wzruszenia słuchając „Sonaty księżycowej”... Wcale im to jednak nie przeszkadzało, żeby...

— Dość!... Wiem! Będę czekała na telefon od ciebie. Zadzwoń rano... i uważaj na siebie!

— Zadzwonię, ale teraz obejrzyj, w co chcę się przebrać. Zaczekaj chwilę.

Dominika z ulgą wyciągnęła się na tapczanie. Przymknęła oczy i wróciła myślami do małego domku z czarnym kotem w oknie.

— No, jak ci się podobam? — głos Olgi zagrzemiał jej nad uchem niby trąby jerychońskie. — Czy nie wyglądam bombowo?

Dominika otworzyła oczy i natychmiast usiadła na tapczanie. Przed nią stała Olga... w metamorfozie: długie złote loki opadały jej na ramiona, żakiet z koronkami (z kufra prababci) wisiał żałośnie na jej szczupłej figurce, a o wiele za szeroka spódnica, nadgryziona przez mole, zwisała nieomal do podłogi.

— Co ty z sobą zrobiłaś? — załamała rękę Dominika. — Przecież teraz nikt tak się nie ubiera i nawet dziecko natychmiast cię zauważy... Istny strach na wróble! Włóż ciemną gładką sukienkę i im mniej będziesz rzucała się w oczy, tym lepiej.

— Dobrze... — Olga niechętnie zdejmowała wiekowe łaszki. — Ale perukę zatrzymam i żadne gadanie nie pomoże. Czuję się w niej znakomicie!

— Rób, jak chcesz! — Dominika miała już tego serdecznie dość. — Idę do domu i czekam na telefon... Jutro rano przyjdźcie do mnie na generalną naradę.

— Przecież muszę trochę się przespać... dyżuruję do rana!

— Po co?! Wystarczy, że do wieczora poobserwujesz dom... Właściwie, to w ogóle

nie...

— No dobrze, przyjdę przed południem.

— Trzymaj się!

Zanim dotarła do domu i zrobiła zakupy, zbliżał się wieczór i trzeba było natychmiast gonić do „Hungarii”.

— Jeśli mnie tam zobaczy ktoś ze znajomych, będzie kompletna kompromitacja... — łamała się, grzebiąc w szafie. — Chyba trzeba włożyć coś niezmiernie skromnego, wtedy pomyślą, że szukam zapijaczonego męża... Ależ miałam pomysł z tym spotkaniem w knajpie!... Ada przynajmniej umawia się w „Merkurym”.

Zdążyła punktualnie na piątą, ale jakież było jej zaskoczenie, kiedy zamiast spodziewanej „mordowni” zobaczyła elegancki lokal, urządony stylowo i z dużym smakiem. Oglądała się za swoim kierowcą, ale nigdzie go nie zauważyła. Usiadła więc trochę speszona i zaraz potem jakiś dobrze ubrany pan zerwał się od sąsiedniego stolika i podszedł do niej, uśmiechając nią szeroko.

— Widzę, że wystarczy byle garnitur z „Domu Pana”, p już ludzie nie poznają. Zapraszam panią na obiadek! Dają tu doskonałą polędwicę „po cygańsku”, gotowaną w jarzynach, z czerwonym winem... Palce lizać!

— Witam pana serdecznie i przepraszam, że od razu nie poznałam! — Dominika czuła się fatalnie w swojej skromnej sukience. — Nie wiedziałam, że „Hungaria” to taki elegancki lokal.

— Do innego bym pani nie zaprosił, bo i sam nie chodzę. Parę lat wstecz strach brał przechodzić tą ulicą, ale teraz jest zupełnie znośnie. Ja lubię dobrze zjeść i przychodzę tutaj bardzo często.

Do stolika podszedł kelner, ubrany w czerwoną marynarkę i z dużą czerwoną muchą w białe kropki pod brodą.

— Co pan nam dzisiaj poleci? — zapytał towarzysz Dominiki. — Tylko wybierz pan coś dobrego, bo jestem w towarzystwie.

— Polecam zupełną gulaszową, bo dzisiaj udała się wyjątkowo, potem paprykarz z drobiu, wołowina „po węgiersku”, schab „po debreczyńsku”, porcolt i wołowina „po cygańsku”.

— Namawiam panią na zupełną gulaszową i polędwicę w jarzynach... Na pewno będzie pani zadowolona. Zgoda?... No, to dawaj pan dwa razy!

Kiedy kelner odszedł realizować zamówienie, jej nowy znajomy pochylił się nad stolikiem i zapytał półgłosem:

— No i co z pani ślubnym szczęściem?... Prawda, że go tam nie było? Oooo, ja mam oko na takie rzeczy!

— Rzeczywiście! — przyznała skwapliwie Dominika. — Podejrzewałam tę panią zupełnie niesłusznie. Ale czy pan już długo ją zna?

— Odkąd tutaj przyjechała, czyli od roku. Od razu ją przyuważyłem, ale cóż...

— Kupiła ten domek?

— Czy koniecznie trzeba kupić, kiedy się mieszka? Właściciele wyjechali do dzieci na rok za granicę, a ona sobie w tym czasie mieszka. Mówię pani, że to babka na sto dwa! Tylko w filmie można taką znaleźć!

— A tego kota... widziałam go w oknie... miała od początku?

— Tak, przywiozła go w koszyczku... Nawet pomagałem jej wtedy wnieść bagaże do mieszkania. Dużo tego nie było... Ale to dziwna babka. W dzień prawie nie wychodzi, tylko wieczorami. Lubi długo spacerować.

— A może pan widział, gdzie specjalnie lubiła chodzić?

— Zwyczajnie, jak to na spacer. Raz nawet próbowałem coś do niej zagadać, ale powiedziała grzecznie, że „przepraszam, ale chce być sama”... to jakby mi kto w pysk strzelił! No i dałem spokój.

— A nie utrzymywała bliższej znajomości z żadną sąsiadką? Między kobietami często tak bywa.

— Bywa, ale nie u niej! To jest twarda sztuka i do żadnych znajomości się nie pchała... Tylko dom i spacer. Zresztą chyba lada dzień wyjedzie. Szkoda!

— Dlaczego? — Dominika o mało nie przewróciła wazonika z kwiatami. — Skąd pan wie, że wyjeżdża?

— Nie taka sztuka to wiedzieć, kiedy się jest sąsiadem. Minął rok, właściciele wracają, a umowa była tylko do połowy lipca. Mówię pani, że na pewno wyjeżdża i to już lada dzień. Gdyby chciała, zaniósłbym jej walizkę na dworzec.

— Myśli pan, że zabierze kota ze sobą? — zapytała zamyślona Dominika

— Jak go przywiozła, to i zabierze. Ona bardzo lubi tego zwierzątko. Widzę nieraz, jak go ciągle nosi i głaszcze... Zamiast z chłopem bawi się z kotem... Ech, kto te baby zrozumie!

Nadszedł kelner z zamówionym obiadem i rozmowa została przerwana, ale Dominika nie miała już ochoty na jedzenie. Chciała jak najprędzej urwać się do domu, aby spokojnie wszystko przemyśleć.

— A czy pan wie, jak ona się nazywa? — zapytała, drobiąc mięso na talerzu.

— Wiem, bo mam znajomą dziewczuszkę w biurze meldunkowym. Nazywa się Zofia Rudnicka... Ładnie, prawda? Pasowałyby jak drut na hrabinę. Takie oczy mogą zaprowadzić do piekła... Gdyby tylko chciała...

— Widzę, że pan jest zakochany po uszy — uśmiechnęła się Dominika. — Szkoda tylko, że bez wzajemności.

— Pewnie, że szkoda! Wprawdzie narzekać nie mogę, bo powodzenia u dziewczuch mi nie brakuje, ale ta, to całkiem co innego... Tylko, że nie dla mnie. — Tu westchnął z prawdziwym żalem.

— Bardzo miły, rozumny i dobrze ułożony młody człowiek. — Dominika patrzyła z sympatią na swojego towarzysza przy stoliku. — Jestem nawet pewna, że jest więcej wart od Kazia Ady... Szkoda tylko, że tak niefortunnie ulokował swoje uczucie. — Odsiedziała jeszcze chwilę i pożegnała się ze swoim nowym znajomym. Chciała zapłacić za swój obiad, ale usłyszała zaraz wykład na temat „co kobiecie należy się od mężczyzny” — i po chwili szła już do domu, usiłując uporządkować wszystkie uzyskane wiadomości. — Jak nic się nie dzieje, to czysta próżnia, a jak znów się zacznie, to jakby worek rozwiązał! — wzdychała, ale w gruncie rzeczy była uszczęśliwiona, że wszystko nareszcie ruszyło z miejsca. — Ale do kapitana jeszcze nie zadzwonię... Trzeba czekać, aż się wszystko konkretnie ułoży.

W domu Colombo szalał ze szczęścia na widok swojej pani. Biegał jak szalony po mieszkaniu, a potem łapał ją za nogi i udawał, że gryzie.

— Dostajesz bzika! — Dominika targała go za uszy. — Daj mi spokój, bo padam z nóg... Zaraz zobaczymy, co mamy dzisiaj w telewizji.

Było już dobrze po północy, kiedy zadzwoniła Olga.

— Cześć! Jestem już w domu! Widziałam kota jak na dłoni... Biegał po ogródku, a „ta osoba” siedziała na ławeczce aż do zmroku. Potem poszła do domu i więcej nie wychodziła.

— Czy na pewno cię nie zauważyła?

— Jakim cudem? Cały czas chodziłam przed jej domem i udawałam, że czekam na kogoś. Skąd mogło jej przyjść do głowy, że to właśnie ją obserwuję... Przysięgam, że wcale na mnie nie spojrzała, a jeśli nawet, to całkiem obojętnym wzrokiem.

— Przypuśćmy... A zatem przed południem spotykamy się u mnie. Chyba zbliżamy się do zakończenia naszej sprawy.

— Myślisz? — w głosie Olgi było wiele sceptycyzmu. — Najlepiej nastawmy się na nowe fiasko, chociaż niby wszystko się zgadza.

— Masz rację! A więc dobrej nocy i czekam na was z drugim śniadaniem. Dziękuję za wieści!

Odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Ogromna tarcza księżycy pulsowała chłodnym światłem. Narzuciła szal i wyszła przed dom. Usiadła na ławce i odpoczywała, gdy nagle coś ciężkiego spadło jej na kolana i głośne mruczenie

opowiadało o radości spotkania swojej pani.

— Gdzie ty łazisz! — Dominika postawiła go na trawniku i poszła powoli przed siebie pustą aleją topolową. Colombo biegł przodem, bezpieczny i szczęśliwy.

Rozdział xv

Nazajutrz przed południem przyjaciółki stawily się na spotkanie wyjątkowo punktualnie. Ada przyniosła „do spróbowania” całą blachę pierogów z kaszą, upieczonych specjalnie na tę okoliczność, a Olga, wiedząc wcześniej o niespodziance, pobiegła rano na rynek i kupiła litr śmie-tany.

— To jest od „prawdziwej” krowy — zaznaczyła, stawiając ostrożnie butelkę na stole. — Do pierogów z kaszą pasuje tylko dobra śmietana!

— Nie jestem wprawdzie pewna, czy to będzie pasowało do naszych bioder — powiedziała Dominika układając pięknie przyrumienione pierogi na dużym talerzu — ale tak pięknie pachną kaszą i grzybami, że nie będę miała siły się oprzeć... Trudno!

— Wyobraźcie sobie, że tutaj nie znają wcale tego smakołyku — dziwiła się Olga, zabierając się ochoczo do konsumpcji. — Oni uznają tylko placek z kruszonką i zawiesiste sosy... Jakoś nigdy nie potrafiłam się do tego przekonać.

— Pierogi z kapustą też są doskonałe, ale teraz nie ma jeszcze dobrej kiszzonej kapusty. Jak wrócę zimą z Maroka, zrobię wam po jednej blaszce na głowę — obiecywała. Ada, nalewając sobie duży kubek śmietany.

— Z góry się cieszymy, ale teraz może rozpoczniemy dyskusję na wiadomy temat — powiedziała Dominika. — Co sądzicie o naszej nowej sytuacji?

— Właśnie! Nie ulega chyba wątpliwości, że znalazłyśmy wreszcie kota razem z jego właścicielką — stwierdziła Ada, pociągając łyk śmietany. — Co teraz zrobić z tym fantem?

— Ja proponuję zadzwonić do kapitana i niech już on zajmie się tą panią... To jest najbardziej logiczne. — Olga napoczyniała już drugiego pieroga. — Co o tym myślicie?

— Ja... chyba też tak uważam — Ada niepewnie spojrzała na Dominikę. — Ale czy jest aby pewne, że to właśnie ta osoba, której szukamy?... Przecież mogliśmy się pomylić.

— Właśnie... Ja też tak myślę — ucieszyła się Dominika. — To nie tylko nię jest pewne, do tego jeszcze...

— Widzę, że masz jednak poważne wątpliwości... Powiedz dlaczego? Tyle czasu szukamy właściciela czarnego kota i właściwie wszystko teraz nam pasuje... O co więc ci chodzi? — dziwiła się Olga.

— Zakładałyśmy, że kot siedł za mordercą, prawda?

— Dotąd tak było, ale widzę, że teraz zmieniłaś zdanie

— Nie, jednak ta nieznajoma nie pasuje mi wcale do roli mordercy... Wiem, że nobliwy wygląd jeszcze o niczym nie świadczy, ale czuję, że to nie to... Wyraźnie czuję!

— Może jednak pozwolisz, że mimo to kapitan sam weźmie się za tę sprawę. On nie będzie się kierował wyczuciem, lecz faktami! — upierała się Olga.

— A czy nie przyszło ci do głowy, że w ten sposób można zrobić komuś niewinnemu wielką krzywdę? — oburzyła się Dominika. — Nigdy na to się nie zgodzę!... Nigdy, słyszysz?!

— Dlaczego tak się unosisz? — Olga ze zdumieniem patrzyła na zaperzoną przyjaciółkę. — Wobec tego powiedz, co proponujesz!

— Ja uważam, że musimy same z nią porozmawiać. Wtedy wiele się wyjaśni.

— Ale czy ona nam się do czegoś przyzna? — machnęła ręką Olga. — Kto będzie się liczył z gromadą bab? Kapitan lepiej by sobie poradził, to pewne!

— Jak będzie trzeba, poprosimy go, na razie jednak nie zwracajmy głowy kapitanowi... Zaraz po obiedzie musimy iść do niej, zwłaszcza że w każdej chwili może wyjechać.

— Co ty pleciesz? — Olga całkiem zapchała się kaszą. — Jak to... To ona chce uciekać?!

— Ależ skąd! Ona mieszka tutaj dopiero od roku. Wynajęła ten domek od właścicieli, którzy wyjechali za granicę i właśnie teraz wracają, pani Zofia może lada chwila zwinąć żagle.

— Skąd wiesz, jak jej... na imię? — wykrztusiła zaskoczona Ada. — Czy może z nią rozmawiałeś?

— Z nią nie, ale z kierowcą ciężarówki, w której siedziałaś podczas swojego dyżuru... On wie o niej bardzo wiele!

— Skąd wie?... Może cię tylko nabujał?...

— Akurat! Po prostu zakochał się w niej po uszy i w związku z tym często ją obserwował. Podobno siedziała całymi dniami -w domu, a wieczorami wychodziła na spacer.

— Na spacer?... — Olga przestała jeść z wrażenia. — Może razem z kotem, co?

— Tego mi nie mówił, bo kocha się w pani Zofii, a nie w kocie!

— Gdzież, u Boga świętego, wycisnęłaś z niego tyle wiadomości? — Ada płonęła z ciekawości. — Przecież nie rozmawialiście tak długo na ulicy i to naprzeciw...

— Ależ nie! Poszłam z nim do „Hungarii” na obiad i pogadało się o tym i owym.

— W „Hungarii” mordują ludzi w biały dzień! — Olga przerażona zerwała się z miejsca. — Nie musiałaś aż tak się poświęcać!

— I znów się mylisz, złotko. „Hungaria” to bardzo przyzwoity lokal i jeśli nie chcesz czuć się dziko, to idąc tam włóż elegancką sukienkę. — Dominika uśmiechnęła się z satysfakcją. — Kiedyś może tak było, ale nie teraz!

— I nie wstydziłaś się iść z kierowcą ciężarówki do lokalu? — Olga nie dawała się przekonać. — O czym mogliście rozmawiać?

— Głupia jesteś, skarbie! Kierowca był ubrany w garnitur szyty na zamówienie u dobrego krawca i umiał się zachować bardzo poprawnie... A co do dyskusji, przez cały czas opowiadał mi o swojej beznadziejnej miłości do nieznajomej. To bardzo subtelny mężczyzna!

— Coś podobnego... — Olga była zdruzgotana. — Kierowca ciężarówki w roli zakochanego Romea, a nasza kandydatka na morderczynię okazała się romantyczną Julią... O Bożyczku złoty!... Toż zgłupieć można! Jak nic, pokaże się, że to nie był ten kot! Zobaczycie!

— Dlatego szkoda czasu na próżną gadaninę i trzeba iść do tej pani. Zawsze byłam zdania, że nikogo nie wolno podejrzewać, dopóki nie ma ku temu podstaw!

— No, już dobrze — poddała się Olga. — Kiedyż idziemy?

— Najlepiej po obiedzie, czyli za trzy godziny. Spotkamy się u ciebie, bo mamy stamtąd najbliżej.

— Wiesz co — rzekła Ada do Dominiki, kiedy żegnały się już w przedpokoju — jesteś fajna babka i niech cię ucałuję!

— Co ci się stało? — Dominika była' szczerze zdziwiona. — O co ci znów chodzi?

— Kiedyś ci powiem, a na razie pa!

W mieszkaniu Olgi, zawsze cichym i spokojnym, rozbrzmiewały, w promieniu całego osiedla, nie dające się z niczym porównać straszne krzyki. Dominika już z daleka słyszała ten dziwny hałas, ale początkowo nie przyszło jej nawet do głowy, że pochodzi on z mieszkania Olgi, zrozumiała to dopiero, kiedy podeszła bliżej.

— Oddaj to! — odróżniła wyraźnie głos Ady, ustawiony na najwyższych rejestrach. — Oddaj to zaraz! Słyszysz?!!

— Odczep się! — dyszkant Olgi był podobny w brzmieniu do piania zachrypniętego koguta. — Mówię ci, odejdz, bo zaraz wystroję z ciebie siekane kotlety!!! Czy słyszałaś, co powiedziałam?! Precz!!

Dominika runęła do drzwi, które na szczęście były otwarte i nie trzeba było ich wyłamywać. Wpadła do środka z zamierającym sercem i stanęła jak przysłowiowa żona Lota na widok sceny, jaka rozgrywała się tuż przed nią... Ada, spocona, czerwona, z rozpuszczonym kokiem, goniła dookoła stołu Olę, trzymającą w ręku duży tasak do rąbania mięsa. Obydwie wykrzykiwały nadal swoje kwestie w stylu, jak wyżej.

— Co się tutaj dzieje? — Dominika z trudem wydobywała z siebie głos. — Co wy wyprawiacie?! — Tu zabrakło jej słów.

— Ależ niech się pani nie przejmuj! Jak widać, pani przyjaciółki bawią się doskonale i nie trzeba im przeszkadzać! — Obok Dominiki stał przystojny kapitan i z uśmiechem obserwował całą scenę.

Żaden strumień zimnej wody nie wywołałby takiego efektu, jak to niespodziewane pojawienie się nowego gościa. Ada chwyciła się za głowę i runęła do drugiego pokoju, a Olga opuściła ręce i nie mogła wykonać żadnego ruchu... Wyglądała jak telewizyjny „Upiór z Luwru”.

Kapitan wyjął jej z ręki tasak i przez chwilę ważył go z powagą w dłoni.

— Stanowczo nie powinno się produkować takich ciężkich przyrządów kuchennych dla słabych rączek niewieścich — powiedział z galanterią i ostrożnie położył go na stole.

— Proszę nie dziwić się, panie kapitanie — Ada weszła do pokoju, doprowadzona już do idealnego porządku — ale koleżanka, podobnie jak my wszystkie, goni już resztkami nerwów i postanowiła, że na dzisiejsze poszukiwanie tego... kota, weźmie dla bezpieczeństwa to narzędzie, ale ja...

— I pani koleżanka miała zamiar iść z tym tasakiem przez miasto? — pokręcił głową kapitan. — Nie poniosłaby go w ręku daleko, jest strasznie ciężki!

— Skąd w ręku! — Ada znów poczerwieniała niebezpiecznie. — Ona schowała go za bluzkę i wyglądała, jakby była w żelaznym pancerzu... Chciałam jej to odebrać, bo do czego to podobne... i właśnie...

— ... i właśnie trafiliśmy na tę niewinną wymianę zdań — kapitan walczył dzielnie z ogarniającą go wesołością, ale nie wytrzymał i wybuchnął głośnym i bardzo zaraźliwym śmiechem. Dominika i Ada zaraz do niego dołączyły i przez dłuższą chwilę było słyhać tylko kaskady niepohamowanego: cha! cha! cha!...

— Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak serdecznie się uśmiełem — kapitan ocierał zażawione oczy. — To było wprost niepowtarzalne!

— Ja też! — Ada była uszczęśliwiona z tak gładkiego rozwiązania dość głupiej sytuacji. — Ale gdzie podziała się Olga?

Zajrzała do kuchni. Przy stole, z głową opartą na rękach, siedziała skulona Olga i rozpaczliwie szlochała.

— Dlaczego płaczesz?... To była świetna zabawa! — Ada objęła czule przyjaciółkę. — Uspokój się idiotko! — szepnęła jej przenikliwie w samo ucho. — ... No, już dobrze... umyj buzię i chodź do nas — dodała głośno i wróciła do pokoju.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz będzie kawa. — Ada z wdziękiem czyniła honory pani domu. — Jak to ładnie, że nas pan odwiedził!

— Byłem po prostu w tej dzielnicy i nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie zobaczyć, jak się mają moje dzielne koleżanki po fachu, jednakże... — tu spojrzął wymownie na zegarek — już jestem spóźniony, panie zresztą też śpieszą do dalszych poszukiwań tego pechowego kota. Ale... czy może są jakieś nowości? — zapytał od niechcienia.

— Niestety żadnych, ale wciąż szukamy i mamy nadzieję, że zła passa skończy się wreszcie — Ada patrzyła niewinnie w czarne oczy kapitana. — Jak tylko czegoś się dowiemy...

— Z góry dziękuję! — kapitan obcałował rączki pań i nawet wszedł do kuchni, aby tam pożegnać splakaną panią domu... Szepnął jej przy tym do ucha jakieś, widocznie, bardzo miłe słowa, bo twarz Olgi z wolna się wypogodziła.

Kiedy wyszedł, zapanowała w pokoju przejmująca cisza. Nagle wszystkie runęły do okna i patrzyły, jak sprzed domu rusza lśniący czerwony fiat.

— Ten sam! — mruknęła Dominika.

— Co tam marudzisz? — Ada z troską w oczach odwróciła się od okna. — Ale chryja! Wyszliśmy w sumie na kretynki ostatniej kategorii! Ale skąd on wiedział, gdzie mieszka Olga? ,

— Po prostu ściągnęły go tutaj wasze wrzaski — stwierdziła Dominika. — Było was słyhać w całym Toruniu!

— „Wielkie rzeczy! Nie jesteśmy żadnymi zawodowymi wywiadowcami, którzy muszą stać przed nim na baczność. — Olga całkiem przysłała do siebie. — Zresztą on sam mi to powiedział.. Zaraz, jak to było?... Aha! Powiedział, że jesteśmy „najbardziej uroczą służbą wywiadowczą”. Tak!

— No, to w porządku i wracajmy do naszych spraw, zwłaszcza że czas bardzo nagli — denerwowała się Dominika. — Odczekamy jeszcze parę minut i idziemy do tej pani. Trzeba się śpieszyć!

— Ale co my tej babce powiemy? Trzeba wymyślić jakiś wiarygodny pretekst tej wizyty.

— Pomyślałam o tym. Powiemy, że szukamy dla potrzeb opieki społecznej niepotrzebnych ciuchów, makulatury i leków. To na pewno nie podpadnie — radziła Dominika.

— A jak da nam parę starych gazet i zatrzaśnie drzwi przed nosem. — Ada była przewidująca. — Co wtedy zrobimy?

— Chodźmy! Zobaczymy, co z tej wizyty wyniknie. Jeżeli nie uda nam się dowiedzieć niczego konkretnego, wtedy będzie czas na dalsze zastanawianie się. Weźcie tylko dużą torbę i włóżcie do niej parę starych szmatek. Nie możemy pozwolić, aby ta wizyta budziła podejrzenia.

— Przecież do torby można spokojnie włożyć mój tasak! — ucieszyła się Olga, ale zamilkła, kiedy zobaczyła miny przyjaciółek i potulnie wyszła z domu.

Do ulicy Brzozowej było niezbyt daleko. Dominika oglądała się dyskretnie, czy nie widać gdzieś czerwonego fiata, ale niczego nie zauważyła.

— To już tutaj — westchnęła Ada, którą dopiero teraz zaczął oblaźić duszący lek. — Jednak, gdyby kapitan był z nami, czułabym się pewniej i...

— Cicho! — Dominika przybladła, ale dzielnie szła naprzód. Weszły do ogródka i Ada nacisnęła dzwonek przy drzwiach wejściowych.

Chwilę panowała cisza, ale zaraz potem słyhać było szybkie kroki i drzwi otworzyły się szeroko. Na progu stała wysoka brunetka, ubrana w granatową sukienkę w duże białe grochy.

— Przepraszamy bardzo, ale chciałyśmy z panią chwilę porozmawiać... — Dominika trochę się zająknęła. — Postaramy się nie zabierać pani dużo czasu.

— Proszę wejść! — nieznajoma nie okazała żadnego zdziwienia i poprowadziła gościnnie całą trójkę do dużego pokoju. — Proszę, niech panie siadają, a ja pójde przygotować kawę.

— Nie trzeba! — Ada zatrzymała „tę osobę”. — Nie chcemy sprawiać pani żadnych kłopotów.

— Przecież to głupstwo, zaraz wrócę. Przepraszam na chwilę.

— Coś nam to za łatwo idzie! — Olga ze strachem patrzyła w stronę kuchni. — Czort wie, co ona tam robi!

— Na pewno kawę, bo aż tutaj dochodzi jej wspaniały zapach. — Ada podeszła do dużego kredensu. Stały tam ładnie oprawione fotografie. Z jednej uśmiechał się chłopiec w harcerskim mundurku, a na drugiej byli chyba rodzice, bo kobieta w długiej sukni była bardzo podobna do nieznajomej, no i najładniejsze zdjęcie, przedstawiało śliczną dziewczynę z długimi warkoczami.

— Patrzcie, jaka ładna! — Ada pokazywała zdjęcie przyjaciółkom. — Zresztą i teraz nic jej...

— Jest już kawa, proszę bardzo! — nieznajoma bardzo gościnnie kręciła się koło swoich niespodziewanych gości. — Ciastka zupełnie świeże, proszę próbować.

Zapanowała chwila krępującej ciszy. Dominika miała już zacząć pytać o makulaturę, kiedy w drzwiach od kuchni pokazał się śliczny czarny kotek. Nie okazywał żadnego lęku na widok gości i ufnie wskoczył na kolana swojej pani.

— Przecież to... ON!!! — krzyknęła triumfalnie Olga i zaraz umilkła, patrząc z przerażeniem na przyjaciółki.

— Zabiję kretynkę! — mruknęła bezgłośnie Ada i uśmiechnęła się promiennie do pani domu. — Ma pani prześlizgniętego kota... Koleżanka ma też podobnego, tylko jest bury i bardzo gruby. Nazywa się Colombo.

— Właśnie — ucieszyła się Dominika. — Ja bardzo lubię koty... Są takie miłe i mądre...

— Z pewnością... — nieznajoma patrzyła z uśmiechem na całą trójkę. — Myślę jednak, że nie przyszły panie do mnie, aby opowiadać o swoim kocie. Panie przecież śledzą mnie... Prawda?

— Jak to: śledzimy... — Ada teraz szczerze żałowała, że tasak pozostał u Olgi w kuchni. — Co pani ma właściwie na myśli?

— To, co mówię! Wczoraj cały dzień, aż do północy, obserwowały panie mój dom. Najpierw pani — tu spojrzała na Adę — patrzyła na moje mieszkanie, siedząc w szoferce samochodu ciężarowego... Nawet podczas zakupów w sklepie miała mnie pani cały czas na oku. Potem pilnowała mnie druga pani, siedząc na ławeczce w ogrodzie sąsiadów, a pani... uśmiechnęła się do Olgi — nawet nie próbowała się konspirować. Spacerowała sobie spokojnie przez całe popołudnie koło mojej furtki, licząc zachłannie każdy mój ruch.

— A nie mówiłam, że to całkowity debil! — szepnęła wściekła Ada wprost w ucho Dominiki. — Ale właściwie dlaczego miałybyśmy panią śledzić? — zapytała, patrząc na nią z doskonale robionym zdziwieniem. — Pani się chyba myli!

— Nie myślę się i nawet wiem, dlaczego panie to robią — nieznajoma nadal uśmiechała się miło i swobodnie, patrząc na zdętwiałą ze zdumienia trójkę. — Nie wiem, w jaki sposób to się stało, ale jakoś doszły panie do tego, że to właśnie ja chodziłam do domu państwa Kraftów i że jestem mimowolnym sprawcą tych wszystkich śmiertelnych zejść w tym domu...

— Mimowolnym... — podchwyciła skwapliwie Dominika. — To znaczy, że pani nie..

— Nie! Zresztą kiedy wiemy wszystkie, o co chodzi, porozmawiajmy sobie szerzej na ten temat. Nie mam zamiaru niczego ukrywać, a nawet jestem rada, że będę mogła z kimś o tym porozmawiać... Tyle czasu dusiłam to w sobie! Panie wyglądają na osoby rozumne i dobre... Doparzę jeszcze kawy i zacznę snuć swoją historię. Dobrze?

— Oczywiście — Dominika z prawdziwą radością patrzyła na nieznajomą. — Ja nigdy nie mogłam uwierzyć, żeby pani mogła...

— Bardzo miło mi to usłyszeć, ale o tym potem... Zaraz

— Może lepiej nie pić tej kawy — szepnęła Olga, patrząc za znikającą w drzwiach kuchni gospodynią. — Kiedy ona wie teraz o nas wszystko, to może...

— Przecież wiedziała o tym już wtedy, gdy parzyła dla nas pierwszą kawę i jakoś żyjesz! — Ada patrzyła z politowaniem na wystraszoną Olgę. — Siedź spokojnie i ani mru-mru, bo zatłukę!

— Oto kawa — nieznajoma wchodziła do pokoju z dużym dzbankiem na tacy. — Nie wiem, jak panie, ale ja nie mogłabym żyć chyba bez tego płynu... To już jest prawdziwy nałóg.

— Zupełnie jak my! — Dominika aż skręcała się z ciekawości. — Dziękuję! To prawdziwy szatan!

— A więc zaczynam swoją opowieść... Będzie ona może trochę za długa, ale muszę cofnąć się wiele lat wstecz, żeby panie mogły wszystko właściwie zrozumieć.

— Do czasów tych fotografii? — Ada wskazała zdjęcia stojące na kredensie.

— Tak. Były robione w 1955 roku. Mój brat miał wtedy dopiero dwanaście lat, rodzice żyli, a ja nosiłam jeszcze warkocze i miałam osiemnaście lat... W tym właśnie roku, zaraz po zdaniu matury poznałam Piotra Krafta.

— To ONA!!! — krzyknęła Olga, zrywając się z miejsca, ale Ada jednym chwytem przygwoździła ją z powrotem do

— Przepraszam panią za koleżankę, jest bardzo nerwowa i miewa często różne halucynacje — powiedziała, przydeptując jednocześnie jej duży palec u nogi. — Prosimy mówić dalej... Słuchamy!

— To była miłość od pierwszego wejrzenia — westchnęła smętnie pani Zofia. — On był wspaniałym, przystojnym mężczyzną, a ja naiwną nastolatką, której bardzo łatwo można zawrócić w głowie...

— Ale że mężczyzna, wiadomo, świnia, więc trzeba się go pozbyć! — Olga znów próbowała wtrącić swoje trzy grosze, usiłując jednocześnie uwolnić nogę spod obcasa Ady. — Wcałe się pani nie dziwię!

— Jak piśniesz jeszcze jedno słówko, pamiętaj, że nie ręczę za siebie! — zasyczała Ada, po czym uśmiechnęła się w stronę speszonej nieco gospodyni. — Nie ma pani pojęcia, jak dobrze to rozumiem! Całe życie byłam zakochana i doskonale wiem co to znaczy! Czy Kraft był pani kolegą szkolnym?

— Ależ skąd! Poznałam go na basenie. Bardzo efektownie skakał z trampoliny. Zakochałam się z miejsca!

— A potem? — zapytała cicho Dominika. — Z pierwszą miłością bywają często wielkie kłopoty.

— Właśnie... — potwierdziła pani Zofia — a moja stała się wyjątkowo tragiczna w skutkach. Początkowo wszystko układało się jak najlepiej. Piotr okazywał mi wiele serca i wkrótce poprosił o moją rękę. Rodzice byli nim zachwyceni, a ja zupełnie straciłam głowę. To był najszczęśliwszy okres mojego życia!

— Czyżby zakochał się potem w innej? — zapytała Ada, która miała ogromne doświadczenie w sprawach sercowych. — Czy nie lepiej było o tym zapomnieć?

— To wyglądało całkiem inaczej... Piotr zdobył nie tylko moje serce, ale także bezgraniczne zaufanie całej rodziny. Mieszkaliśmy wtedy w Lublinie, we własnym domku, który rodzice wybudowali kosztem wielkich wyrzeczeń i ciężkiej pracy całego życia. Piotr gorąco nas namawiał, aby sprzedać dom i przenieść się po naszym ślubie do Zakopanego, gdzie, jak twierdził, trafiało się właśnie bardzo okazjne kupno ładnej willi z ogrodem, z pięknym widokiem na góry. Rodzice długo się zastanawiali, ale mój brat, który zawsze marzył o górach, nalegał tak długo, aż wreszcie wyrazili zgodę. Dom został korzystnie sprzedany, z tym że rodzice zastrzegli sobie prawo zamieszkania w nim przez okres najbliższych trzech miesięcy, to znaczy do dnia naszego ślubu i załatwienia formalności z zakupem willi w Zakopanem. Krótko przed ślubem Piotr tam pojechał, aby w imieniu rodziców dokonać wstępnej transakcji i wpłacić zaliczkę. Miał też kupić obrączki i parę kozuchów dla znajomych. Przed wyjazdem rodzice wręczyli mu książeczkę PKO, na którą była wpłacona cała suma za sprzedany dom oraz wszystkie ich oszczędności i w której to dokonali wpisu, upoważniającego Piotra do dysponowania całym wkładem...

— A gdzie ten pan wówczas pracował? — zapytała Dominika.

— W Zakopanem. Był tam zatrudniony jako ratownik w górach i instruktor jazdy na nartach. Do Lublina przyjechał na urlop, aby odwiedzić kolegę.

— Widziała może pani tego kolegę?

— Nie, bo podobno gdzieś wyjechał. Piotr postanowił na niego poczekać i przy okazji zwiedzić miasto. Wynajął więc pokój w hotelu... Wtedy właśnie poznał mnie...

— Dlaczego nie pojechał z nim ktoś z rodziny? — dziwiła się Ada. — Przecież trzeba było najpierw obejrzeć dom, porozmawiać z właścicielem i dopiero decydować!

— To wszystko mieliśmy zrobić zaraz po ślubie. Zresztą byliśmy całkiem pewni, że Piotr wszystko sam najlepiej załatwi... Ten dom w Zakopanem widzieliśmy na

zdjęciach i bardzo nam się podobał... Wtedy to wszystko wyglądało jakoś inaczej... naturalnie. Nikt nawet nie pomyślał, że...

— Że co? — Dominika ujęła serdecznie jej rękę. — On już nie wrócił... Prawda?

— Tak — szepnęła pani Zofia. — Nie wrócił.

— Jak to?! — Ada zerwała się z krzesła, o mało nie przewracając stołu. — Uciekł z pieniędzmi?!

— Przecież słyszałaś! — Olga z ogromną satysfakcją pomagała przyjaciółce zająć z powrotem miejsce. — Od początku wiedziałam, że Kraft to był podejrzany typ... Ja sama bym go...

— Uspokój się! — Dominika spojrzała ostro na koleżankę. — Przykro nam bardzo, że skłoniłyśmy panią do tak niemiłych wspomnień... Wyobrażam sobie, co przeżywała pani rodzina.

— Wolę tego szczegółowo nie wspominać — powiedziała cicho pani Zofia. — Ja na razie poszłam zaraz do pracy, dalsza rodzina pomogła nam zdobyć tymczasowe mieszkanie, bo nasz dom trzeba było opuścić... To był koszmar!

— A on nigdy nie dał znaku życia?

— Nigdy. Początkowo nawet myśleliśmy, że przydarzyło mu się coś złego... Szukaliśmy, pisaliśmy do gazet... Kamień w wodę!

— A willa w Zakopanem?... Może właśnie tam należało szukać śladu — Ada odzyskiwała już dawną werwę.

— Pojechałam, ale niczego nie znalazłam. Tego domu w ogóle tam nie było.

— A nie mogliście państwo zgłosić natychmiast w PKO o kradzieży książeczeki oszczędnościowej i w ten sposób ratować pieniądze?

— Kiedy to zrobiliśmy, było już za późno. Pieniądze zostały podjęte co do grosza... No cóż... miał przecież upoważnienie.

— Trzeba więc było jak najprędzej wyjść za mąż... Jest przecież pani taka ładna — Ada była szczerze wzruszona. — To byłoby najlepszym lekarstwem dla skrzywdzonego serca.

— Nie mogłam — pani Zofia patrzyła smutnie przed siebie. — Przecież ja go kochałam całym sercem... Jak mogłam myśleć o poślubieniu innego człowieka?

— Ależ to był oszust i złodziej! Podstępnie okradł pani rodzinę z dorobku całego życia, a panią haniebnie oszukał! — Ada zrobiła się purpurowa. — Komu chciała pani być wierna?

— Jeżeli się kocha, wierność obowiązuje w każdej sytuacji! — pani Zofia podniosła dumnie głowę. — Poza tym ciągle wierzyłam, że go jeszcze zobaczę...

— Dobrze, że nie ma tutaj Teni, bo dopiero miałyby obydwie o czym mówić — mruknęła Ada. — Jak można tak bezkrytycznie tracić głowę dla mężczyzny, który powinien do końca życia nie wytykać nosa z ciupy...

— Ja bym ich tasakiem...! — pieniała się Olga, ale groźny wzrok Dominiki ostudził jej zapał. Usiadła spokojnie i patrzyła z prawdziwym współczuciem na bladą twarz pani Zofii.

— Czy ułożyła sobie pani jakoś życie? — zapytała Dominika. — Czas leczy przecież największe rany.

— Nie było to łatwe — westchnęła pani Rudnicka — ale trzeba było żyć dalej. Dzięki serdecznej pomocy rodziny mogłam dalej się uczyć, a potem podjąć pracę zawodową. Od lat pracuję jako konserwator zabytków, miałam więc możliwość wędrowania po kraju. Jeździłam i ciągle szukałam...

— Jego? — Dominika była szczerze zdziwiona. — Pewno pani chciała pociągnąć go do odpowiedzialności!

— Wcale nie. Chciałam go tylko... zobaczyć!

— ... i odebrać forszę. Bardzo słusznie, tylko słaba nadzieja, żeby chciał oddać. — Olga płonęła z emocji. — Jak go pani znalazła?

— Zupełnie przypadkowo. Dwa lata temu przyjechałam do Torunia w jakiejś służbowej sprawie. Kupując w kiosku papierosy, koło teatru, usłyszałam, jak jedna

pani mówiła do drugiej: „dawno już nie widziałam pani, pani Kraft”... To nazwisko uderzyło we mnie jak pocisk. Obserwowałam tę kobietę przez chwilę, a następnie poszłam za nią. Trwało to długo, bo robiła ogromne zakupy...

— Zupełnie jak ja! — całkiem bezwiednie powiedziała

Dominika, ale zaraz ugryzła się w język i udala, że napadł ją atak kaszlu.

— Chodząc za nią zwiedziłam nieomal całe miasto — kontynuowała pani Zofia — a w ostatniej chwili o mało mi nie przepadła, bo niespodziewanie zatrzymała taksówkę i odjechała. Miałam jednak szczęście, bo zaraz jechała następna i była akurat wolna. Kazałam jechać za tą panią i wysiadłam w moment po niej. Wiedziałam już, gdzie mieszka, ale nie miałam żadnej pewności, czy ma to coś wspólnego z moimi poszukiwaniami. Zaczęłam ostrożnie obserwować dom i nagle usłyszałam w ogrodzie jego głos... Chociaż minęło już tyle lat — poznałam go natychmiast! Nie potrzebowałam już dłużej szukać.

— I co pani wtedy zrobiła? — Dominika z zapartym tchem wpatrywała się w posępną twarz pani Zofii.

— Wtedy musiałam wracać, ale bardzo szybko postarałam się o bezpłatny roczny urlop. Wysłałam też ogłoszenie do gazety toruńskiej, że szukam mieszkania na okres jednego roku. Odkładałam na ten cel pieniądze przez wiele lat, nie było więc z tym kłopotu. Dostałam z Torunia parę ofert, między innymi zgłosili się właściciele tego domu... Odpisałam natychmiast, że reflektuję i posłałam sporą zaliczkę. Po kilku dniach byłam już tutaj.

— A kot? — Ada była purpurowa z emocji. — Czy jego też pani przywiozła?

— Tak. To jest potomek naszej ukochanej kotki Szarusi, jeszcze z czasów, kiedy byliśmy... wszyscy... razem... Teraz wzięłam go ze sobą, żeby nie być całkiem samotną w obcym domu. To bardzo kochany kotek i jest do mnie ogromnie przywiązany.

— No i co było dalej?! — Ada kręciła się nerwowo na krześle. — Czy długo czekała pani na spotkanie z tym łajdakiem?

— Ooo, bardzo długo! Musiałam najpierw zobaczyć go z bliska... Parę tygodni czekałam na taką okazję. Początkowo nie wiedziałam, jak to zorganizować, aż przyszedł mi do głowy prosty pomysł. Zapiisałam się do tej samej biblioteki, do której chodziła często jego żona. Któregoś popołudnia, mając pewność, że obydwie panie wyszły z domu, nacisnęłam dzwonek zainstalowany na furtce, która była zawsze zamknięta na klucz. Po dłuższej chwili z mieszkania wyszedł jakiś mężczyzna, podszedł do furtki i zapytał przez płot, czego sobie życzę. Podałam mu książkę i powiedziałam, że żona zapomniała zabrać ją z biblioteki. Mruknął coś pod nosem, niby niewyraźne podziękowanie, a ja przez ten czas patrzyłam w twarz człowieka, którego kochałam przez całe życie wielką i jakże... żalną miłością. Nareszcie go znalazłam!

— Czy był podobny?... Przecież minęło tyle lat — zapytała wzruszona Dominika. — Miała pani całkowitą pewność, że to on?

— Oczywiście! Wprawdzie bardzo się zmienił: utył, wyłysiał, ale oczy, sposób patrzenia, no i sam głos — pozostały bez zmian.

— Nie poznał pani?

— W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Był jakby zaspany i zły... Chyba przerwałam mu popołudniową drzemkę.

— Ale dlaczego nie zmienił nazwiska? — dziwiła się Ada. — To było bardzo nierozważne z jego strony.

— Widocznie uważał, że dostatecznie zatarł ślad.

— I nie tylko ten jeden — Dominika z prawdziwym współczuciem patrzyła na panią Zofię. — Jestem pewna, że pani dramat nie był jedynym wyczynem w życiu tego pana. Założę się, że w ten sam sposób oszukał on wiele dziewcząt, a kiedy zmęczył się już takim przestępczym i — co tu ukrywać — niebezpiecznym stylem życia, ożenił się z zamożną i cichą kobietą. Potem żył sobie wygodnie, hodując kwiatki, i nikomu nie przyszło do głowy, że w tym przytulnym domku mieszka podły oszust matrymo-

niałny... To był naprawdę wstrętny typ!

— Ale jaki przy tym uroczy... — pani Zofia miała łzy w oczach. — Gdyby go panie znały...

— Już my potrafiłybyśmy wystawić mu właściwy rachunek za pani krzywdę!... Ja mam w domu duży tasak do mięsa i...

— Opamiętaj się! — przerwała Ada te niewczesne pogrożki. — Niech się pani nie dziwi koleżance, niedawno ktoś nabił jej guza i dlatego tak bredzi. Proszę opowiadać dalej. Jak dostała się pani do jego mieszkania?

— O tym na razie nie mogłam marzyć, bo w ogrodzie biegał pies i każde moje zbliżenie sygnalizował głośnym ujadaniem. Musiałam go trochę oswoić.

— Ale właściwie po co pani chciała zobaczyć Piotra Krafta — zapytała niespokojnie Dominika, która bardzo nie chciała, aby ta sympatyczna pani okazała się morderczynią. — Czy nie lepiej było raczej starać się zapomnieć, skoro nie zamierzała pani wnosić przeciw niemu oskarżenia?

— Chciałam, ale nie mogłam... Wiedziałam, że dopóki go nie znajdę, nie zaznam spokoju... To było silniejsze ode mnie. Spróbujcie mnie zrozumieć!

— Ja na pani miejscu nie bawiłabym się w takie ceregiele — Ada wymownie wzruszyła ramionami. — Po co było oswajać psa i czekać miesiącami, aby móc potajemnie zobaczyć tego starego oszusta? Trzeba było pójść do dobrego fryzjera, potem do kosmetyczki, następnie włożyć najlepsze ciuchy i pewnego popołudnia zadzwonić do willi państwa Kraftów. Przedstawić się pani domu jako dawna ukochana narzeczona jej małżonka, a potem Piotra przywitać w stylu: „Jak się masz, kochanie?... Mizernie wyglądasz... czy aby zdrowie w porządku? Dobrze, że cię znów widzę, bo chyba należy mi się od ciebie parę złotych” i tak dalej... To byłaby prawdziwa bomba i zemsta na właściwym poziomie. Zona dałaby mu w kość, a on zobaczyłby na własne oczy — co stracił!... Co pani o tym sądzi?

— Tak zrobiłaby na pewno kobieta, którą roznosiłaby chęć zemsty, ale ja chciałam naprawdę tylko go zobaczyć, usłyszeć, popatrzeć, jak żyje... Porozmawiać... To wszystko.

— Niech połknę żabą, jeżeli miłość nie jest czymś wybitnie ogłupiającym — mruknęła pod nosem Ada. — Dotąd myślałam, że tylko Tenia uległa temu bakcylovi, ale widzę, że są i dalsze groźne przypadki... No i jak działała pani dalej? — zapytała z ciekawością. — Podejrzewam, że oswojenie Kapcia nie było łatwe.

— Zgadła pani! — skinęła głową pani Zofia. — Całymi miesiącami podawałam mu przez płót różne smakowite kaski i po pewnym czasie zaczął je chętnie przyjmować, ale mimo to nie przestawał na mnie szczeleć. Obserwowałam więc przez żywopłót, jak Piotr podlewa kwiatki, odpoczywa na ławce, czyta... To były dla mnie cudowne chwile! Tyle długich lat tęskniłam za nim i oto teraz los podarował mi łaskę oglądania go codziennie...

Urwała nagle i wielkie łzy ukazały się w jej oczach.

— Czy długo doświadczała pani tej łaski? — Ada była wściekła. — Trzeba przyznać, że drogo pani za nią zapłaciła... Za te pieniądze można było zafundować sobie piękną podróż dookoła świata... Nie pojmę tego nigdy w życiu!

— Ot, durna! — Olga zabrała raptem głos. — Toż ona była zakochana, to i każda głupota była tam mądra! Daj jej spokój... Niech mówi dalej.

— Cieszę się, że pani mnie rozumie — pani Zofia uśmiechnęła się w jej stronę. — Piotr był dla mnie wszystkim i nigdy nie potrafiłam. uwolnić się od niego... Kochać kogoś to jednak wielkie szczęście...

I dopiero teraz rozpląkała się jak dziecko.

Przyjaciółki nie wiedziały, co zrobić. Dominika popędziła do kuchni nastawić wodę na nową porcję kawy, Olga buczała na cały głos, a Ada, korzystając z przerwy w dyskusji, poprawiała w lustrze swój seledynowy turban. Po chwili wszystko wróciło do normy, Dominika przyniosła z kuchni dobrą, mocną herbatę (nie mogła znaleźć kawy), Ada zdjęła po namyśle turban i przyczesła gładko włosy. a pani Zofia

uspokoila się i popijając herbatą ciągnęła dalej swoją opowieść:

— Czas płynął wartko. Minęła jesień i zima, a ja codziennie chodziłam pod dom Piotra... Znałam już dokładnie jego obecne życie i bardzo serdecznie mu współczułam... On był jednak bardzo biedny!

— Co takiego? — przyjaciółkom jak na komendę zaokrągliły się oczy. — Dlaczego?!

— To bardzo proste. Pamiętam przecież, jaki to był silny, zdrowy i wysportowany mężczyzna. Doskonale pływał, grał w tenisa, znakomicie jeździł na nartach... A teraz? Widziałam go przygarbionego, z przygasłym wzrokiem, chorego... Przecież wystarczyło małe wzruszenie, aby umarł. To straszne! I pomyśleć, że to ja byłam temu winna, ja, która go tak zawsze kochałam! Po co tam poszłam! Przecież on mógłby żyć do dzisiaj... To przeze mnie, tylko przeze mnie... ach!

— Niech pani nie płacze — Dominika znów ujęła jej rękę. — Proszę już więcej nie opowiadać, to zbyt dla pani bolesne. No, cicho... cicho!

— Ale ja chcę opowiedzieć wszystko do końca... Może znajdę w tym ulgę. Proszę...

— No, więc słuchamy! — Ada znów kręciła się na krześle. — Zdecydowała się pani na rozmowę z nim... Tak?

— Tak. Kończył się czas mojego urlopu i musiałam wracać do Lublina. Po długim namyśle postanowiłam z nim porozmawiać. Chciałam mu powiedzieć, że przebaczyłam i nie żywię w sercu żadnej urazy... To mogło być dla niego ważne i cenne. Tak myślałam.

— A jak udało się pani to zorganizować?

— Nie chciałam, aby ktoś z domowników dowiedział się o moim istnieniu. Nie miałam prawa wnosić nieporozumień do jego ułożonego i spokojnego życia... Ta rozmowa miała być pożegnaniem z jedyną miłością mego życia...

— Szlag mnie trafi, jak amen w pacierzu! — zaczęła groźnie Ada, ale Dominika dała jej znak, aby siedziała cicho. Pani Zofia po chwili ciągnęła dalej:

— Próbowałam kilka razy podejść do żywopłotu, gdzie uprzednio zrobiłam w siatce dość duży otwór, ale pies atakował mnie zawsze szczekaniem, musiałam więc odejść. Myślałam już, że nigdy nie uda mi się z nim porozmawiać, ale pewnego dnia psa wcale nie było słyhać. Obchodziłam kilka razy cały ogród, ale Kapcia nie było nigdzie. Pomyślałam wtedy, że na pewno siedzi w mieszkaniu i jest to dla mnie jedyna okazja. Cichutko weszłam do ogrodu i wtedy go... spostrzegłam. Siedział na ławce, tuż pod żywopłotem i palił papierosa. Podeszłam do niego, ale on widocznie myślał, że to ktoś z domowników, bo nie podnosząc głowy burknął, że chce być sam i żebym sobie poszła. Ja stałam nadal i to go chyba trochę zdziwiło, chociaż niczego jeszcze nie podejrzewał. Zapytałam go wtedy, czy mnie poznaje... Zerwał się, jakby chciał uciekać, ale ja podeszłam bliżej i stanęłam tuż przed nim tak, że nie mógł odejść... Światło kołyszącej się latarni ulicznej padało mi na twarz i w pewnym momencie mnie poznał... Zawsze marzyłam o tej chwili i wyobrażałam sobie, że ucieszy się, może porwie w ramiona... Ale tak się nie stało... Był strasznie przerażony i trząsł się jak galareta. Myślał zapewne, że przyszłam, aby się zemścić, co w tej sytuacji nie było wcale trudne. Błagał mnie, aby zostawić go w spokoju i nawet wspomniał coś o jakimś złocie... To było wstrętne!... Ani jednego słowa skruchy z powodu wyrządzonej mi krzywdy, ani cienia radości, że mnie widzi... ani jednego słowa miłości...

— Niech pani nie płacze — powiedziała Dominika. — Równie dobrze mogła pani oczekiwać od wilka, aby pokochał owcę...

— ... albo żeby wieprz zagrał na skrzypcach — Olga zdobyła się na kwieciste porównanie. — To było przecież do przewidzenia.

— Ale ja prawie trzydzieści lat czekałam na to spotkanie — wyszochała pani Zofia. — Czy nie zasłużyłam na jakiś ludzki odruch, płynący z serca?... Przecież niczego więcej nie chciałam!

— I jak rozstaliście się? — Ada miała twarde błyski w oczach. — Chyba powiedziała mu pani wreszcie, co należało!

— Cóż mogłam powiedzieć w takiej sytuacji?... On trzął się ze strachu, a ja nie mogłam nawet dojść do słowa. Rozplakałam się i odeszłam, żalując gorzko, że w ogóle doszło do tego spotkania... Przecież ono zabrało mi złudzenie, że mogło być inaczej... Ale los zgotował mi jeszcze większą gorycz. On umarł tego samego dnia... Tak bardzo przeraził się moim widokiem, że umarł na zawał... Przeze mnie!

— Nawet w tym samym miejscu go znaleziono — wtrąciła Dominika. — Widocznie był jednak chory na serce.

— Kiedy odchodziłam — jeszcze żył... Może gdybym została...

— Nie ma czego żałować... Stało się i basta! — Ada miała już wyraźnie dość łązawych wspomnień o Krafcie. — Sprawiedliwości stało się zadość i nie trzeba więcej do tego wracać. A czy pani wie, co się stało z Kapciem?

— Nie... Czyżby gdzieś zginął?

— Został otruty — powiedziała Dominika — i dlatego nie czekał tego wieczoru, kiedy pani weszła do ogrodu.

— Ale ja mu wtedy niczego nie dawałam do jedzenia. Po prostu go nigdzie nie było.

— Otruto go dzień przed śmiercią pana Krafta... Czy pani nie widziała nikogo w pobliżu ich domu?

— Nie zwracałam na to uwagi... Byłam taka roztrzęsiona i...

— Naturalnie... Ale komuś jednak zależało, żeby psa usunąć... Ciekawe!

— Pal licha Kapcia, mnie bardziej interesuje sprawa samobójstwa pani Kraftowej — powiedziała Ada, kręcąc się niecierpliwie na krześle. — Było ono dla nas trochę niezrozumiałe.

— Tak! — westchnęła pani Zofia. — To ja przyczyniłam się chyba niechcący do jej śmierci, chociaż — Bóg mi świadkiem — chciałam jej tylko pomóc... Widziałam, jak bardzo rozpacziała na pogrzebie męża. Współczułam jej i postanowiłam pójść do niej i spróbować trochę pocieszyć... Poszłam do niej wieczorem. Przyjęła mnie bardzo miło. Siedziałyśmy długo na werandzie, a ja, sama nie wiem dlaczego, opowiedziałam jej historię mojej dawnej miłości do Piotra, pomijając oczywiście fakt zagarnięcia pieniędzy i naszego spotkania w dniu jego śmierci... Może chciałam jeszcze raz z kimś porozmawiać o nim, wspominając tylko najlepsze momenty naszej miłości... Przyjęła to naturalnie, prosiła nawet, abym ją jeszcze odwiedziła, kiedy przyjadę do Torunia. Odprowadziła mnie do furki i była całkiem spokojna... Widocznie znów popełniłam błąd i niepotrzebnie tam poszłam... Pojęcia nie mam, dlaczego zaraz potem chciała umrzeć... Coś musiało spowodować załamanie... To także leży mi wielkim ciężarem na sercu! Śmierć szła dwukrotnie po moich śladach... Dlaczego?!

— Przypuszczam jednak, że powodem kryzysu nie była rozmowa z panią. Nie powinna pani obciążać się żadną winą... Tu na pewno podziałało coś innego — powiedziała zamyślona Dominika. — A czy pani wie, że siostra pani Kraftowej leży w szpitalu? Jest bardzo chora.

— Co pani mówi! Nic o tym nie wiem. Ja chodzę teraz codziennie na... cmentarz — tu zająknęła się, zmieszana — ale do domu Piotra już więcej nie zaglądałam. Byłam tylko na pogrzebie jego żony... Strasznie to przeżywałam! Jak czuje się ta pani?

— Ma na imię Klara — powiedziała Ada — i jest bardzo miła. Ciężko przeżywa śmierć najbliższych, a do tego doszła jeszcze choroba.

— Nie tylko — wtrąciła Dominika. — Ona jest przekonana, że ktoś poluje na złoto szwagra i przyczynił się perfidnie do śmierci obojga... A teraz jej chce się pozbyć... Biedna!

— Jakie złoto? — pani Zofia zdziwiła się : Nic z tego nie rozumiem. Piotr wprawdzie coś wspominał o złocie...

— Czy może pani powtórzyć dokładnie, co mówił? — przerwała jej Dominika. — Przepraszam, ale to jest niezmiernie ważne!

— Postaram się... Powiedział chyba tak: „dam ci złota kosztowności, ile chcesz, tylko nie niszczyć mojego spokojnego życia”... Nie zwróciłam wtedy na te słowa żadnej uwagi.

— A jednak to była prawda. Trzymał w skrytce całą kupę złota i różnej biżuterii. Naprawdę duży skarb.

— Wprost trudno uwierzyć. Skąd mógł wziąć taką ilość złota! Czy aby nie są to tylko domysły?

— Widziałyśmy ten złoty kram na własne oczy! — zapewniła ją Ada. — Ale czy naprawdę nie domyśla się pani, w jaki sposób Kraft go zdobył? Niech pani chwilę rozsądnie pomyśli... Prawda jest widoczna jak na dłoni!

— Pani myśli, że on...

— Właśnie! Pani też umie logicznie myśleć, kiedy wyłączy ten okropny sentymentalizm... Mam wielki szacunek dla każdej prawdziwej miłości, ale musi ona mieć przy tym wielkie uszy i oczy. Proszę mi wybaczyć moją brutalną szczerość, ale w tej sytuacji jest ona pani bardziej potrzebna, niż głupia delikatność — a więc, między innymi, to i za pani pieniądze nabywał ten figlarny i muskularny Piotruś owo złoto, które potem chomikował skrzętnie, przeznaczając je wyłącznie na swoje przyjemności. Robiłby to chyba do końca życia, ale serduszko nawaliło i trzeba było odpocząć i tak ułożyć sobie życie, aby dalej nic nie robić... Gdybym go dostała w swoje ręce!! No, ale naiwnych kobiet nie brakuje, więc potem codzienne potrzeby zapewniała mu żona, też za bardzo nafaszerowana sentymentalizmem, a on przycinał róże i ucinał sobie popołudniowe drzemki... Do licha... jeżeli w tym wszystkim jest odrobina rozsądku, niech Tomasz jeszcze dziś porąbie moje ukochane starocie... i niech mnie...

I po raz pierwszy w życiu Adzie zabrakło słów.

— Proszę wybaczyć koleżance, ale to wszystko szczerą prawdą — powiedziała Dominika, serdecznie obejmując pobladałą panią Zofię. — Niech pani się postara zapomnieć wreszcie o tej historii i zacznie życie od nowa. A czy nie chciałaby pani odwiedzić Klary w szpitalu? Proszę opowiedzieć jej szczerze o wszystkim. Może to jej jakoś pomoże, kiedy spojrzy inaczej na tragedię swoich najbliższych. Dobrze?

— Oczywiście, bardzo chętnie, zrobię to jutro przedpołudniem, bo wieczorem już wyjeżdżam. Moi gospodarze wracają jutro w nocy i chcę, żeby zastali dom wyłącznie dla siebie. Zresztą... bardzo chcę wyjechać!

— Wcale pani się nie dziwię. Jestem pewna, że teraz życie ułoży się pani całkiem inaczej... Życzę tego z całego serca! — Dominika ucałowała mocno panią Rudnicką. — A dokąd pani jedzie?

— Do Lublina. Mam tam mieszkanie, pracę, przyjaciół. Czas wracać!

— Czy ulżyło pani po tym... wszystkim? — zapytała serdecznie Ada.

— Czy ja wiem... Może tak, ale... gnębią mnie straszne wyrzuty sumienia, że to przeze mnie...

— Znów pani zaczyna? Zupełnie nieuleczalna! Pani chyba cierpi na kompleks winy. Trzeba się go pozbyć jak najprędzej!

— Postaram się. A gdzie spotkamy się jutro?

— Przyjdę po panią o dziewiątej — obiecywała Ada.

— Ale pozwoli pani odprowadzić się na dworzec? — zapytała Dominika. — Pomachamy pani chusteczkami na pożegnanie.

— Wiem, że panie chcą mi zrobić przyjemność, ale muszę za to podziękować. Chcę wyjeżdżać sama, zagubiona w bezimiennym tłumie... Jak tylko trochę przyjdę do siebie, napiszę. Obiecuję! Proszę mi zostawić adresy.

— Dobrze, ale teraz trzeba się pożegnać. Jutro pani wyjeżdża i będzie jeszcze robota z pakowaniem — powiedziała Dominika, wstając od stołu.

— Jest tego niewiele, ale rzeczywiście zrobiło się późno... Mam jeszcze jedno pytanie.

— Tak... — Dominika domyśliła się, o co chodzi i przysunęła się szybko do Olgi.

— Proszę, słuchamy panią!

— W jaki sposób dowiedziałyście się panie o mojej historii?... Przecież z nikim tutaj nie rozmawiałam. Teraz naprawdę jestem rada, żeście do mnie przyszły i mogłyśmy sobie o tym wszystkim porozmawiać, ale po prostu jestem ciekawa, jak to się stało?

— Kiedyś opowiemy szczegółowo, ale teraz... Widzi pani... jedna z nas mieszka naprzeciw domu państwa Krafców i lubi siedzieć wieczorem w otwartym oknie... Czasem coś zauważy...

— Rozumiem i do widzenia. Teraz, kiedy panie wiedzą już wszystko, proszę mnie osądzić, jak na to zasłużyłam. Cieszę się, że was poznałam, żałuję tylko, że w takich przykrych okolicznościach.

— Nie szkodzi! Życie jest przed nami i różnie może się jeszcze zdarzyć. Dobranoc i do jutra!

Przyjaciółki wyszły z małego domku i podążyły szybko w stronę przystanku tramwajowego.

— Dlaczego nie powiedziałaś jej o kocie? — dziwiła się Olga. — Przecież to właśnie on zaprowadził nas na właściwy trop... Nigdy was nie potrafię zrozumieć!

— Czyżbyś naprawdę nie wiedziała, że skarżyć jest bardzo brzydko? — Dominika spojrzała przekornie na przyjaciółkę. — Przecież ona bardzo lubi swego kota, po co więc ma wiedzieć, że to on ją zdradził. Byłoby jej co najmniej przykro... Rozumiesz?

— Chyba tak... — przyznała Olga po namyśle. — Masz rację!

— Szkoda tylko, że nie wystąpiłaś z tym swoim tasakiem do mięsa — Ada była niemilościerna. — Pasowałby tam jak ulał!

— Daj spokój... Wyglupiłam się, ale skąd mogłam wiedzieć, że...

— Dlatego słuchaj, jak dobrze ci się radzi! Oooo, jest już trójka. Pal... Do jutra!

Po chwili Olga wracała sama do domu. Nie mogła wprost uwierzyć, że kocia sprawa jest już chwalebnie zakończona. — A jednak miałam rację, że ten kot był zwiastunem wszystkich nieszczęść... a one nie chciały uwierzyć. Tylko z tym tasakiem przesadziłam... Głupio wyszło — wzdychała, mocując się z opornym zamkiem u drzwi. — Może jednak nie będą mi tego wypominać do końca życia — westchnęła z całego serca.

W domu pokręciła się trochę po mieszkaniu, a potem usiadła w szeroko otwartym oknie. — Cisza, jak wtedy, a przecież minęło już tyle czasu!... Ja bym tego Krafta udusiła własnymi rękami!... Taki drań!... Biedna Zofia, ale może i jej życie się odmieni... — myślała, czując narastającą senność.

Oparła głowę na parapecie okna i nawet nie wiedziała, kiedy usnęła. Dopiero, kiedy plecy jej ścięły i zrobiło się chłodno — podniosła ociężałą głowę. — Ale jestem zmęczona!... Nic dziwnego, tyle wzruszeń naraz!

Pomaszerowała do łóżka.

Dominika całą noc wierciła się na tapczanie. Nie mogła usnąć. Czarny kot nie doprowadził, wbrew nadziejom, do wyjaśnienia przyczyn tragedii w domu Kraftów, co dodatkowo sprawę komplikowało. Pozostało wiele pytań bez odpowiedzi. — Czy to jest możliwe — myślała z powątpiewaniem — żeby Zofia skradała się w nocy, aby wrzucić płonący sznurek przez okno?... Albo żeby wskakiwała Jackowi na plecy i usiłowała go pobić... Nonsens!... To musiał być ktoś inny... Ale w takim razie trzeba wszystko zaczynać od początku... Co powiedzą jej przyjaciółki? One są pewne, że sprawa czarnego kota jest już ostatecznie wyjaśniona... A kapitan? — ciarki przeszły jej po plecach. — To jest nauczka, że śledztwo nie jest zajęciem dla głupich bab!... Ale proszę... kapitan twierdził uparcie, że idą dobrym tropem... Guzik! I on się mylił!... Mała pociecha, ale zawsze to lepsze, niż kompletna kompromitacja... Tyle pracy i wysiłku na nie! Co dalej robić?... Co robić?!!

Tej nocy wcale nie spała.

Rozdział XVI

Na oddziale wewnętrznym skończyła się właśnie wizyta lekarska. W separacie numer pięć zakotłowało się trochę, bo sąsiadka Klary została wypisana i pakowała dość pokaźną torbę, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania.

— Co będzie teraz z panią? — martwiła się szczerze. — Na pewno dadzą teraz jakąś inną chorą, ale czy...

— To nieważne! — Klara z prawdziwą sympatią patrzyła na swoją dotychczasową towarzyszkę niedoli. — Nigdy nie zapomnę pani jej serca i pomocy. Proszę o mnie w przyszłości nie zapominać!

— Przrzekam! Lekarz mówił, że pani już niedługo też będzie wypisana, więc głowa do góry!

— Wcale nie mam ochoty wracać do domu... Nie lubię go i boję się myśleć o powrocie. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek mogła być tam szczęśliwa...

Wtem drzwi się uchyliły i ukazała się jasna główka Ady.

— Można? — zapytała. — Czy już po wizycie?

— Tak, proszę wejść! — pani Wanda ucieszyła się na widok gościa. — Dobrze że pani przyszła, bo ja jestem już wypisana i pani Klara zostaje sama.

— Szkoda! — Ada serdecznie witała obie panie. — Ale ja mam jeszcze jedną, wielką prośbę.

— Proszę bardzo, ja zawsze chętnie...

— Wiem. Proszę więc panią do świetlicy na małą rozmowę, a do Klary przyjdzie teraz z wizytą jedna pani... Czy zgoda?

— Jestem już spakowana, możemy więc iść.

— Kogo mi przyprowadziłaś? — Klara usiadła na łóżku. — Czy to któraś z naszych?

— Nie, ale nie mniej miła i godna twojego zaufania. To będzie ciekawa rozmowa. Tylko proszę cię, przyjmuj wszystko naturalnie i nie przejmuj się niczym. Wszystko jest już w porządku i nikt nie zakłóci twojego spokoju... Pa! Będę obok!

Wyszły obydwie na korytarz. Koło drzwi stała pani Zofia i na znak Ady weszła do separatki. Pani Wanda zaprowadziła gościa do szpitalnej świetlicy, gdzie usadowiły się w wygodnych fotelach.

— Czy pani wie, jaką wspaniałą szafę odkryłam niedawno? — Ada podjęła skwapliwie swój ulubiony temat. — Mówię pani — starość, palce lizać!

— Uwielbiam starość! — ucieszyła się pani Wanda. — Czy może mi pani powiedzieć, gdzie mogłabym dostać starą wygodną kanapę, z prawdziwą trawą morską?

Dyskusja potoczyła się gładko i chociaż upłynęła już dawno ustalona godzina, panie w najlepsze rozmawiały i zapomniały o całym świecie. Kiedy Ada opisywała właśnie swoje białe łoże z baldachimem z osiemnastego wieku, pani Zofia stanęła w drzwiach świetlicy.

— Już? — Ada zerwała się z miejsca. — No, to do widzenia, pani Wando! Czekam na panią u siebie. Dziękuję serdecznie za wszystko!

Wyszły na korytarz i Ada skierowała się w stronę separatki Klary, ale pani Zofia chwyciła ją za rękę.

— Niech pani teraz tam nie idzie. Ona jest trochę wzburzona i najlepiej będzie, jeżeli zostanie sama.

— Dobrze, ale pani Wanda zaraz tam wejdzie.

— Trzeba jej powiedzieć, żeby nie wchodziła. Chyba to

— Ale czy Klara może być sama? Może lepiej...

— Czuj się zupełnie dobrze, tylko ma trochę spraw do przemyślenia. Pierwsze wrażenie zawsze jest mocne. Ta rozmowa była jej naprawdę bardzo potrzebna.

Kiedy zjechały windą na dół i wyszły za bramę szpitalną, zobaczyły Dominikę i Olgę, czekające z ogromnymi bukietami róż w rękach.

— To dla pani, Zofio! — Dominika ucałowała ją serdecznie. — Nigdy pani nie zapomnimy i będziemy sercem przy pani. Proszę, to są nasze adresy i sprawi nam pani radość, jeżeli zechce z nich skorzystać, a kwiatki są dowodem szczerzej sympatii...

Kwiaty śmiały się żywymi kolorami i pani Zofia ledwo objęła rękami ogromny bukiet.

— Tutaj was pożegnam — powiedziała, patrząc ze wzruszeniem na przyjazne twarze. — Mam jeszcze przed odjazdem parę spraw do załatwienia. Bądźcie zdrowe i wybaczcie, że wniosłam tu tyle zamieszania. Teraz wiem, że nie powinnam tego robić... Nigdy nie trzeba gonić za uciekającą miłością... Szkoda że wcześniej tego nie wiedziałam. Człowiek ciągle uczy się życia... Wybaczcie i do widzenia!

Zatrzymała nadjeżdżającą taksówkę i odjechała, a przyjaciółki patrzyły długo za znikającym samochodem.

— Teraz, kiedy Klara zna całą prawdę, nie ma problemu z jej powrotem do domu. Jak to dobrze, że dobrnęliśmy jakoś do końca sprawy — cieszyła się Ada, kiedy szły wyciągniętym krokiem w stronę przystanku autobusowego. — Kapitan może się uczyć u nas logicznego myślenia i szybkich rozwiązań. Oko mu zbieleje, kiedy się dowie, że sprawa tajemniczych zgonów w willi Kraftów jest już zakończona.

— O tym jeszcze porozmawiamy, ale trzeba przyznać, że wobec kapitana nie jesteśmy w porządku! — przypomniała Dominika. — Obiecywałyśmy być z nim szczerze, a tymczasem...

— Co? — Olgę aż zatkało z wrażenia. — Chciałabyś wydać Zofię?... Bardzo wątpię, czy potraktowałby tę sprawę tak jak my! Milicja ma nos nieustannie wetknięty w kodeks karny i węszy wszędzie przestępstwa!

— Dzisiaj Zofia wyjeżdża, jutro więc możemy mu już powiedzieć całą prawdę. Nie przyznamy się, oczywiście, że mamy jej nazwisko i adres, a bez tego nigdy jej nie znajdzie.

— Nie doceniacie kapitana! Kiedy już złapie trop...

— Trop złapałyśmy my, nie on! — przypomniała Ada z satysfakcją. — Proponuję, aby mówiąc o Zofii, opisać ją jako jasną blondynkę o obfitych kształtach, dużym biuście i fascynującym uroku. Imię też trzeba zmienić.

— Widzę, że chcesz mu podsunąć perfidnie swój rysopis. — Dominika śmiała się z miny Ady. — Ale bez żartów! Dzisiaj przyjdźcie do mnie na całe popołudnie. Trzeba uczcić rozwiązanie tajemnicy czarnego kota, znajdą się też inne, ważne sprawy do omówienia.

— Tylko bez babki włoskiej! — błagała Ada. — Po tej ostatniej mdli mnie jeszcze do dzisiaj.

— Dobrze! Proponuję: śledzie, wędzone ryby i ser... Uwaga! Nadjeżdża jedenastka!

Przyjęcie u Dominiki rozkręcało się właśnie w najlepsze, kiedy zadzwonił telefon.

— Może to dzwoni Zofia z dworca — Dominika chwyciła słuchawkę, połykając w pośpiechu resztę kanapki ze śledziem. — Słucham!

— Cieszę się, że zastałem panią w domu — głos kapitana był miły, jak zwykle. — Czy pani pozwoli, że złożę jej swoje uszanowanie. Dużo czasu nie zabiorę, przyrzekam!

— O...czy...wiście... — Dominika patrzyła przerażonym wzrokiem na Olgę i Adę. — Ale czy nie lepiej odłożyć to do jutra? Jest już późno, no i mam właśnie... gości...

— Nie szkodzi! Z prawdziwą przyjemnością zobaczę również pani przyjaciółki. Przecież są to moje dzielne współpracownice. A więc zgoda?

— No cóż... zgoda... — w głosie Dominiki nie było ani cienia entuzjazmu. — Kiedy pana się spodziewać?

— Zaraz będę. Ale chwileczkę... Mogę zdradzić pani małą tajemnicę służbową: otóż dzisiaj po południu zatrzymaliśmy panią Zofię Rudnicką.

— Co?... Jak?!... Halo!! Halo!

Ale kapitan już odłożył słuchawkę.

— Zofia aresztowana! — Dominika była blada jak ściana. — Ten wasz przystojny kapitan zatrzymał ją dzisiaj po południu.

— Jak? Gdzie?! — przyjaciółki patrzyły osłupiałe na milczący już telefon. — Może się przesłyszałaś?

— Skąd! Przecież powiedział wyraźnie jej imię i nazwisko!

— A nie mówiłam, że milicja to tępaki, nie wnikające w ludzkie motywy i odczucia! To są bezmyślne automaty z zakodowanymi w głowie paragrafami!... Co robić?!

— On tu zaraz przyjedzie, może więc czegoś się dowiemy.

— Ja mu pokażę! — Ada płonęła oburzeniem. — Niech go tylko dorwę w swoje ręce!

— Trzeba zachować idealny spokój, bo inaczej możemy jej tylko zaszkodzić! — mitygowała Dominika. — Błagam was: bądźcie grzeczne i miłe, i ani słówka, że ją w ogóle znamy! Pamiętajcie!

— Dobrze, ale kiedy zaczniesz opowiadać, jak ją prowadzili w kajdanach do ciemnego lochu, nie wytrzymam! — płakała rozpaczliwie Olga. — Żeby go wszyscy...

Rozległ się szum nadjeżdżającego samochodu i dzwonek głosił nadejście

zapowiedzianego gościa. Dominika pobiegła do drzwi.

— Proszę, niech pan wejdzie — witała gościa uśmiechem, który kosztował ją wiele wysiłku.

— Witam śliczne koleżanki! — kapitan, ze zwykłą galanterią, uśmiechał się do wszystkich pań, których miny mogły wypłoszyć najbardziej odważnego. — Czy są może dla mnie jakieś nowe i ciekawe wiadomości?

— Owszem, mamy! — wycedziła Ada przez zęby, patrząc przy tym tak, jakby nie przystojnego mężczyznę miała przed nosem, lecz najbardziej obrzydliwą ropuchę. — Ale pan też ma ciekawe wieści... Wspomniał pan przez telefon, że aresztował jakąś Zofię... nie pamiętam nazwiska...

— Panią Zofię Rudnicką — uzupełnił kapitan, nie przestając się uśmiechać.

— Właśnie! I widzę, że jest pan z siebie niezmiernie zadowolony! My wprawdzie nie znamy w ogóle tej pani, ale jesteśmy ciekawe, jaką też zbrodnię popełniła?... Jak można aresztować niewinną i porządną kobietę?! Jak pan mógł?!... i w ogóle...

Tu urwała, bo zauważyła, że Dominika daje jej rozpaczliwe znaki.

— To niezmiernie szlachetne z pani strony — kapitan kpił sobie wyraźnie — że nawet nie znając tej osoby, staje pani tak zdecydowanie w jej obronie. Wydaje mi się to trochę dziwne, gdyż odwrotnie, pani Rudnicka nie ukrywała przede mną znajomości z paniami i nawet prosiła, abym w jej imieniu przekazał im serdeczne pozdrowienia.

— Biedna Zofia! Ona nawet w więzieniu o nas nie zapomina! A dał jej pan chociaż garść słomy, aby miała na czym położyć głowę? — Tu Olga podniosła na kapitana zalane łzami oczy. — Może pan pozwoli zanieść jej ciepły sweter?

— I malutki jasek pod głowę! — błagała Dominika.

— Mam niedużą leciutką pierzynkę... Nawet nikt jej nie zauważy w tym ciemny lochu — Ada ocierała oczy. — Przecież może pan to dla nas zrobić!!

— Nic nie rozumiem! — kapitan podniósł ręce na znak, że się poddaje. — Jakie więzienie i jakie znów ciemne lochy?... Wiem, że panie mają bogatą wyobraźnię, ale odnotowuję jednocześnie całkowity jej brak, gdy chodzi o sposób naszego postępowania. Pani Rudnicka siedzi teraz wygodnie w pociągu ekspresowym, podążającym w kierunku Warszawy i jedynym jej zmartwieniem jest obawa, ozy ekspres przyjedzie punktualnie do Warszawy, bo jeżeli się spóźni, to ona nie zdąży na pociąg lubelski. Odwoziłem ją osobiście na dworzec i podałem do przedziału walizkę i koszyczek... z żywą zawartością. Sądzę, że panie wiedzą, co tam było.

— Hurrra!! — zawołała Ada, ale gdy zobaczyła zdumioną minę kapitana, zaraz grzecznie usiadła przy stole.

— Przepraszamy serdecznie, ale początkowo byliśmy wściekle na pana — tłumaczyła speszona, ale już szczęśliwa Dominika.

— Widziałem! — śmiał się kapitan. — Ale muszę stwierdzić, że nie potrafią panie udawać. Nawet łagodna pani Dominika miała w oczach pioruny.

— Owszem! — przyznała zarumieniona z emocji Dominika. — To prawda! Ale skoro poznał pan Zofię Rudnicką i zna również jej historię, to chyba pan nas rozumie.

— Ależ tak! To jest bardzo miła, ładna i na wskroś uczciwa kobieta.

— Dzięki Bogu! — odetchnęła Dominika. — Tak bardzo bałyśmy się, że będzie ją pan podejrzewał o najgorsze... Ta sprawa była wyjątkowo skomplikowana, bo tak się składało, że Zofia zawsze przebywała w tym pechowym domu, kiedy ktoś umierał. Początkowo byliśmy pewne, że sprawcą jest osoba, za którą idzie czarny kot, czyli — ona, ale kiedy poznałyśmy ją i historię jej miłości do tego... Krafta, to zmieniłyśmy zdanie. Okazało się, że nikt nie zabił państwa Kraftów i w ich śmierci nie ma niczyjej winy.

— Wręcz odwrotnie — powiedział spokojnie kapitan. — To było morderstwo z premedytacją, a już na pewno w wypadku śmierci Kraftowej.

— Jak „to“?! — wszystkie trzy zerwały się z miejsc. — Mor-derstwo?

— Najprawdziwsze! — potwierdził kapitan, uśmiechając się nieznacznie na

widok reakcji amatorskiej grupy wywiadowczej. — Czy naprawdę panie tego nie podejrzewały?

— Nie wiem, jak koleżanki, ale ja cały czas! — potwierdziła ochoczo Ada. — Ale kiedy okazało się, że pani Rudnicka jest niewinna — tu spojrzała niespokojnie na kapitana — to nasza koncepcja upadła. Skąd więc teraz weźmiemy mordercę?... Czy może będziemy musiały zaczynać nasze poszukiwania od początku?... Ja, bardzo chętnie, ale... czy to jest konieczne?... No, ale jeżeli będzie trzeba, to my...

— To jest całkiem zbędne — kapitan uśmiechał się przyjaźnie do Ady. — Morderca jest już dawno ujęty i siedzi w areszcie... oczywiście, dzięki pomocy pań — dodał pośpiesznie — za którą pozwolę sobie, w imieniu prawa i własnym, złożyć serdeczne dzięki.

Tu wstał i pochylił się w stronę pań w ceremonialnym ukłonie.

— Pan sobie z nas żartuje. — Dominika spojrzała na niego z wyrzutem. — Czy to ładnie?

— Ależ to wszystko jest szczerą prawdą! Przecież specjalnie tutaj przyjechałem, aby paniom o tym powiedzieć... Mam tylko przedtem nieśmiałą prośbę...

— Ależ tak, słuchamy! — wszystkie przyjaciółki otoczyły go skwapliwie, oczekując nowych sensacji.

— Proszę słuchać uważnie: tak się złożyło, że dzisiaj poza skromnym śniadaniem nic jeszcze nie jadłem, a tu, na stole, leżą takie wspaniałe kanapki... Więc, czy mogę...

W mieszkaniu Dominiki raptownie narobiło się mnóstwo szumu, a po chwili wszyscy siedzieli przy stole, kapitan zajadał z apetytem, a trzy panie gorliwie obsługiwały swojego wieczornego gościa.

— ... Jeszcze jedną kanapeczkę ze śledzikiem... Może dołożyć cebulki?... Ten ser jest doskonały... Olga, skocz, kochana, do kuchni, nastawić wodę na kawę... Zaraz podam szarlotkę — prześcigały się nawzajem w gościnności, skręcając się jednocześnie z ciekawości. Ale nie mogły przecież ponaglać głodnego.

Tymczasem „głodny” zajadał, aż mu się uszy trzęsły, wychwalając jednocześnie kulinarny kunszt pani domu i jej koleżanek. Ale kiedy na stole pojawiła się wspaniałe pachnąca kawa i ogromny talerz z szarlotką, oczy wszystkich pań skierowały się w stronę kapitana i przy stole zapanowała wymowna cisza.

— Rozumiem — powiedział, odbierając z rąk Dominiki talerzyk z potężną porcją ślicznie pachnącego ciasta. — Teraz kolej na mnie. Doceniam cierpliwość pań i nie będę jej więcej wystawiać na próbę. Na początek skromne pytanie: kto jest mordercą?... Dla ułatwienia dodam, że wszystkie panie go znają.

— Pan myśli, że to któraś z nas? — przerażona Olga obejrzała się w stronę drzwi. — Ostrzegam, że jeśli zechce pan którąś z nas zabrać do ciupy, to nie pozwolę!... Że raczej tasakiem...

Głośny wybuch śmiechu przerwał dalszy ciąg jej wojowniczego wywodu.

— Znów ubawiłem się do łez! — kapitan ucałował z galanterią rękę Olgi. — Pani ma niepowtarzalne poczucie humoru.

— Niech jej pan wybaczy. — Ada czule pogłaskała koleżankę po głowie. — Odkąd nabiła sobie tego guza — całkiem ogłupiała! Mamy nadzieję, że to minie.

— To morderca rozbił głowę pani koleżance i tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że nie skończyło się to tragicznie — powiedział poważnie kapitan.

— Nieprawda! — krzyknęła Olga. — Przecież tam nikogo nie było!

— Był, tylko go pani nie widziała — kapitan uśmiechnął się do niej .pojednawczo. — Ale o tym będzie mowa później, a teraz ponawiam moje pytanie: kto jest mordercą?

Zapanowała chwila całkowitego milczenia.

— Trop czarnego kota zaprowadził nas do pani Zofii Rudnickiej — zaczęła niepewnie Dominika — ale to okazało się przecież całkowitym niewypałem... Nikt poza nią nie wchodzi w rachubę.

— A jednak jest inaczej — powiedział kapitan. — Morderca kręcił się bardzo

często koło willi państwa Kraftów i każda z pań na pewno go widziała... Mimo to pozostawał poza wszelkimi podejrzeniami. Dlaczego? Panie są przecież bardzo spostrzegawcze i potrafią doskonale wyciągać właściwe wnioski... I nic?

— Niech pan od razu powie o kogo chodzi, bo same będziemy zgadywać do rana i nic z tego nie wyniknie... Więc kto? — prosiła Ada, patrząc błagalnie w oczy kapitana.
- Mam nadzieję, że nie podejrzewa pan Klary!

— Nie — roześmiał się kapitan — chociaż właśnie u pani Klary można byłoby doszukać się wielu całkiem wiarygodnych motywów zbrodni, choćby chęć zagarnięcia złota.

— Nie lubiła toż szwagra — wtrąciła Dominika.

— Przypadała jej w spadku piękna willa z ogrodem — dodała Ada.

— Albo nieodwzajemniona miłość do szwagra — Olga demonstrowała pomysłowość, ku uciesze przyjaciółek.

— To ostatnie wcale nie jest pozbawione sensu — powiedział kapitan — ale ponieważ nikt z nas nie ma zamian; podejrzewać pani Klary, możemy wrócić do poprzedniego tematu. Czy panie wiedzą, co spowodowało, że osoba mordercy — chociaż od samego początku rzuciła się w oczy — pozostawała jednak poza podejrzeniami? Otóż to, że panie, już od pierwszego dnia naszej sprawy, szukały czegoś tajemniczego i niesamowitego, i bardziej odpowiadała im metafizyka niż logika. Na co zwracały panie największą uwagę? Wyliczam: tajemnicze znaki, zemsta z tamtego świata, czarny kot, egipska bogini Rechet, czarna i biała magia... A w tym czasie morderca, zwykły szary człowiek, obijał się paniom o nogi i robił spokojnie wszystko, co chciał. Na szczęście milicja nie wierzy w tajemną moc czarnych kotów.

— Skończmy z kotem i przejdźmy do mordercy. Zobaczmy, czy nie kazał pan zamknąć kogoś całkiem niewinnego. Milicja też popełnia błędy. Słuchamy!

— Dobrze, ale na początek opowiem paniom niedługą, ale za to ciekawą bajeczkę. Oto ona: Za domami, za osiedlami, mieszkał sobie w pewnym toruńskim akademiku biedny student, którego odtąd będę nazywać umownie „Lisem”. Lubił on się bawić, pić alkohol, palić dobre papierosy, a że rodziców miał biednych i na żadną pomoc finansową nie mógł z domu liczyć, zaczął zaciągać długi u zamożniejszych kolegów, które z czasem urosły do niepokojąco pokaźnej sumy. Początkowo próbował, acz z oporami, dorabiać sobie w studenckim „Kajtusi”, ale szybko się zniechęcił, bo każda praca bardzo go męczyła i wołał pożyczać dalej. Ale wreszcie koledzy zaczęli odmawiać pożyczek, zaczęły się też twarde ponaglenia o zwrot długów i atmosfera koło „Lisa” zagęszczała się paskudnie. W tym to właśnie czasie, chyba około połowy marca, spotkał on pierwszy raz Krafta.

— Zaczyna się — sapnęła Olga. — Zaraz będzie o kocie!

— Cicho! — powiedziała Dominika i znów wszystkie oczy wlepiły się jak na komendę w kapitana, który w tym czasie popił łyk kawy i spokojnie ciągnął dalej:

— Spotkali się przypadkowo u jubilera. Pan Kraft sprzedawał kilka złotych obrączek, a „Lis” obserwował to dyskretnie, udając, że ogląda coś w gablocie i przysłuchiwał się pilnie rozmowie jubilera z panem Kraftem, z której jasno wynikało, że klient ma w domu jeszcze wiele złotych przedmiotów i w przyszłości przyniesie je do wyceny. „Lis” uznał, że niepowtarzalna okazja sama pcha mu się do rąk i postanowił właściwie ją wykorzystać. Nie spuścił już oka z Krafta, poszedł za nim i ustalił, gdzie mieszka.

Długo obserwował willę i postanowił czekać cierpliwie na odpowiedni moment, aby zagarnąć złoto. Chcąc mieć wiarygodne usprawiedliwienie dla swojego nieustannego kręcenia się w tej dzielnicy, zawarł znajomość z panią Klarą, pod pretekstem zainteresowań filatelistycznych...

— Toż to piegowaty bielas! — krzyknęła Olga. — Ja od razu mówiłam...

— Czy to możliwe? — przyjaciółki patrzyły z niedowierzaniem na kapitana.

— Przecież ten młody człowiek składał kondolencje Klarze i chciał opiekować się jej domem i ogrodem — gorączkowała się Ada. — Czy pan jest pewny, że nie zaszła

żadna pomyłka?

— Najpewniejszy! Ten obiecujący młodzieniec ma na sumieniu całą tragedię w domu państwa Kraftów... To był ten właściwy kot!

— Ale w jaki sposób? Jak?!

— To było bardzo proste, zwłaszcza jeżeli wyłączy się wszystkie czary, upiory, czarownice i czarne koty — pouczał kapitan. — Specjalnie to podkreślam, aby w przyszłości panie nie zawracały sobie głowy niepotrzebnymi głupstwami. Ile czasu zabrał paniom ten „tajemniczy, czarny kot”?... Pani Olga pół biblioteki przywlokła do domu i wertowała wszystkie „niesamowite opowieści”, a w tym czasie mój „Lis” wykańczał spokojnie po kolei wszystkich mieszkańców willi państwa Kraftów.

— To przewiduje pan, że jeszcze będziemy współpracowały z panem w innych sprawach? — Ada miała śliczne rumieńce i błyszczące oczy. — Przecież to właśnie pan odkrył prawdziwego sprawcę... My musimy się tylko wstydzić.

— Pozwólmy panu mówić dalej. Zagadacie go zupełnie i nigdy nie dowiemy się do końca całej prawdy — mitygowała Dominika. — Może dolać kawy?

— Dziękuję i opowiadam dalej: „Lis” szybko się zorientował, że dostęp do willi jest wprost niemożliwy. Pies pilnował znakomicie domu i ogrodu. Sprawa zaczęła wyglądać beznadziejnie, ale znów przychodzi mu z pomocą przypadek. Była to pani Rudnicka. Od razu zauważył,

że ktoś inny kręci się również koło willi Kraftów. Zaczął więc pilnie obserwować i wkrótce wiedział, że owa tajemnicza kobieta interesuje się wyłącznie Piotrem Kraftem. Sytuacja ta przeciągała się w nieskończoność, i „Lis” doszedł do wniosku, że trzeba doprowadzić do spotkania tych dwojga... W tym kryła się dla niego jakaś, nieokreślona jeszcze, szansa zmiany sytuacji. Podjął więc decyzję i ruszył do ataku: otrul psa!

— A. to łajdak! — Ada nie wytrzymała. — Już tylko za to powinien dostać parę lat!

— To dopiero początek — powiedział kapitan. — Następnego dnia obserwował w ogrodzie całą scenę spotkania pani Rudnickiej z Piotrem Kraftem. Już teraz wiedział, że ten ma coś poważnego na sumieniu i postanowił działać natychmiast. Kiedy pani Rudnicka odeszła, podszedł do Krafta, przerażonego i jeszcze roztrzęsionego po tamtym spotkaniu, i zagroził mu denuncjacją. To przebrało miarę wytrzymałości rzeczywiście chorego na serce... Kraft umarł na zawał, zanim tamten zdążył odejść. „Lis” na razie przegrał, ale nie zrezygnował. Czekał na następną okazję.

— Coś podobnego! — krzyknęła Dominika. — Przecież wtedy my miałyśmy już tę willę na oku.

— To ja ją miałam — rzeczowo poprawiła Olga. — Już pierwszej nocy widziałam, jak ten kot...

— Właśnie! Pani tropiła kota, a „Lis” robił swoje. W willi Kraftów zostały teraz tylko dwie kobiety, ale dla „Lisy” było ich o dwie za dużo... Siedziały teraz przeważnie w domu i — co gorsze, mogły sprzedać złoto, a pieniądze ulokować gdzieś poza domem. Musiał się śpieszyć. Następną okazja nadeszła dość szybko. Pani Rudnicka złożyła wizytę wdowie. Rozmawiały w ogrodzie. „Lis” podsłuchiwał i uznał, że w tej sytuacji samobójstwo wdowy byłoby najzupełniej uzasadnione. Wykorzystał moment, kiedy Kraftowa odprowadzała do furtki panią Rudnicką i wsypał do jej filiżanki z kawą ogromną porcją silnych środków nasennych... Pani Kraftowa wróciła na werandę, siadła przy stoliku i wzruszona wspomnieniami długo płakała. Potem wypila kawę i poszła spać. Tej nocy umarła w tym domu druga ofiara.

— Ja słyszałam ten płacz — powiedziała cicho Olga. — Przecież gdybym wtedy...

— Daj spokój... Skąd mogłyśmy wiedzieć. Ten kot całkiem zamącił nam w głowie — próbowała pocieszać zrozpaczoną Adę. — I co było dalej, kapitanie?

— Dalej, już same panie wiedzą. Została tylko pani Klara. „Lis” postanowił zakraść się w nocy do pokoju Piotra Krafta i tam zacząć szukać złota.

— I to jego widziała Klara na szybie.

— Właśnie jego. Nasłuchiwała się od pań o tajemniczym i krwiożerczym kocie, zdawało się jej więc, że to jest właśnie on. W nocy wszystko jest ciemne, a intruz miał na sobie czarny golf z bardzo wysokim kołnierzem, naciągniętym na twarz, aż do oczu. To zrobiło mocne wrażenie.

— A czy on chciał wtedy zabić Klarę? — zapytała Dominika, przyciskając ręką szalejące serce.

— Twierdził, że wtedy nie...

— Wtedy?... Co to znaczy? — zaniepokoiła się nagle Ada.

— Zaraz będzie i o tym — kapitan był już wyraźnie zmęczony. — Ale może lepiej po kolei. Otóż tej nocy, kiedy pani Klara uciekała z domu, „Lis” przestraszył się, że może wezwać milicję i uciekł do ogrodu, skąd na ulicę było tylko kilka kroków. Obserwował dom do rana, ale rankiem, uspokojony panującą wokół ciszą, zakradł się znów do willi, chcąc za wszelką cenę rozpocząć poszukiwania. No i właśnie wtedy nadeszły panie, aby sprawdzić, czy w domu jest wszystko w porządku. „Lis”, który właśnie zaczynał buszować w mieszkaniu — uciekł w popłochu na werandę i schował się tam pod kozuchem liści.

— O Bożyczku złoty... To on mnie wtedy chciał... — Olga zastanawiała się, czy nie wypadałoby teraz efektownie zemdleć. — Byłam więc sam na sam z mordercą?!...

— Jak najbardziej — potwierdził kapitan. — Gdyby wtedy przypadkiem nie pochyliła pani głowy, to wstrząs mózgu byłby pewny, albo jeszcze gorzej... No, ale wszystko dobrze się skończyło — dodał szybko, widząc przerażenie wszystkich pań.

— Ale dlaczego on się na mnie tak zawziął, co? — Olga przybrała postawę co najmniej Emilii Plater. — Pewno uważał, że jestem dla niego najniebezpieczniejsza... Kto wio, może miał rację...

— Na pewno — powiedział z uśmiechem kapitan. — Tutaj muszę nadmienić, że „Lis” bardzo szybko odkrył, że panie interesują się tragedią w domu Kraftów. Wyśledził też, że były panie na milicji, postanowił zatem natychmiast przeciwdziałać. Tej samej nocy zakradł się pod okna pani Dominiki i usiłował wrzucić do jej pokoju kłęb płonącego sznurka. No, ale Colombo dał mu dobrą nauczkę. Do dzisiaj ma na twarzy nie zagojone ślady pazurów.

— Czy to prawda? — Ada spojrzała z wyrzutem na Dominikę. — Przecież nigdy nam o tym nie mówiłaś!

— To ja poradziłem, aby dla dobra śledztwa zatrzymać zdarzenie w tajemnicy — kapitan brał odważnie na siebie cudze winy. — Tak wtedy było trzeba. Ale to był dopiero początek.

— Po-czą-tek? — Ada z Olgą jęknęły zgodnie.

— Tak. Zaraz po pierwszych odwiedzinach pań u Klary, „Lis” napada na dom pani Walskiej, aby tam z kolei wrzucić płonący sznurek. Udaje mu się nawet wzniecić pożar, ale mąż przybywa na czas i wszystko kończy się na strachu.

— Napadł na Tenię? — Oldze zaokrągliły się oczy i nos jeszcze mocniej poczerwieniał. — Ale dlaczego my nic o tym nie wiemy?... Co jest, u diabła?!

— Tak trzeba było — łagodnił pośpiesznie kapitan. — Pani Ada była też w wielkim niebezpieczeństwie.

— To był... on? — Ada mocno przybladła.

— Tak, ale i tym razem nie miał szczęścia. Pani syn dał mu dobrą szkołę!... Ale muszę powiedzieć, że właściwie już od pierwszego dnia ingerencji pań w sprawę tragedii Kraftów — skończyła się dla „Lis” dobra passa. Teraz zaczęły go spotykać same niepowodzenia. Na uczelni narastały ogromne kłopoty i to zatrzymało go właśnie na parę dni w akademiku... Dzięki temu mogły panie spokojnie przenieść złoto do nas. Nie wiedział o tym, a my mieliśmy możliwość przygotować zasadzkę.

— O Boże! — jęknęła Ada. — Tyle wspaniałych rzeczy się działo, a pan nie pisał ani słówka. Czy tak postępuje prawdziwy mężczyzna?

— Tylko wówczas, kiedy pracuje w milicji — powiedział skromnie kapitan. — Za to teraz opowiadam wszystko z detalami.

— A jak się udała zasadzka? — zapytała Dominika, która nie mogła doczekać się ostatecznego rozwiązania.

— Wręcz znakomicie! Złoto zostało przyniesione z powrotem do willi i tak schowane, aby można było je łatwo znaleźć. „Lis” długo się zastanawiał, zanim odważył się wejść do opuszczonego domu. Musiał też przedtem dobrze się zabezpieczyć przed ewentualnymi niespodziankami. A czas naglił... Taka podbramkowa sytuacja często podsuwa zbrodnicze pomysły: anonimowo posyła bombonierkę z czekoladkami do szpitala, dla pani Klary. Nie dociera ona, na szczęście, do adresatki, tylko do moich rąk. Współtowarzyszka pani Klary z separatki numer pięć była bezbłędna!

— Te... czekoladki... były — Ada z trudem wydobywała z siebie głos. — Czy on... chciał?...

— Chciał, ale znów mu się nie udało. To był dla niego sygnał do natychmiastowego odwrotu... Wpada teraz w popłoch i wie, że każdej chwili grozi mu wyspa. Był nawet moment, że chciał zrezygnować z uczelni, planów zagarnięcia złota i uciekać z Torunia. Chciwość jednak zwyciężyła. Pewnej nocy zakradł się do ogrodu, a potem na werandę. Znalezienie złota nie zabrało mu wiele czasu, ale kiedy z nim uciekał — my czekaliśmy już w ogrodzie. Był najzupełniej zaskoczony.

— Chwileczkę! — Olga zerwała się raptem z miejsca, pobiegła w stronę kuchni i zaraz — ku przerażeniu wszystkich — rozległ się tam straszny łoskot rozbijanych naczyń.

— Zwariowała! — wszyscy runęli w tamtą stronę, ale Olga stanęła już w progu i otrzepując ręce uśmiechała się promiennie.

— Stłukłam parę talerzy — oświadczyła spokojnie. — Musiałam to zrobić, bo szlag by mnie trafił na miejscu! Teraz jest już wszystko w porządku. Jutro odkupię ci te skorupy — zwróciła się w stronę osłupiałej Dominiki.

— Znakomicie pani zrobiła! — kapitan patrzył z podziwem na zarumienioną Olę. — To jest naprawdę najlepszy sposób na rozładowanie dręczących nas stresów. Chyba tylko kobiety tak potrafią!

— Cieszymy się, że pan to rozumie — powiedziała z wielką ulgą Dominika. — Ale nie wiemy jeszcze, dlaczego Zofia została zatrzymana przez pana. Skąd pan o niej się dowiedział, bo my nigdy... ani jednym słówkiem...

— Owszem, muszę przyznać, że były panie w tej kwestii bardzo... dyskretne, co mnie zresztą upewniło, że coś ważnego jest na tapecie. Byłem bardzo poważnie zaniepokojony, bo jeszcze nie wiedziałem, kim jest ta osoba, którą tropiły panie z takim poświęceniem... Mógł to być ktoś bardzo zdeterminowany i trzeba było być niezmiernie ostrożnym, a panie nie miały żadnego doświadczenia w tych sprawach. Posłałem więc natychmiast dyskretną obstawę i moi wywiadowcy łapali się za głowo, obserwując metody, jakie panie stosowały. Wprawdzie od razu było wiadome, kto jest śledzony i dlaczego... Nie przeszkadzało to jednak wcale, że często poczynają sobie panie bardzo sprytnie. Tej rozmowy z kierowcą ciężarówki w restauracji mógł pozazdrościć zawodowy detektyw... Szczerze gratuluję, pani Dominiko!

— Chodzi o spotkanie w „Hungarii”? — domyśliła się Olga, ale Ada spojrzała na nią wymownie, a kapitan ciągnął dalej:

— Pani Rudnicka okazała się uczciwą osobą. Jej adres oraz wszystkie inne dane mieliśmy natychmiast, pozostało tylko do wyjaśnienia parę drobnych, ale istotnych dla śledztwa spraw. Pojechaliśmy do niej, do domu, aby tam przeprowadzić rozmowę, ale sąsiadka powiedziała, że ta pani poszła gdzieś z kwiatami. Pojechaliśmy więc na cmentarz, domyślając się, że tam ją znajdziemy. Podeszliśmy cicho i z daleka patrzyliśmy, jak zbliżała się właśnie do grobów państwa Kraftów Położyła ogromny bukiet pięknych róż na obydwu grobach. Potem porozmawialiśmy trochę i jak mówiłem...

— Posłuchajcie! — zawołała nagle Olga. — Zapomniałyśmy całkiem o naszym karowym walecie... A on przecież wyszedł! Że też wcześniej nie przyszło nam to do

głowy!

Przyjaciółki zaniemówiły z wrażenia.

— Rzeczywiście... — wykrztusiła Ada. — Ta kabała idealnie nam się sprawdziła: para małżeńska zginęła śmiercią tragiczną przez karowego waleta... Fascynujące!

— a my miałyśmy w związku z tym mnóstwo kłopotów — dokończyła Dominika. — I jak tu nie wierzyć kabale?

— Widzę, że panie nigdy nie nauczą się myśleć realnie — westchnął kapitan. — I pomyśleć, że dzieje się to u schyłku dwudziestego wieku.

— Ale proszę zwrócić uwagę, że kabała przepowiedziała z detalami cały przebieg dramatu, kiedy nic jeszcze się nie działo! — tłumaczyła Ada. — Nie można tego negować, bo wszystkie byliśmy świadkami tej karcianej przepowiedni. Autentyczna sprawa, kapitanie!

— A ja jestem pewna, że gdyby milicja zechciała uwierzyć w czarną magię, to procent wykrywalności przestępstw byłby o wiele większy! — stwierdziła stanowczo Dominika. — Co my naprawdę wiemy o życiu i jego dziwnych i niewytłumaczonych zjawiskach... Tego nie wolno lekceważyć!

— Może... — uśmiechnął się kapitan. — Ale gdybym zaczął od jutra urzędować z sową na ramieniu, czarnym kotem pod pachą i kabałą rozłożoną na moim służbowym biurku, to moi przełożeni wysłaliby mnie pośpiesznie na długi urlop, a wykrywalność przestępstw nic by na tym nie zyskała... My musimy chodzić twardo po ziemi, a paniom zostawiamy fantastykę i przesady, zwłaszcza że, jak widzę, żadna perswazja tu nie pomoże... No, ale za parę godzin zaczyna się normalny dzień pracy i dlatego proponuję zakończyć udany wieczór. Jeżeli któraś z pań wybiera się teraz do domu, służę swoim samochodem.

Ada i Olga skorzystały chętnie z propozycji kapitana, bo pora była późna i tramwaje już nie kursowały. Wkrótce w mieszkaniu zapanowała cisza, która dziwnie kontrastowała z gwarem, jaki tu przed chwilą rozbrzmiewał.

— No tak... Doczekaliśmy się wreszcie wyjaśnienia tajemnicy „kociej” sprawy! — westchnęła z odrobiną żalu Dominika, robiąc pośpiesznie porządek w pokoju. — Przynajmniej będę mogła otworzyć spokojnie na noc wszystkie okna!

Wyszła do kuchni, a tymczasem w głębi pokoju rozjarzyły się znów w kącie dwa opalizujące światelka. Błyszczały intensywnie i były jakby niecierpliwie i napięte. Dominika weszła do pokoju i idąc już w stronę tapczanu obejrzała się przypadkowo w tamtym kierunku. Stała i uśmiechnęła się czule.

— Colombo, chodź do mnie — powiedziała. — Już nie ma nikogo i nie potrzebujesz demonstrować po kątach złych humorów! Zostaliśmy tylko we dwoje i nikt dzisiaj nie zakłóci nam snu. I przytuliła do siebie mruczącego grubasa.